

Nieznana Szymborska | Orlenowskie miasto dla imigrantów | Cięż Wołynia  
Milionerzy „dobrej zmiany” | Wakacje z adrenaliną | Emeryci dają władzę

POLITYKA.PL

# POLITYKA

LIDER  
SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 28 (3421), 5.07–11.07.2023

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

## Kocia grypa

Czy może zagrozić także ludziom?



USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO





ROGER FEDERER



IGA ŚWIĄTEK



COCO GAUFF



CARLOS ALCARAZ



## NA CZYM POLEGA UNIKALNOŚĆ?

Na czym polega unikalność tego miejsca? Poza jego historią jako najstarszego turnieju tenisowego na świecie? Poza atmosferą i zwyczajami, letnimi mżawkami, truskawkami ze śmietanką, a wszystko to o krok od Centralnego Londynu? Poza jego wyjątkowymi barwami, nieskazitelną bielą i soczystą zielenią, która przywodzi na myśl trawę pieczołowicie przycinaną do 8 mm każdego poranka? I przede wszystkim poza legendarnymi meczami, które się na niej odbyły i nadal odbywają? Pojedynkami, które ustanowiły nowe standardy w tej dyscyplinie. Standardy dotyczące gry. Standardy dotyczące życia. To miejsce, gdzie tworzy się historia tenisa. **Witamy na Wimbledonie!**

*#Perpetual*



OYSTER PERPETUAL  
DATEJUST 41



OFFICIAL TIMEKEEPER

THE CHAMPIONSHIPS, WIMBLEDON  
THE ALL ENGLAND LAWN TENNIS CLUB,  
LONDYN, 3 - 16 LIPCA 2023



**ROLEX**



16

Witajcie w Orlenlandzie



20

Wakacje z adrenaliną



80

Bikont o Szymborskiej

## Tematy tygodnia

- 12 Agnieszka Sowa **Kocia choroba**  
 16 Marcin Kołodziejczyk  
**Miasteczko dla imigrantów pod Płockiem**  
 20 Violetta Krasnowska  
**Popularna turystyka ekstremalna**

## Polityka

- 24 Anna Dąbrowska  
**Milionerzy „dobrej zmiany”**  
 27 Cezary Michalski  
**Dłaczego Kaczyński zdecydował się na pojedynek z Tuskiem**



## Społeczeństwo

- 30 ROZMOWA POLITYKI **Nina Witoszek**,  
 pisarka i historyk kultury,  
 o tym, że społeczeństwa  
 spolaryzowane znikają  
 34 Ewa Wilk **PSYCHOLOGIA**  
**Polacy po ośmiu latach**  
**rządów zjednoczonej prawicy**



## Rynek

- 38 Joanna Solska  
**Seniorzy – grupa dająca władzę**

- 41 Marcin Piątek **Cudzoziemcy chcą inwestować w polską piłkę**

## Świat

- 44 Paweł Reszka **ROSJA**  
**Krajobraz po buncie Prigożyna**  
 47 Agnieszka Zagner **PALESTYNA**  
**Nadchodzi trzecia intifada?**



- 50 Mariusz Zawadzki **USA**  
**Zamach na radio**

## Nauka/projektpulsar.pl

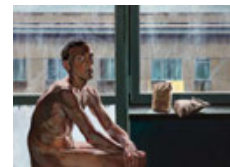
- 52 Edwin Bendyk  
**Globalna teoria sprawiedliwości**  
 56 **Książki i aplikacje na wakacje**  
 60 Marcin Rotkiewicz  
**Phineas Gage, najslawniejszy pacjent w dziejach neurologii**

## Historia

- 62 Katarzyna Kaczorowska  
**O trudnym pojednaniu w 80. rocznicę rzezi wołyńskiej**  
 65 O kobiecości, niezbędności i dzikości Wisły, opowiada prof. **Andrzej Chwalba**



## Kultura



- 72 Piotr Sarzyński  
**Polski mężczyzna w zwierciadle sztuki**  
 76 Janusz Wróblewski  
**Światowy strajk scenarzystów**  
 79 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**  
 80 O Wisławie Szymborskiej w 100-lecie urodzin poetki mówi współautorka jej biografii **Anna Bikont**  
 84 Justyna Sobolewska  
**Koniec epoki wielkich amerykańskich pisarzy**

## Ludzie i style

- 91–96 • **Pokoncertowa amnezja**  
 • **Symulator kobiecego bólu**  
 • **Wyborczy vibe**  
 • **Meble od architekta**  
 • **Styl Barbie**  
 • **Podróże po jedno zdjęcie**  
 • **Wino w kartonie**

## Stałe rubryki

- 6 Mleczko i Sfery • 7 Przypisy  
 • 8 Ludzie i wydarzenia • 68 Afisz  
 • 86 Lis • 87 Koziołek • 88 Hartman  
 • 90 Do i od redakcji  
 • 98 Polityka i obyczaje



## New York, New York

Pełna przygoda podróż do jednego z najbardziej fascynujących i tętniących życiem miast na świecie.

**Program wycieczki:** **Dz. 1** Wylot do Nowego Jorku, USA. **Dz. 2** New York, Brooklyn Heights, Wall Street, Ground Zero i Most Brookliński. **Dz. 3** New York, Uptown z Upper West Side, Muzeum Historii Naturalnej, Central Park i Muzeum Guggenheima. **Dz. 4** New York, Downtown z Flatiron Building, Greenwich Village, SoHo, Little Italy (Małe Włochy) i Chinatown (Dzielnica Chińska). **Dz. 5** New York, Midtown z Empire State Building, Rockefeller Center, Fifth Avenue i wycieczka po porcie. **Dz. 6** New York. Czas wolny i powrót do domu. **Dz. 7** Przyłot do Warszawy.

**7 dni | Wyloty z Warszawy**  
30/04, 02/05, 08/09, 10/10 2024

od **9.498,-**



**WYKŁAD  
ONLINE**



## Wietnam od A do Z

21/07/23 o godz. 17:00  
Rejestracja na stronie  
[www.albatros.pl](http://www.albatros.pl)



## Madagaskar – kraj lemurów i baobabów

**Program wycieczki:** **Dz. 1** Przelot z Warszawy do Antananarywy. **Dz. 2** Przelot z Antananarywy do Tulear. Wioska rybacka Ifaty. **Dz. 3** Ifaty. Dzień wolny. Wypoczynek na plaży. Dla chętnych wycieczka do lasu baobabów lub nurkowanie. **Dz. 4** Ifaty – Isalo. **Dz. 5** Park Narodowy Isalo. Spektakularne krajobrazy i lemury. **Dz. 6** Isalo – Ranomafana. Park lemurów, lokalna wioska, warsztat papierniczy i winiarnia. **Dz. 7** Park Narodowy Ranomafana. Wędrowka w poszukiwaniu lemurów. **Dz. 8** Ranomafana – Antsirabe. Drewniane rzeźby i zwiedzanie miasta. Wizyta w wytwórni cukierków. **Dz. 9** Antsirabe – Andasibe. Kameleony w Rezerwacie Peyrieras. **Dz. 10** Park Narodowy Andasibe. Przygoda z lemurami. **Dz. 11** Andasibe – Antananarywa. Zwiedzanie miasta. **Dz. 12** Antananarywa. Podróż powrotna. **Dz. 13** Przyłot do Warszawy.

**13 dni | Wylot z Warszawy 22/02 2024 | 16.498,-**

## Norwegia – przez góry i fiordy

Niezwykła podróż pociągiem przez wspaniałe norweskie krajobrazy z Bergen do Oslo m.in. słynną koleją Flåmsbanen oraz rejs po fiordzie Sognefjorden.

**Program wycieczki:** **Dz. 1** Przelot Warszawa - Bergen. **Dz. 2** Bergen. Spacer po nadbrzeżu, wspaniałe widoki z kolejki Flåmsbanen i targ rybny Fisketorget. **Dz. 3** Bergen - Flåm. Podróż pociągiem do Voss i rejs statkiem po fiordzie Sognefjorden do Flåm. **Dz. 4** Flåm. Czas wolny lub możliwość skorzystania z wycieczki fakultatywnej. **Dz. 5** Flåm - Oslo. Przejazd koleją Flåmsbanen do Myrdal i dalej pociągiem do Oslo. **Dz. 6** Oslo. Powrót do domu.



**6 dni | Wyloty z Warszawy 05/10 2023 29/03, 10/04 2024 | od 4.298,-**

**albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81**

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: PL25



www.mleczko.pl

GALERIA ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14

## Z ŻYCIA SFER

## W tunelu

**L**edwo prezes Kaczyński wrócił do rządu, a już Polska zaczęła zmieniać się na lepsze. Czego dowodem jest otwarcie tunelu w Świnoujściu. Jak wyjaśnił w swoim przemówieniu podczas uroczystości wicepremier, ten tunel jest jednym z elementów „doganiania poziomu życia tych, którzy na zachodzie Europy mieli więcej historycznego szczęścia niż my”. Mieli więcej szczęścia i dlatego mieli też więcej tuneli, ale teraz my też mamy więcej tuneli, co z pewnością przełoży się na poziom naszego życia, przynajmniej ten mierzony liczbą tuneli na mieszkańca.

**R**zecz jasna, jak zawsze pojawili się malkontenci, którzy postanowili wykorzystać wizytę szefa premiera i głośno ponarzekać. Choć nie bez powodu. W połowie kwietnia wojewoda zachodniopomorski wprowadził strefę ochronną wokół gazoportu, w efekcie czego mieszkańcy prawobrzeżnej części Świnoujścia nie mają dostępu do „swojej” plaży na Warszawie, a odwiedzenie znajdujących się w tej części miasta atrakcji – zabytkowej latarni morskiej i Fortu Gerharda – wymaga wyprawy statkiem (co kosztuje, więc ogranicza ruch turystyczny). Protestujący ustawili się wzdłuż drogi dojazdu do tunelu i powitali nadjeżdżającego prezesa Kaczyńskiego gwizdami i okrzykami. Siłę swego protestu wzmocnili, sprytnie cytując frazę „Nie ma na to naszej zgody” z oświadczenia premiera Morawieckiego przed unijnym szczytem o emigracji. Wołali m.in.: „Na niszczenie miejsc pracy drobnego biznesu – nie ma na to naszej zgody! Na ignorowanie głosu mieszkańców – nie ma na to naszej zgody!”.

Jednak szef premiera do gwizdów już nawykł i nie z takimi spryciarzami dawał sobie radę. Natychmiast obiecał: „My ten problem rozwiążemy, są inne metody, by doprowadzić do tego, by ten teren był bardziej dostępny, i tak się stanie”. Być może wpadł na pomysł budowy tuneli wiodących do zabytków i na plażę, co – jak już wiemy – podwyższyłoby ogólną szczęśliwość.

**W**prawdzie od premiera Morawieckiego niejedną już obietnicę słyszeliśmy, ale było minęło. Teraz rządzi szef premiera, a ten oświadcza: „Władza dba i stara się dbać o interesy wielu Polaków. To jest całkowicie miążdżąca większość. Będziemy tą drogą rozwoju dalej iść”. Jak się wczytać w tę myśl, wychodzi na to, że ta władza z założenia nie ma zamiaru dbać ani nawet starać się dbać o wszystkich Polaków, lecz tylko o „miążdżącą” (kogo?) większość.

Wielbiciele spisków powiedzieliby, że te świnoujskie protesty spadły Kaczyńskiemu jak z nieba, pozwalając mu pokazać „ludzką twarz” rządu i władzy, nie tę wykrzykującą „komuniści i złodzieje”, lecz tę koncyliacyjną. Prezes Kaczyński chwalił w swym wystąpieniu związanego przez lata z lewicą prezydenta miasta Janusza Żmurkiewicza. I zapewniał uspokajająco: „Proszę się o to nie obawiać. Proszę przekazać to tym, którzy stali wzdłuż drogi do tunelu. Ja ich dobrze rozumiem. Każdy musi dbać o własne interesy”. Szef premiera z pewnością wie, jak to się robi. Zwrócił zresztą na to uwagę, mówiąc o „końcu imposybilizmu”: „Niezdolność do podejmowania wielkich przedsięwzięć publicznych jest już za nami”. Brzmi to i szczerze, i groźnie.

REDAKTOR ZASTĘPCZY JK

# Tonący brzydko się chwyta



Łukasz Lipiński

**W**ydaje się nam, że w polityce ciągle dzieje się coś istotnego, ale zwykle to tylko złudzenie. To samo dotyczy sondaży, co drugi dzień pojawia się nowy, a każdy wdzięczny się do nas, że jest „przełomowy”. Ale jak spojrzeć na sondaże długoterminowo i na spokojnie (robi to regularnie na Polityka.pl Ben Stanley), to okazuje się, że notowania partii w ostatnich latach, poza kilkoma wahnięciami, były wyjątkowo stabilne. W tym chaosie często przegapiamy jednak prawdziwe rewolucje, a do takiej właśnie dochodzi na naszych oczach, choć w innym miejscu, niż się spodziewaliśmy. Od lat wyborcy opozycji czekali na historyczną „mijankę”, czyli wyprzedzenie PiS w sondażach przez największą partię demokratyczną. I taka mijanka właśnie może zachodzić. Koalicja Obywatelska, która po marszu 4 czerwca wskoczyła na fale, jest najbliższą PiS w sondażach od 2015 r. Donald Tusk postawił na ostry spór z PiS i ta strategia okazała się skuteczna (o pojedynku Tusk-Kaczyński pisze Cezary Michalski na s. 27).

Lecz kluczowy wyścig odbywa się gdzie indziej. W polityce – w przeciwieństwie do sportu – nie chodzi przecież o to, żeby przyjść na metę na pierwszym miejscu, ale stworzyć rząd i móc realizować swój program. I o tym, kto po październikowych wyborach do Sejmu dostanie taką szansę, zdecyduje wynik starcia mniejszych partii: Konfederacji, Trzeciej Drogi Kosiniaka-Kamysza i Hołowni oraz Lewicy. Na razie na *pole position* ulokowała się z dużym zapasem Konfederacja, której notowania w kilka miesięcy wystrzeliły z 7 do 12 proc. i to partia Mentzena i Bosaka jest teraz realną trzecią drogą. Konfederacja stała się fenomenem, który niesłuchanie trudno ugryźć, wykreowała się na postpolityczną partię-mem. Wyciąganie skrajnych poglądów jej liderów czy weryfikowanie programu może być nieskuteczne, bo nawet jej wyborcy nie traktują jej do końca poważnie. Ale tu pole do popisu jest przede wszystkim dla Trzeciej Drogi i Lewicy. To te ugrupowania powinny powalczyć o to, żeby odebrać konfederatom miejsce trzeciej drogi (zamiast narzekać na Tuska, że za dobrze mu idzie).

**W**POLITYCE od tygodni opisujemy skok Konfederacji, czas przyjrzeć się konsekwencjom. Konfederaci wprowadzą bowiem do Sejmu co najmniej 50 posłów, więc żadna układanka bez nich się nie obędzie – czy PiS, czy KO będzie największą partią. Niewiele zmieniłaby też „wspólna lista opozycji”: z tzw. sondażu obywatelskiego wynika, że wręcz dodatkowo napompowałyby sejmową reprezentację Konfederacji. Możliwe powyborcze warianty są tak naprawdę tylko trzy.

Wielu obserwatorów zakłada w ciemno, że konfederaci ulegną pokusie i wejdą w koalicję lub współpracę z PiS. Albo wystarczająco wielu da się podkupić, jak wcześniej kukizowców. Lecz koalicja z PiS oznaczałaby dla skrajnej prawicy utratę tych dodatkowych wyborców i szybki powrót w okolice 5–7 proc., a konfederaci mogą zagrać o wyższą stawkę. Drugi wariant to trwający przez kilka miesięcy pat: partie realizują tzw. trzy konstytucyjne kroki

i bezskutecznie próbują stworzyć rząd, co kończy się kolejnymi wyborami, jak ostatnio w Bułgarii czy Grecji. Ale w tym czasie trwa rząd Morawieckiego, który zapewne będzie próbował dopiekać konfederatom *per fas et nefas*.

Zostaje wreszcie wariant trzeci, w którym Konfederacja popiera w Sejmie przy wotum zaufania rząd stworzony przez opozycję, który postawi sobie na celu szybką depisyzację kraju – na ile to możliwe przy prezydencie Dudzie. Nowy rząd odsunie PiS od TVP, służb, spółek Skarbu Państwa, może też dotrzeć do kolejnych dowodów afer (Anna Dąbrowska o pisowskich milionerach na s. 24). Taki układ nie mógłby utrzymać się długo, dla opozycji byłby też bardzo ryzykowny – wielu wyborców nie mogłoby zaakceptować nawet tylko taktycznej i parlamentarnej współpracy ze skrajną prawicą. Konfederacja zażądałaby wysokiej ceny za incydentalne wsparcie, realizacji swoich pomysłów i punktowałaby nowy rząd, żeby się wykrwawiał. A na koniec, zapewne już przy budżecie na 2024 r., i tak skończyłoby się na przyspieszonych wyborach.

**S**ondażowe sukcesy KO i Konfederacji wprowadziły w PiS wyjątkowo nerwowy nastrój, bo cały scenariusz prawicy na kampanię wyborczą runął w gruzach. W tym momencie obóz władzy miał już testować 40-proc. poparcie i zbliżać się do osiągnięcia historycznego celu Kaczyńskiego: trzeciego samodzielnego zwycięstwa w wyborach do Sejmu. Ten brak sukcesów przełożył się na wszczęcie bezprecedensowej antyimigranckiej kampanii opartej już na jawnych kłamstwach i najgorszych historycznych wzorcach języka nienawiści wobec uchodźców. Twarzą tej kampanii stał się premier Morawiecki. PiS doskonale wie, że Polski nie obejmuje żadna „przymusowa relokacja uchodźców”, a sam na swoje budowy sprowadza dziesiątki tysięcy robotników z krajów muzułmańskich (o miasteczku Orlenu piszemy na s. 16). Że zamieszki we Francji nie mają nic wspólnego z obecnym kryzysem migracyjnym, tylko trwającymi 50 lat zaniedbaniami. Bo biorą w nich udział dzieci i wnuki dawnych gastarbeiterów czy kolonialnych urzędników, młodzi ludzie będący Francuzami w drugim lub nawet trzecim pokoleniu, którzy nie widzą dla siebie perspektyw. Teraz – otwierając szeroko drzwi dla imigrantów i jednocześnie szczując na nich – PiS szykuje nam taką samą przyszłość. A już zrównywanie przez Morawieckiego rosyjskich zbrodniarzy wojennych z Grupy Wagnera z rzekomą „grupą Webera-Tuska” na Zachodzie (od nazwiska szefa europejskich chadeków Manfreda Webera), czyli z naszymi partnerami i sojusznikami w obliczu agresywnej Rosji atakującej Ukrainę, to już zbrodnia na rozumie i polskiej racji stanu. Tonący brzydko się chwyta.

Jan Koza



© JAN KOZA

## Rząd rządzi, prezes decyduje

Nie wszystko może PiS-owi wychodzi, ale rozbudowa własnego rządu udało mu się nad podziw. Gdy pod koniec czerwca **Jarosław Kaczyński** został wicepremierem, liczba członków Rady Ministrów wzrosła do 28. To rekord w historii III RP. Żadne państwo w Unii Europejskiej nie ma tak wielkiego – oczywiście w sensie arytmetycznym – rządu (dane za serwisem demagog.org.pl). Polski rząd jest przy tym bardzo męski – zasiadają w nim tylko cztery kobiety.

Pierwszy gabinet **Mateusza Morawieckiego** liczył w grudniu 2017 r. 22 osoby (premier, trzej wicepremierzy i 18 ministrów); ministerstw było zaś wówczas 18.

W późniejszych zmianach próżno szukać logiki, poza polityczną. Resorty były tworzone, likwidowane, przekształcane i tworzone na nowo – jak Ministerstwo Sportu i Turystyki – w rytm kolejnych kryzysów koalicyjnych, popadania w niełaszkę jednych polityków lub potrzeby wyniesienia polityków innych. Gdy PiS nie potrafił lub nie chciał wymyślić kolejnego resortu, rozdawał posady ministrów bez teki. Jak dziś wygląda struktura rządu?



Ministerstw jest 17. Częścią zarządzają kluczowi politycy PiS: Mariusz Błaszczak (obrona), Jacek Sasin (aktywa państwowe), Piotr Gliński (kultura), Mariusz Kamiński (sprawy wewnętrzne), Przemysław Czarnek (edukacja i nauka), Andrzej Adamczyk (infrastruktura). Jest też grono ministrów bliskich premierowi: Janusz Cieszyński (cyfryzacja), Adam Niedzielski (zdrowie), Waldemar Buda (rozwój) czy Grzegorz Puda (fundusze). Po jednym resorcie mają koalicjanci: Zbigniew Ziobro z Suwerennej Polski (sprawiedliwość) i Kamil Bortniczuk z Partii Republikańskiej (sport i turystyka).

Zdecydowana większość członków rządu to posłowie. Poza Sejmem jest tylko czworo ministrów, z których trzej

(Niedzielski, Cieszyński i Anna Moskwa) chce kandydować w jesiennych wyborach. Politycznych ambicji nie przejawia chyba tylko minister finansów Magdalena Rzeczkowska.

Liczne grono ministrów nie ma pod sobą wydzielonego resortu. Szymon Szykowski vel Sęk to minister ds. Unii Europejskiej, Marek Kuchciński kieruje Kancelarią Premiera, Łukasz Schreiber – stałym komitetem Rady Ministrów, a Zbigniew Hoffmann – komitetem ds. bezpieczeństwa narodowego. Ministrami bez teki są Michał Dworczyk (choć już dawno temu deklarował odejście z rządu) oraz nieznaną szerzej reprezentanci koalicjantów: Michał Wójcik (Suwerenna Polska), Włodzimierz Tomaszewski (Partia Republikańska) i Agnieszka Ścigaj (koło Polskie Sprawy). W rządzie ostał się też Henryk Kowalczyk, do wiosny wicepremier i minister rolnictwa, potem wicepremier, a dziś szeregowy beztekowy minister.

Całością zawiaduje teoretycznie Morawiecki, który jednak bardzo się pilnuje, by nie wychodzić przed szereg, bo – w sensie politycznym – rząd jest ściśle podporządkowany partii. Wejście Kaczyńskiego do rządu, degradacja czterech pozostałych wicepremierów i oddanie prezesowi fotela po prawicy Morawieckiego u szczytu stołu pokazuje jedyną prawdziwą hierarchię w obozie władzy.

WOJCIECH SZACKI

## Rykie w prawie

Partia Kukiza popierana przez kilkunastu posłów PiS złożyła wniosek o zmianę ustawy o ochronie zabytków i opiece nad nimi, który ma ułatwić poszukiwaczom uprawianie ich hobby. Ma ona trafić do Sejmu 5 lipca, a ponieważ nie konsultowały jej żadne gremia specjalistów, w środowisku konserwatorów zabytków czy archeologów zawrzało. Pełna luk i błędów legislacyjnych propozycja stoi w sprzeczności z art. 4 Ustawy o ochronie zabytków, a przede wszystkim z art. 5 konstytucji, poważnie zagrażając naszemu dziedzictwu archeologicznemu.

Czego chcą poszukiwacze? By mogli składać wnioski za pomocą aplikacji lub platformy e-puap do urzędów konserwatorskich o zezwolenia na poszukiwania; by ich też nagradzano za znalezienie zabytki archeologiczne, a nie tylko przypadkowych znalazców, i chcą zmienić art. 109 c, czyli kwalifikację nielegalnych poszukiwań z przestępstwa na wykroczenie. Rada Ochrony Dziedzictwa Archeologicznego nie zostawia na projekcie suchej nitki, podobnie jak muzealnicy oraz środowisko naukowe, które też podjęły uchwały wyrażające sprzeciw wobec kontrowersyjnego projektu. – *Po pierwsze, aplikacji nie ma i nie wiadomo, jak miałaby działać i być obsługiwana przez niedofinansowane urzędy konserwatorskie oraz na ile byłaby w stanie chronić przed eksploracją stanowisk archeologicznych czy miejsc pamięci* – mówi prof. Maciej Trzciniński z Uniwersytetu



Wrocławskiego, prawnik specjalizujący się w prawie ochrony dziedzictwa.

– *Po drugie, poszukiwacze chcą nagród za pomoc przy ochronie narodowych dóbr od zniszczenia, ale są głusi na to, że nauka stawia na badania nieinwazyjne, wyjęcie zabytku generuje olbrzymie koszty, a prace bez nadzoru pozbawiają znaleziska kontekstu kulturowego, czyniąc z nich często mało mówiący przedmiot. Najważniejsza jest jednak propozycja uchylecia artykułu 109 c, bo uwiera osoby na eksponowanych stanowiskach, którym za nielegalne przeczesywanie z wykrywaczami pól i lasów grozi wpisanie do rejestru przestępców (Krajowy Rejestr Karny), co może zaciążyć na ich karierze. – Odkąd artykuł wszedł w życie 1 stycznia 2018 r., gwałtownie wzrosła ilość zgłoszeń o pozwolenia na poszukiwania, czyli zapis zadziałał* – podkreśla prof. Trzciniński.

Lobby poszukiwaczy szukało dostępu i w końcu trafiło do posłów partii rządzącej, którzy najwyraźniej uznali, że 200–250 tys. poszukiwaczy to na tyle istotny elektorat, że warto zająć się ich sprawą przed wyborami. Pytanie, czy ktokolwiek w tej sytuacji będzie słuchał specjalistów. Poszukiwacze szafują argumentem o „ratowaniu” dziedzictwa narodowego. Tylko przed czym? Skoro zabytki setki lat leżały w ziemi, to mogą jeszcze poczekać na doskonalsze metody badawczo-konserwatorskie. Wygląda jednak na to, że nie doczekają, bo nasi ratownicy dziedzictwa wszystko wyciągną. I to zgodnie z prawem i w czynie patriotycznym. A.KRZ

## Mały piesek, ale głośny

**Karolina Lewicka**

Dziennikarka Radia TOK FM, wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka



**L**ewicka doskonale wie, że gdy w polityce dwóch się bije, tam obaj korzystają, a reszcie kurczy się pole walki. Wybrała zatem model działania mający zredukować straty, łącząc czytelną kontestację PiS z pełną otwartością na wspólne opozycyjne przedsięwzięcia. Mimo to stała się mimowolną ofiarą pogłębiającej się polaryzacji. W sondażach nie rośnie, lecz słabnie – średnia z czerwca to tylko nieco ponad 7 proc. (wobec 9–10 proc. notowanych przez ostatni rok). W lewicowych szeregach pojawił się strach, czy ich wyborcy ostatecznie nie pójda wydeptaną już w ostatnich wyborach prezydenckich ścieżką i nie oddadzą głosu na KO, jedyne ugrupowanie zdolne dziś pokonać ekipę Kaczyńskiego (tak jak popierali – już w I turze – Rafała Trzaskowskiego zamiast Roberta Biedronia). Aż dla 56 proc. wyborców Lewicy partią drugiego wyboru jest właśnie KO (sondaż IPSOS dla TOK FM i OKO.press), więc kartę do urny można byłoby wrzucić bez oburzenia.

Wiosną Lewica zainwestowała we własne, ilościowe i jakościowe, badania. Okazało się, że tylko 16 proc. tych, którzy dopuszczają (z różnym, także znikomym, prawdopodobieństwem) oddanie głosu na Lewicę, to lojalni wyborcy, czyli twardy elektorat – głosowali na nią w 2019 r. i teraz też cieszy się ich poparciem. Resztę podzieliło na pięć grup: trzy progresywne obyczajowo, ale różniące się między sobą w kwestiach gospodarczych (od gotowych na trudne reformy po zwolenników państwa opiekuńczego), oraz dwie grupy konserwatystów z socjalnym zacięciem. Tych ostatnich Lewica właściwie nie ma szans złowić, stąd potencjalna licytacja z PiS na finansowe transfery to droga donikąd. Do pozyskania są niemal wyłącznie ci, którzy podzielają jej poglądy na kwestie przerywania ciąży, antykoncepcji czy praw mniejszości seksualnych. Jednocześnie trzeba tutaj

obsłużyć programowo zarówno dobrze wykształconych i sytuowanych orędowników walki ze zmianami klimatu, jak i zarabiające najniższą krajową kobiety z małych miast pragnące bezpieczeństwa ze strony państwa.

**N**iewątpliwie kluczowe są dla Lewicy młode kobiety. Ma dużą szansę na ich głos, ale najpierw musiałyby je zmobilizować wyborczo, bo po bezskutecznych protestach po orzeczeniu TK w sprawie aborcji udały się na emigrację wewnętrzną. Lewica powinna też powalczyć o te młode kobiety, które dziś wybierają Konfederację, taktycznie przemilczającą swoje dawne postulaty programowe („żadnej aborcji”), za to kuszącą, także panie, „niskimi podatkami”.

Szansę Lewicy na stabilne notowania i dobry wynik zwiększyłby sojusz KO z Trzecią Drogą – przed którym Władysław Kosiniak-Kamysz i Szymon Hołownia na razie się wzdragają, ale szybko mogą zmienić zdanie w przypadku dalszych drastycznych tąpnięć poparcia dla ich koalicji wyborczej. IBRiS przebadał taki wariant: sojusz KO-PSL-Polska 2050 notuje prawie 39 proc., dystansując PiS o 5 pkt proc., a Lewica odzyskuje swoje 9 proc. (Konfederacja ma w tym układzie 12 proc.). Politycy Lewicy nie ukrywają, że liczą na taki obrót spraw, także dlatego, że sojusz Tuska z Trzecią Drogą siłą rzeczy przesunąłby byłego premiera nieco na prawo, dzięki czemu odzyskaliby część utraconej przestrzeni i mogli silniej stawiać na kwestie obyczajowe.

**W**reszcie przed Lewicą stoi jeszcze jedno poważne wyzwanie: musi obudzić ducha we własnym elektoracie. Na razie, według cytowanego już badania IPSOS, tylko niespełna co piąty jej wyborca uważa, że Lewica będzie w trakcie kampanii zyskiwać poparcie. Pozostali to pesymiści. Kiedy zaś w wywiadach fokusowych IBRiS zaproponował, by badani wyobrazili sobie swoje ugrupowanie w postaci zwierzęcia (tzw. animalizacja), wyborcy Lewicy zobaczyli... małego i głośnego pieska. Takiego, który na pewno ma sporo dobrych chęci, ale niewiele może zdziałać. To z pewnością nie jest dla Lewicy wizerunek marzeń.

## Czyszczenie lustracją

**W**raca deubekizacja. Tym razem nie tylko w celu wzmożenia elektoratu przed wyborami, ale też dla celów pragmatycznych. Na wypadek utraty władzy PiS będzie ją nadal sprawował przez wiernych i wdzięcznych ludzi w administracji publicznej. Tylko trzeba im znaleźć miejsca.

Tak PiS zrobił w sądownictwie i prokuraturze, w Trybunale Konstytucyjnym, w służbach specjalnych i w ogóle, gdzie się dało. Szacuje się, że nowa deubekizacja obejmie ok. 40 tys. osób pracujących na państwowych posadach: w służbie cywilnej, w urzędach. Pracownicy zostaną poddani lustracji. Ci, którzy pracowali lub współpracowali ze służbami specjalnymi PRL, stracą pracę automatycznie, bez prawa do odwołania się. Stracą ją także ci, którzy przyznali się do takiej pracy lub współpracy, ale dotąd mogli dalej pracować, bo ustawa lustracyjna karała

odsunięciem od funkcji publicznych tylko za nieprawdziwe oświadczenie lustracyjne.

Ustawa rażąco łamie konstytucję. RPO Marcin Wiącek naliczył sześć złamanych artykułów: • zasadę sprawiedliwości społecznej, bo zwalnia się mechanicznie, bez uwzględnia dorobku zawodowego w III RP; • zasadę ochrony pracy przez zastosowanie odpowiedzialności zbiorowej; • zasadę zaufania obywatela do państwa i stanowienia przez nie prawa – bo zmienia reguły gry; • prawo do wysłuchania i do obrony; • prawo do odwołania; • prawo dostępu do służby publicznej na jednakowych zasadach, ograniczając to prawo w sposób nieproporcjonalny i bezzasadny.

Nowa deubekizacja to całkowita zmiana prawnej filozofii lustracyjnej. Do tej pory opierała się ona na karaniu za kłamstwo lustracyjne, a nie za pracę czy współpracę z – legalnymi wtedy przecież – instytucjami PRL. Celem dotychczasowych przepisów było zapewnienie, by funkcji państwowych nie sprawowali ludzie podatni na szantaż,

skoro ukrywają swoją przeszłość. W uzasadnieniu nowej deubekizacji powołano się także na bezpieczeństwo państwa: wszelcy pracownicy i współpracownicy instytucji związanych z peerelowskim MSW mają mu rzekomo zagrażać.

**T**o symboliczne, że niekończące się rozliczanie współpracy z władzami PRL forsuje władza, która od ośmiu lat, z niemałymi sukcesami, przywraca PRL w rozmaitych dziedzinach życia: likwidując mechanizmy kontrolne, łamiąc zasadę trójpodziału władz, inwigilując na potęgę opozycję, systemowo rozkradając publiczny majątek, działając na szkodę polskiej gospodarki. I – wzorem władców PRL – zapewniając sobie bezkarność dzięki pozbawionej niezależności prokuraturze i kupionym za posady neosędziom.

Tak wygląda moralne prawo Zjednoczonej Prawicy do lustrowania. Ale moralnością ona się raczej nie przejmuje.

EWA SIEDLECKA



Zamieszki w podparyskim Seine-Saint-Denis.

## Francja znów spłonęła

**N**ie zaślanajcie się nim. Przestańcie niszczyć sklepy i autobusy. One niczemu nie są winne” – napisała w sobotę babcia Nahela M., 17-latka, którego śmierć z rąk policjanta podpaliła Francję. Chłopak pochodzący z rodziny o północnoafrykańskich korzeniach był już notowany i nie miał prawa kierować autem. Zaczął uciekać, gdy policja chciała go skontrolować. Ugrzązł jednak w korku, policjanci go dogonili i gdy ten znów próbował odjechać, jeden z funkcjonariuszy strzelił do niego z bliskiej odległości. Nahel zmarł po niecałej godzinie. Po następnej przypadkowej wideo ze zdarzenia trafiło do sieci. I się zaczęło.

Przez kolejne pięć nocy zamieszki na francuskich ulicach, głównie Paryża i Marsylii, z protestu przeciwko brutalności policji przerodziły się w regularne rozróbki. Atakowano nie tylko przypadkowe auta i sklepy, ale również symbole państwa, w tym ponad 150 ratuszy, rannych zostało ponad 200 policjantów. Celem stały się domy prawicowych polityków, w tym burmistrza jednego z przedmieść stolicy – jego żona została poważnie ranna, a dzieci poobijane.

W weekend, po tym jak do akcji w całym kraju wysłano dodatkowe 45 tys. funkcjonariuszy, sytuacja się uspokoiła. W nocy z niedzieli na poniedziałek aresztowano już tylko 49 osób, w porównaniu z 1311 dwie noce wcześniej. Średni wiek zatrzymanych to 17 lat.

Trudno powiedzieć, jaki wpływ na uspokojenie sytuacji miały apele babci zabitego. Jego krewni, przynajmniej oficjalnie, wierzą w wymiar sprawiedliwości i cierpliwie czekają na wyrok. Strzelający policjant został oskarżony o morderstwo z premedytacją i pozostaje w areszcie, co w przypadku francuskich policjantów jest bardzo rzadkie. Murem stanęły za nim policyjne związki zawodowe, a na jednej z platform crowdfundingowych dla rodziny funkcjonariusza zebrano już ponad 670 tys. euro.

**T**o już trzeci raz od początku prezydentury Emmanuela Macrona, gdy Francja płonie. Pierwszy był protest tzw. żółtych kamizelek z 2018 r., który wybuchł w reakcji na znaczącą podwyżkę podatków od paliw, a co za tym idzie – ich cen. Drugi był reakcją na niepopularną reformę emerytalną, m.in. podwyższającą wiek emerytalny. Francja ma wyjątkowo krótki lont.

## Drugi wróg NATO

**P**resiedlenie Jewgienija Prigożyna do Białorusi dodało dynamiki zabiegom o wzmocnienie wschodniej flanki NATO tuż przed szczytem w Wilnie (11–12 lipca). Grupa Wagnera nie stanowiła wcześniej zagrożenia dla Sojuszu, choć zdarzało się że była na celowniku wojsk państw NATO w Syrii czy Afryce. Niepewność co do tego, jakim siłom i przeciwko komu Grupa Wagnera mogłaby służyć z terytorium Białorusi, wywołuje niepokój i apele o większe siły w Polsce, na Litwie i Łotwie. Rządy państw zachodnich wołałyby widzieć Prigożyna jako wewnętrzny problem Rosji, ale sąsiedzi Białorusi przekonują, że dłużej tak się nie da. Jednak półtora tygodnia po nieudanej rebelii i kilka dni od zakładanego wcielenia wagnerowców do rosyjskiej armii wciąż nie ma twardych danych, ilu z nich skorzystało z opcji przenosin. W Białorusi,

na wszelki wypadek, zaczęto budować obóz dla kilku tysięcy osób, ale znawcy relacji między najemnikami mówią o najwyżej kilkuset najwierniejszych, którzy mogą wyjechać przez Białoruś do Afryki lub zostać.

Wywiad Ukrainy przekonuje, że exodusu nie widać, a NATO zapewne poczeka na dokładne dane. Jednak na szczycie w Wilnie Sojusz będzie musiał zająć się zarówno Prigożynem, jak i Białorusią. Po zapowiadaniu – a może już zrealizowanym – ulokowaniu tam rosyjskiej broni jądrowej postrzeżenie Białorusi zmieniło się bardziej niż po zarządzonym z Mińska i Moskwy wysłaniu migrantów na polską granicę. Połączenie atomowych głowic, nieprzewidywalnych wagnerowców i wrogiej wobec NATO retoryki zwiększa w Sojuszu świadomość, że Białoruś to nie jakaś „szara strefa”, tylko przeciwnik wcale nie tak trzeciorzędny, jak się wcześniej wydawało. Są w NATO kraje, w tym Polska, które w odpowiedzi żądają nawet przeniesienia na wschód

broni jądrowej. Ale wątpliwe, by NATO właśnie przez wagnerowców zwiększyło siły na wschodniej granicy, gdy wciąż nie zrealizowało planów przygotowanych z powodu Putina.

**Z** zamieszania wywołanego tym dziwnym puczem korzysta wreszcie Ukraina. Nieoczekiwanie dla Rosjan podjęła akcję zaczepną na zalanych terenach ujścia Dniepru, pod mostem Antonowskim w Chersoniu. Po wysadzeniu tamy Rosja wycofała część wojsk, przerzucając je na główny front ukraińskiej ofensywy w Zaporozżu. Wykorzystały to wojska specjalne Ukrainy, opanowując przyczółek na okupowanym południowym brzegu. Sukces podsylił spekulacje, gdzie nastąpi właściwe uderzenie. Ale głównodowodzący Ukrainy generał Walerij Załużny z irytacją gasi komentarze: to nie jest show, nie róbcie o to zakładów – każdy metr kosztuje naszą krew.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

## Sąd zmienia Amerykę

Co to był za tydzień w amerykańskim Sądzie Najwyższym! Najpierw w czwartek uznał on za niekonstytucyjny fakt uwzględniania przez uniwersytety rasy w procesie rekrutacji, czym zakończył wieloletnią akcję afirmatywną na wyższych uczelniach. A następnego dnia zablokował plan administracji Joe Bidena, który miał skasować niemal wszystkie długie studenckie w USA.

W tym pierwszym przypadku większość sędziów była zdania, że wspomniana akcja afirmatywna, która w zamyśle miała zapewnić różnorodność na uniwersytetach i lepsze szanse edukacyjne dla mniejszości rasowych, po prostu dyskryminuje osoby do nich nienależące. Sędziowie odrzucili też obowiązującą dotychczas logikę premiovania na studia przedstawicieli mniejszości jako zadośćuczynienia za społeczno-ekonomiczną opresję ich przodków.

Druga odrzucona propozycja dotyczyła oddłużenia ponad 40 mln obywateli, którzy wiele lat po zakończeniu studiów wciąż spłacają pożyczki zaciągnięte na czesne.

Z powodu niekorzystnych umów to szybko rosnący problem społeczny w USA – jeszcze 15 lat temu suma takich pożyczek wynosiła ok. 500 mld dol., dziś to już ponad 1,6 bln. Plan został jednak zaskarżony do Sądu Najwyższego przez kilka republikańskich stanów, które przekonywały, że prezydent przekroczył swoje uprawnienia, powołując się na ustawę dotyczącą „czasu wojny, innych operacji wojskowych i stanu nadzwyczajnego”. Przeciwnicy oddłużenia przekonywali również, że byłoby to w sumie wsparcie ogółu podatników dla kilku procent najlepiej sytuowanych obywateli.

W obu tych przypadkach z przytupem przypomnieli o sobie były prezydent Donald Trump, który do Sądu Najwyższego nominował aż trzech sędziów, wszystkich stosunkowo młodych (nominacje są dożywotnie) i bardzo konserwatywnych. Oba wyroki zapadły w stosunku 6 do 3 i odzwierciedlają przewagę konserwatystów w sądzie. Podobnie stało się wcześniej m.in. z cofnięciem przez Sąd Najwyższy konstytucyjnych gwarancji prawa do aborcji i liberalizacji zasad noszenia broni poza miejscem zamieszkania.

## Dmuchała armia

Mały epizod wielkiej wojny: w czeskim prowincjonalnym Děčinie, w opuszczonym supermarkecie, mieści się Inflatch, najnowocześniejsza obecnie wytwórnia nadmuchiwanego sprzętu wojskowego. Zatrudnia 25 osób i ma w ofercie ponad 30 modeli, w tym samoloty, czołgi i wyrzutnie rakiet, które – według osób dobrze poinformowanych – dostarcza teraz w ramach pomocy wojskowej Ukrainie. Firma tych informacji nie potwierdza, ale i zbyt stanowczo nie zaprzecza, a ostatnie nowości w ofercie: czołgi Abrams i zestawy HIMARS, rozwiewają wątpliwości.

Za sukcesami Inflatchu stoi Rosjanin Wiktor Tałanow, od 2014 r. przebywający w Czechach. On z kolei zdobywał doświadczenie u boku ojca Aleksandra, którego firma Rusbal od wielu lat produkowała balony, aż w pewnym momencie ich drogi biznesowe i polityczne się rozeszły. Także Rusbal produkuje atrapy dla wojska, a wiemy o tym z rosyjskiego portalu śledczego Insider, który ustalił, że Tałanow senior miał sprawę karną o łapówkarstwo: odpałał generałom 4 proc. od każdego kontraktu. Z kolei Tałanow junior uważa, że w Czechach robią dużo lepszy sprzęt, który bije konkurencję, w tym chińską, realizmem i nie wygląda jak wielkie pompowane materace.



W tej dziedzinie także dokonuje się ostry wyścig technologii: atrapy muszą być lekkie (teraz ważą ok. 40 kg), łatwo pompowalne i coraz bardziej oszczędne: obecne naspikowane są elektroniką i emitują ciepło. Niewykłuczone, że produkty Tałanowów spotykają się po obu stronach frontu.

Wydawać by się mogło, że ta tradycyjna dziedzina sztuki wojennej, oszukiwania przeciwnika, którą rozświetliła Operacja Fortitude podczas lądowania aliantów w Normandii w 1944 r., odeszła już w niepamięć. Tymczasem odgrywa coraz większą rolę taktyczną, a według „Forbesa” co trzeci ofiarowany Ukrainie HIMARS uznany przez Rosjan za zniszczony był właśnie w formie nadmuchiwanej, choć dokładnym danych nie ma. Każda zmarnowana raketa za miliony, która celuje w wydmuszkę zamiast w obiekt realny, to małe zwycięstwo Inflatchu.

## Kwadratura chipów

Chris Miller, amerykański autor bestsellerowej książki „Wielka wojna o chipy”, o znaczeniu planowanej dolnośląskiej fabryki Intelta.

JĘDRZEJ WINIECKI: – Polska będzie chipowym mocarstwem?

– Fabryka Intelta to ważny krok, ale pojedyncza inwestycja nawet tak dużej firmy, czołowego producenta procesorów wykorzystywanych do budowy komputerów i centrów danych, nie zmieni kraju w mocarstwo.

Jak peryferie nowoczesnej gospodarki mogą dołączyć do chipowej pierwszej ligi?

Starania o zakład pakujący chipy są zwyczajowo pierwszym krokiem. Polska ma przewagi konkurencyjne w dziedzinie projektowania chipów i to jest kolejny etap, którym mogłaby się zainteresować. Branża czeka całe dekady postępu. Zaawansowanie chipów rośnie, tak samo ich możliwości, a jednocześnie stają się coraz tańsze.

Czy można łatwo wyjaśnić, czym są?

To kawałki krzemu z milionami małych obwodów zapewniających całą światową moc obliczeniową. Ich produkcja jest bardzo droga, bo w żadnym innym przemyśle proces wytwarzania nie jest tak precyzyjny.

Dopiero w pandemii zrozumiano słabe punkty branży. Dlaczego tak późno?

Zachód uważał, że zachowuje wszystkie przewagi. Politycy zbyt długo zakładali, że lokowanie części produkcji w sąsiedztwie rosnących w siłę Chin nie wiąże się z żadnym niebezpieczeństwem. Teraz Chiny próbują nadrobić zaległości.

Czy mogą osiągnąć niezależność?

Pozostają daleko w tyle, ale jako jedyne są bliskie przełamania zależności od zachodnich rozwiązań. O ile USA i Japonia nie dzielą się technologiami z Chinami i dają im do zrozumienia, że atak na Tajwan jest niedopuszczalny, Europa popełnia ten sam błąd, co wcześniej z Putinem, lekkoomyślnie zakładając, że transfer technologii nie niesie ze sobą zagrożeń.

Z Tajwanu pochodzi lwią część chipów. Jak odczujemy ewentualny chiński zamach na wyspę?

Chipy wpływają na najważniejsze trendy globalne, od równowagi sił wojskowych, przez kształt globalizacji, po kondycję gigantycznych firm technologicznych. Działalność produkcyjna w każdym punkcie świata zostałaby zakłócona. Skutki byłyby katastrofalne. Doszłoby do powtórki wielkiego kryzysu z lat 30. XX w.



# Pan Kotek jest chory

Koty umierają na ptasią grypę, a państwowe służby weterynaryjne udają, że nic takiego się nie dzieje. O co chodzi? Jak zwykle – o pieniądze. I to duże.

AGNIESZKA SOWA

P

państwowa Inspekcja Weterynaryjna twardo stoi na stanowisku, że chociaż grypa ptaków jest chorobą podlegającą obowiązkowi zwalczania, to sprawa kotów ich nie dotyczy. Z urzędu i za państwowe pieniądze – twierdzą – mogą walczyć z tą chorobą tylko u drobiu.

Tego samego dnia, w którym główny lekarz weterynarii wydał komunikat w sprawie „choroby kotów”, informując, że mamy już 16 dodatknych wyników PCR na obecność wirusa H5N1 (popularnie określanego jako ptasia grypa), na stronie Głównego Inspektoratu Weterynarii pojawiła się informacja o złożeniu przez Polskę do Światowej Organizacji Zdrowia Zwierząt (WOAH) deklaracji o odzyskaniu statusu kraju wolnego od wysoce zjadliwej grypy ptaków. „Czy to jakiś żart?” – pytali kociarze na facebookowej grupie „Tajemnicza choroba kotów – grupa dochodzeniowa” liczącej już prawie 8 tys. członków. To nie żart. Ale, być może, jest to powód, dla którego służby weterynaryjne starają się sprawę kotów zamieść pod dywan, nie prowadząc dochodzenia

epidemiologicznego. Stawką jest możliwość eksportowania mięsa drobiowego i jaj, a w grze miliardy złotych.

A przecież nigdy dotąd na świecie nie było takiej skali zachorowań na ptasią grypę wśród kotów. W trakcie trwającej już 20 lat epidemii tej choroby zdarzały się tylko pojedyncze, sporadyczne przypadki zakażeń. W 2006 r. pierwsze w Europie zachorowały trzy bezpieczne koty na niemieckiej wyspie Rugia. W tym samym czasie obecność wirusa wykryto u dwóch kotów w schronisku, do którego przyjeżdża łabędzia zakażonego wirusem H5N1. W 2022 r. we Francji odnotowano kolejny śmiertelny przypadek u kota. A w Polsce 2023 r. to jest już, w ciągu tygodnia, prawie 30 potwierdzonych badaniem PCR przypadków i kilkaset, może nawet tysiąc – jak szacuje dr Dawid Jańczak, który od samego początku próbuje zbierać dane – przeważnie śmiertelnych zakażeń u kotów, u których jednak nie wykonano badania PCR.

– *Wystąpienie w jednym czasie tak wielu zakażeń wśród kotów to sytuacja stwarzająca ryzyko dla zdrowia publicznego* – mówi prof. Piotr Rzymiski, biolog medyczny i środowiskowy



© SHUTTERSTOCK

z Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu. – *Pojawienie się wśród kotów domowych wirusa ptasiej grypy stwarza potencjalne ryzyko lepszej jego adaptacji do organizmu ssaków, w tym człowieka, który z kotem ma bardzo bliski kontakt, mieszka z nim, przytula go, głaszcze.*

## Żadnych wytycznych

Inni naukowcy też uważają, że sytuacja wymaga nadzwyczajnej mobilizacji. Dzięki współpracy trzech grup badawczych, prowadzonych przez dr. Łukasza Rąbalskiego (Uniwersytet Gdański i Wojskowy Instytut Higieny i Epidemiologii w Warszawie), dr. hab. Macieja Grzybka (Gdański Uniwersytet Medyczny) oraz prof. dr. hab. Krzysztof Pyrcia (Uniwersytet Jagielloński), udało się kilka dni temu uzyskać pierwszą sekwencję wirusa grypy H5N1, która zakaża koty w Polsce.

Państwowy Instytut Weterynaryjny w Puławach przeanalizował sekwencje genomu wirusów od dziewięciu kotów. Stwierdzono, że należą do genotypu CH, który dominował w szczycie

obecnego sezonu grypy ptaków. Wszystkie wirusy od kotów wykazują bardzo bliskie pokrewieństwo między sobą, co wskazuje, że wywodzą się z jednego, niezidentyfikowanego źródła.

Jednak nadal brakuje oficjalnego stanowiska Inspekcji Weterynaryjnej, co uniemożliwia odwołanie Światowej Wystawy Kotów Olimpia, która ma się odbyć w weekend 8–9 lipca w podwarszawskim Pruszkowie. Zjadą się na nią koty z całego świata.

Zaczęło się na Pomorzu, trzy tygodnie temu. Jako jeden z pierwszych padł serwał. A potem kolejne zachorowania w całej Polsce. – *To idzie jak burza, kilkanaście godzin, maksymalnie 60* – tak przebieg choroby opisuje Marcin Mańk, prezes Unii Felinologii Polskiej, który stracił 10 kotów. Wtedy jeszcze nie miał pojęcia, co je zabiło. A lekarze nie wiedzieli, jak je leczyć. Bezradnie patrzył, jak odchodzą, jeden po drugim. W tej chwili niektórzy hodowcy na własną rękę podają leki przeciwwirusowe stosowane u ludzi chorych na grypę. Lekarzom weterynarii od pół roku nie wolno ich używać w leczeniu zwierząt. Zakaz wszedł w całej Europie, a wynika z obawy, że wirus uodpornia się na leki i nie będzie potem czym leczyć ludzi. Podobno działają. Jest już kilku kocich ozdrowieńców i trochę takich, które chorują ponad tydzień i wciąż żyją.

Stan kota Ninja, dachowca leczonego w Starogardzie Gdańskim przez lekarzkę weterynarii Agnieszkę Buczkowską, wciąż się pogarsza. Objawy były nietypowe: duszność, obrzęk niekarodiogeny płuc, wysoka temperatura, żółtaczka, drgawki, zwężone źrenice. Dodatkowe badania wciąż nie dawały odpowiedzi, na co choruje kot. I wtedy główny lekarz weterynarii podał informację, że u pierwszego zbadanego pośmiertnie kota wykryto wirus ptasiej grypy. A w okolicach Trójmiasta i w samym Trójmieście już od tygodnia, może nawet dłużej, do lecznicy przynoszono koty z dziwnymi ostrymi objawami, podobnymi do tych, jakie miał Ninja. Większość z nich umierała w ciągu kilku, kilkunastu godzin. Więc dr Buczkowska zaczęła się zastanawiać, czy jej pacjent nie choruje na ptasią grypę. Ninja został poddany eutanazji, bo cierpiał, a żadne leki nie skutkowały, właściwie nie wychodził już z obrzęku płuc, co oznaczało po prostu, że się dusił.

Nigdzie nie było żadnej oficjalnej informacji, co w takiej sytuacji zrobić ze zwłokami, jakie próby pobrać, dokąd je wysłać. Lekarka, która była na dyżurze, została po godzinach i zrobiła sekcję. Jakie próby pobrać i skąd, dowiedziała się z zamkniętego forum lekarzy weterynarii od dr. Jańczaka. Pobrała suche wymazy z gardła i z nosa, zabezpieczyła krew EDTA i surowicę. Zwłoki kota włożyła do zamrażarki, a wycinki wątroby i płuc w soli fizjologicznej do lodówki. Dodatkowo w formalinie.

Potem była niedziela. W poniedziałek nadal nie było żadnych oficjalnych wytycznych dla lekarzy. We wtorek do lecznicy przyszła prośba z inspekcji, żeby raportować wszystkie podejrzane przypadki. I w załączeniu tabelka, w którą należy wpisywać objawy, wiek kota i zastosowane leczenie. Ani słowa o badaniach PCR. Kot dalej leżał w zamrażarce. W środę dr Buczkowska w rozmowie z powiatowym lekarzem weterynarii otrzymała informację, że trwa narada i wytyczne zostaną przekazane. W czwartek zadzwonili z inspekcji. – *Otrzymałam informację, że możemy sami wysłać wycinki do Puław i badać na własny koszt* – mówi dr Agnieszka Buczkowska. – *Jaka prywatna praktyka może sobie pozwolić na to, żeby płacić 330 zł za badanie PCR? Bo że żaden właściciel kota, który już nie żyje, nie będzie chciał tego sfinansować, to jestem pewna.* Krew i wymazy wysłała do AnimalLabu, do dr. Jańczaka.

## Tylko wścieklizna

Anna, hodowczyni kotów, za sekcję swojego kota i badania narządów zapłaciła ponad 600 zł. Najpierw zachorowało 10 młodych kociąt. – *Umarły wszystkie* – Annie ciągle trudno o tym ►

► mówić. Jednego przebadali i ma już wynik z Instytutu w Puławach. Kociak był zakażony wirusem ptasiej grypy.

– *Właściciel jednego czy dwóch kotów nie zrobi sekcji i badań genetycznych, i nie chodzi tylko o pieniądze – mówi hodowczyni. – Wszystko musiałam sama załatwić, dotrzeć do szefa zakładu w Puławach, nawet sama wysyłałam próbki na suchym lodzie, bo przecież żaden kurier tego nie weźmie.*

Ona była zdeterminowana, bo w domu były także dorosłe koty. Wtedy jeszcze zdrowe. Zachorowały kilka dni temu. Dziesięć. Na razie żyją. – *Dzięki temu, że udało się zrobić sekcję i zbadać wycinki tego kociaka, wiem, jak można próbować je leczyć – mówi Anna.*

Początkowo lekarze podejrzewali zatrucie. Bo kocięta zachorowały następnego dnia po zjedzeniu nowej karmy. Anna sama przygotowuje im mięso, miele, dodaje suplementy, porcuje i zamraża. Tym razem to były piersi kurczaka z dyskontu (akurat była duża promocja) i podroby z osiedlowego mięsnego. Jak zachorowały kociaki, całe stado przeszło na puszki. – *Ale ja to mięso mam zamrożone – mówi. – Proponowałam powiatowemu lekarzowi weterynarii, żeby je dać do badania, ale nie był zainteresowany.*

– *Państwowe służby weterynaryjne nie są od tego, żeby koordynować leczenie wszystkich gatunków – mówi zastępca głównego lekarza weterynarii Krzysztof Jażdżewski. – Grypa ptaków jest chorobą zwalczaną z urzędu, ale u ptaków, nie u kotów. U mięsożernych zwalczamy tylko wściekliznę. Nawet nie ma procedur, według których mielibyśmy działać w tej sytuacji.*

Sanepid zainteresował się jednak hodowlą, w której wystąpiły tak liczne zachorowania kotów na ptasią grypę, a poszlaki wskazują, że koty mogły się zarażać także od siebie nawzajem, nie tylko drogą pokarmową. Właściwie nie tyle hodowlą, ile zdrowiem Anny i jej rodziny. Na razie ograniczyli się do przeprowadzenia szczegółowego wywiadu.

## Wolnoamerykanka

Ponieważ państwowe organy weterynaryjne najwyraźniej nie prowadzą dochodzenia epidemiologicznego, zmobilizowali się lekarze weterynarii prowadzący prywatne praktyki. Jako jeden z pierwszych dr Dawid Jańczak, założyciel laboratorium AnimalLab. Na zamkniętej grupie weterynaryjnej na Facebooku zadeklarował, że można wymazy i preparaty posekcyjne przesyłać do niego, a on je zbada pro bono. Poinstruował też kolegów, którzy takich wycinków nie doczekali się od powiatowych lekarzy weterynarii, co i jak mają wybierać, na jakie podłoże, jak przesyłać. Zrobił też ankietę i interaktywną mapę, na której lekarze od kilku dni nanoszą przypadki niepotwierdzonych jeszcze zakażeń. W zeszłym tygodniu było już sto zaraportowanych przypadków o identycznych lub bardzo zbliżonych objawach choroby. – *Razem z kotami, od których dostałem wymazy lub wycinki narządów, jest już 150 przypadków, ale to zapewne wierzchołek góry lodowej – mówi dr Jańczak. – Wiele kotów mogło nawet nie trafić do lecznicy, bo przebieg tej choroby jest pionujący. Jednego dnia kot nie ma apetytu, jest osowiały, a wtedy przecież nikt od razu nie pędzi do lekarza. Następnie dochodzą inne objawy, jak duszność czy drgawki – to daje jasny sygnał, aby natychmiast udać się po pomoc do lekarza weterynarii. Niestety, w większości przypadków koty umierały w ciągu 1–2 dni mimo intensywnej terapii.* A zdarzało się i tak, że do lecznicy nie trafiły wcale. Opiekun odłożył wizytę na popołudnie, jak wróci z pracy, ale kot już był martwy.

Dr Jańczak nie robi badań PCR w kierunku H5N1, uruchomił więc wszystkie swoje prywatne kontakty i na razie jakoś się udaje. Ale materiału do badań przybywa. Pierwsza partia to 12 próbek, właśnie przyszły wyniki, 10 jest pozytywnych i te zakażenia ptasią grypą nie są uwzględnione w komunikatach głównego lekarza

weterynarii. Ale kolejna partia to 37 próbek przekazanych do badań. Wyników jeszcze nie ma. – *Żeby opracować te zgłoszenia, bo najczęściej dostają tylko kartkę z pieczętką lecznicy i datą, żadnych badań, dokumentacji medycznej, opisu objawów, będą potrzebował co najmniej dwóch dni – mówi dr Jańczak.* Dzwoni do lekarzy, którzy wysłali mu wycinki, i przeprowadza dokładny wywiad.

Sam nie da rady. Od początku zaangażowana w pomoc zrozpaczonemu kociażom jest dr Katarzyna Olbrych, adiunkt w Katedrze Nauk Morfologicznych Instytutu Medycyny Weterynaryjnej SGGW w Warszawie, która m.in. przeprowadza sekcje. Po godzinach. Pierwsze badania robiła w Laboklinie, gdzie potwierdzili parainfluenzę. Próbowała namówić Państwowy Instytut Weterynarii w Puławach, ale usłyszała, że nie mogą zajmować się kotami, bo to nie jest gatunek strategiczny gospodarczo. W końcu przez prywatne kontakty udało się jej wysłać wycinki narządów do Puław. Zaangażowała się w sprawę na prośbę Unii Felinologii Polskiej, stowarzyszenia zrzeszającego kociaży z różnych związków, klubów i federacji.

Zaangażowała się też dr hab. Olga Szaluś-Jordanow z Zakładu Chorób Zakaźnych SGGW. Dołączył do nich prof. Tomasz Dzieciatkowski, mikrobiolog, wirusolog, dr hab. nauk medycznych, adiunkt Katedry i Zakładu Mikrobiologii Lekarskiej Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, który karierę naukową (studia magisterskie i doktorat) zaczynał w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. No i jest miłośnikiem kotów. To on zrobił pierwsze badania wirusologiczne zakażonych kotów na SGGW. Na cztery próbki od dwóch kotów jedna wyszła pozytywna.

– *Musimy stworzyć jeden wspólny zespół badawczy – mówi dr Jańczak. – Inaczej to nie ma sensu. Pewnie to będzie pod egidą SGGW. Prof. Dzieciatkowski ma przygotować wnikliwą ankietę dla lekarzy weterynarii i próbki prawdopodobnie będą badane za pośrednictwem SGGW.*

Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu zaferował nieodpłatne badania PCR materiałów z wymazów i sekcyjnych. Warunkiem jest zakwalifikowanie pacjenta na podstawie wyników wypełnionej przez lekarza weterynarii ankiety o charakterze epidemiologicznym. – *Do tej pory z pytaniem zwróciły się cztery lecznice, z tego jedna odesłała informację zwrotną, jednak pacjenta nie zakwalifikowano do badań, a pozostałe trzy lecznice nie odesłały ankiety – mówi dr hab. Stanisław Dzimira, prof. Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, dziekan Wydziału Medycyny Weterynaryjnej.*

## Grupa dochodzeniowa

Na razie panuje chaos. Na Facebooku kociaży prowadzą własne śledztwo, próbując dociec, jak koty zarażają się ptasią grypą. Większość naukowców wypowiadających się publicznie za najbardziej prawdopodobną uznają drogę pokarmową. Prof. dr hab. Tadeusz Frymus z Katedry Chorób Małych Zwierząt Instytutu Medycyny Weterynaryjnej SGGW przypomina, że w 2018 r. w Wielkiej Brytanii, gdzie w niektórych rejonach wciąż występuje gruźlica bydła i co roku całe stada są wybijane, wykryto w przynajmniej 30 miejscach ponad 90 przypadków bydłowej gruźlicy u kotów. Wszystkie koty jadły surową karmę mięsną jednego producenta.

– *Biorąc pod uwagę to, że do zakażeń dochodzi liniowo, w tym samym czasie, ale w oddalonych czasem o setki kilometrów miejscach, a jednocześnie infekcje kotów wirusem H5N1 pojawiły się w Polsce, a nie ma podobnych doniesień z krajów ościennych, najbardziej prawdopodobna jest droga pokarmowa – mówi prof. Piotr Rzymki. – Pytanie, czy to rezultat spożycia skażonego mięsa drobiu, dzikich ptaków, a może jedno i drugie. Ustalenie tych kwestii jest ważne, by wygasić obecną sytuację i zapobiec zagrożeniu dla*



## Sto ras

**W** Polsce żyje ok. 8 mln kotów. Ostatnie szacunki Europejskiej Federacji Producentów Karmy (FEDIAF) z 2020 r. mówiły o 7 mln, ale w czasach pandemii przybyło w polskich domach wiele czworonogów, więc kociarze dodają milion. Najwięcej jest oczywiście kotów popularnie nazywanych dachowcami. Nie ma wiarygodnych szacunków dotyczących liczby kotów wolno żyjących. Gminy powinny to raportować, ale niektóre, gdy takie stado ma swoją karmicielkę, która koty dokarmia i interweniuje w razie choroby, uznają je za koty wychodzące, a nie wolno bytujące.

**R**asowych kotów jest mniej niż dachowców, ok. 10 proc. wszystkich, a więc 700–800 tys. Polski Związek Felinologiczny oraz Międzynarodowa Federacja Felinologiczna FIFE wyodrębniają około stu ras kotów. Różnice między nimi są ogromne i dotyczą zarówno wyglądu, jak i charakteru. Czasem aż trudno uwierzyć, że pozbawione sierści sfinksy i długowłose koty perskie czy olbrzymie, dochodzące do 10 kg main coony, i małe, wagiące zaledwie 1,5–2 kg koty singapurskie to ten sam gatunek. W Polsce najpopularniejsze są koty brytyjskie i main coony. Ale wielu zwolenników mają też koty perskie, syjamskie, rosyjskie niebieskie albo do niedawna mniej znane bengalskie, ragdolle, syberyjskie czy podobne do main coonów norweskie leśne.

**N**ajdroższe, osiągające cenę nawet powyżej 20 tys. zł, są serwale i hybrydy serwali z kotami domowymi nazywane savannah. Oczywiście, o ile uznamy serwale i krzyżówki za koty domowe. Jeżeli nie, to najdroższym kotem domowym jest kot singapurski: ok. 10 tys. zł. Niemal równie dużo co kocich ras jest stowarzyszeń zrzeszających właścicieli i hodowców. Żeby ułatwić miłośnikom kotów rasowych rozeznanie się w gąszczu organizacji działających w Polsce, z inicjatywy Polskiej Federacji Felinologicznej Felis Polonia, Polskiego Związku Felinologicznego i Klubu Kota X-Treme powołano Unię Felinologii Polskiej, która zrzesza inne stowarzyszenia i kluby.

*zdrowia publicznego, bo H5N1 u kotów domowych to nie tylko problem kociarzy.*

Mechanizm jest prosty. Im więcej infekcji, tym większe ryzyko, że wirus zmutuje. Wirusy grypy są bardzo niestabilne, mutują szybciej niż SARS-CoV-2. Jakby tego było mało, może dochodzić wśród nich do zjawiska reasortacji genetycznej. – *Genom tych patogenów składa się z ośmiu segmentów RNA, więc gdy dochodzi do jednoczesnego zakażenia komórki różnymi szczepami, to w procesie replikacji może dojść do wymiany takich segmentów* – mówi prof. Rzymiski. – *Powstają wtedy reasortanty, a skutki są trudne do przewidzenia. Wirus może być wtedy bardziej patogenny, a nawet zyskać zdolność zakażenia nowych gatunków. Rezultatem różnych reasortacji pomiędzy wirusami grypy ludzkiej, świńskiej i ptasiej był pandemiczny szczep H1N1, który pojawił się w 2009 r.*

Na szczęście jest lato i nie ma wielu przypadków zachorowań na grypę wśród ludzi. – *To zmniejsza ryzyko, że wirus ludzkiej grypy spotka się z wirusem ptasiej grypy np. w organizmie kota, dojdzie do reasortacji i powstania wersji wirusa, który byłby niebezpieczny i transmisyjny wśród ludzi* – mówi prof. Rzymiski. – *Nie zmienia to faktu, że w trybie pilnym należy ustalić dokładne źródło infekcji wirusem H5N1 u kotów i wyhamować pojawianie się nowych przypadków.*

A żeby to zrobić, konieczne jest ustalenie, co chory kot jadł w ostatnim okresie. – *Jeżeli są jakieś pozostałości takiego pożywienia, to należy je natychmiast zbadać* – mówi profesor. Tego samego domagają się internauci na facebookowej grupie dochozeniowej: „Służby weterynaryjne i sanepid powinny już od tygodnia kontrolować partie karmy i mięsa w zakładach i sklepach, nie zaponinajmy, że to mięso było przeznaczone dla nas!”.

– *Zarówno koty, jak i kwestia mięsa przeznaczonego dla ludzi to sprawa służb weterynaryjnych* – mówi rzeczniczkę głównego inspektora sanitarnego Szymon Cienki. – *Dopóki nie ma zoonozy, czyli przeniesienia choroby ze zwierzęcia na człowieka, sanepid nie ma nic do tego. Ale będziemy w kontakcie z weterynarią.*

Problem tylko w tym, że państwowe służby weterynaryjne nie palą się do ustalania źródła infekcji, bo koty nie są w obszarze ich zainteresowania. Wiemy tyle, ile informacji zebrali

od właścicieli lekarze weterynarii prowadzący prywatne praktyki. Że Ninja, ten ze Starogardu Gdańskiego, jadł surowe drobiowe mięso. Najczęściej piersi kurze w promocji hipermarketowej. Jego towarzysz nie chciał nawet powąchać surowego. Nie jest chory. Tych kurzych filetów już dawno nie ma.

Posiłek przygotowany przez Annę na bazie filetów z kurczaka z dyskontu, którego nie chciała badać Powiatowa Inspekcja Weterynaryjna, dotarł do niezależnego laboratorium. Wyników jeszcze nie ma.

## Kolejna pandemia?

Na facebookowej grupie pojawiła się informacja, że prof. Krzysztof Pyrc z Uniwersytetu Jagiellońskiego zadeklarował, iż przebada próbki karmy i mięsa, jakie jadły koty, które zachorowały. – *Sprawdzamy różne ścieżki transmisji wirusa, jak będziemy mieć wyniki, to je udostępniemy* – prof. Pyrc na razie nie chce powiedzieć nic więcej. Badania prowadzi w ramach sieci badawczej Durable, europejskiego projektu, który zajmuje się różnymi aspektami przygotowania do kolejnej pandemii. – *Alarmująca sytuacja z ptasią grypą jest już od półtora roku* – twierdzi prof. Pyrc. – *To, co nas niepokoi najbardziej, to transmisja na ssaki. W marcu w Peru z powodu infekcji wirusem H5N1 zginęło ponad 3,5 tys. lwów morskich.*

Ssaki, w tym ludzie, są mało podatne na infekcje H5N1. W ciągu ostatnich 20 lat, bo tyle trwa epidemia ptasiej grypy, zachorowało na nią niespełna tysiąc ludzi. To nie jest dużo. Bo dziesiątki, może setki tysięcy miało kontakt z milionami chorych i martwych ptaków na gigantycznych fermach hodowlanych. Ci, którzy pracowali w tych megakurniach, gdzie powietrze aż gęste jest od unoszącego się w nim pyłu z wysuszonych odchodów i piór, żeby uniknąć kontaktu z wirusem, musieliby zakładać kombinizony kosmonautów. Więc do infekcji u ludzi dochodzi naprawdę rzadko. Ale kiedy już człowiek choruje na ptasią grypę, szanse na przeżycie ma niewielkie. Połowa z zainfekowanych wirusem H5N1 zmarła. Koty, także ssaki, do tej pory również zakażały się niesłychanie rzadko. Coś się jednak najwyraźniej zmieniło.

AGNIESZKA SOWA



# Witajcie w Orlenlandzie

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

W Starej Białej pod Płockiem powstaje miasteczko dla 13 tys. pracowników z Azji. Miejscowi pytają, jak odróżnić dobrego muzułmanina według Obajtka od złego według Kaczyńskiego.





Kontenerowe miasteczko w Białej.

**C**i sami – macha ręką Polak we wsi Stara Biała, powiat płocki. Porównał Azjatów szturmujących od kilku lat wschodnią granicę z Azjatami kręcącymi się po okolicy. Tam i tu duże grupy z Pakistanu, Indii, Bangladeszu. Tam są tropieni przez mundurowych po lasach jak zwierzęta i wywalani z Polski. Tu wynajmują hotele, domy, dzierżawią działki, chodzą po sklepach, leżą na wiślanych plażach, jeżdżą do Płocka rozejrzeć się w możliwościach podryw. Wolni ludzie, policja nie reaguje na kolor ich skóry, a powiatowym trudno się w takiej politycznej zmianie połączyć.

Upalne niedzielne przedpołudnie koło kościoła w Starej Białej, biją dzwony, ciepły głos księdza Zbigniewa płynie głośniekami na dziedziniec. Widok z kościelnego

wzgórza w Białej Starej zamyka kombinat petrochemiczny Orlen. Dymiący gigant, kilkadziesiąt kominów, dźwigi, nocą luna od komina – pochodni. Orlen zrzuca gazy, mówi okolica, śmierdzi benzyną i czymś słodkim; normalne. Kombinat od dziesięcioleci rządzi pracą w regionie, daje i odbiera. Przylegająca do niego ulica jest jak huba nadrzewna – żyje z betonu, rur, instalacji, cystern, ubrań roboczych. Kombinat jest ekspansywny, kolonizuje otoczenie, wszystko dzieje się w związku z nim – ostatnio podpełzł polami pod okna gospodarstw w Białej, pod kukurydzę i buraki.

– Jesienią nagle zaczął się wielki ruch, koparki, betoniarki, zwozili materiały i kontenery – mówi właściciel domu we wsi. – A wiosną stanęło nam za miedzą to nowe miasto. Potwierdziło się to, o czym

*ludzie od dawna tu mówili, ale nikt nie dowierzał: sprowadzą do nas 6 tys. Azjatów.*

Tak się zadziało, bo Orlen postanowił. Orlen, czyli partia rządząca PiS, czyli prezes i ponowny wicepremier Jarosław Kaczyński. Z kombinatem się nie dyskutuje, kombinat to państwo – to główne prawo codzienności w Orlenlandzie na północnym Mazowszu.

•••

Miasteczko z 2,5 tys. kontenerów mieszkalnych – takie, jak stawiano dla żołnierzy w czasach zamkniętej zony przy granicy z Białorusią – zbudowały dwie firmy wchodzące w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej, innego kolosa w państwowych rękach. A rękami Azjatów zrobi się największą inwestycję w Europie, zakład rafineryjno-petrochemiczny Olefiny III. Orlen zwiększy potęgę. A w wielu wsiach Mazowsza zamieszkają robotnicy z Pakistanu, Bangladeszu, Turkmenistanu, Filipin, Malezji, Indii – wyłącznie mężczyźni, w większości muzułmanie. Osiedlą się w powiatach gostyński, płockim, sochaczewskim, sierpeckim i płońskim.

Budowa Olefin III ma potrzebować ok. 13 tys. ludzi, trwać do 2025 r. i kosztować 13 mld zł. Takie globalne kontrakty negocjuje się latami. Rozmowy z azjatyckim wykonawcą musiały się zająć w czasie w wprowadzonym przez rząd PiS we wrześniu 2021 r. stanem wyjątkowym na granicy polsko-białoruskiej, zamknięciem i zmilitaryzowaniem regionu i budową granicznego muru. Zona wymierzona była w imigrantów, także z krajów, z których przyjeżdżają robotnicy rozbudowujący płocki kombinat Orlenu. Służby państwowe wyłapywały ludzi w lasach nadgranicznych wtedy i robią to do dziś, często odmawiając im praw – w zonie zginęło już kilkudziesięcioro imigrantów.

Ludzie w Starej Białej, Maszewie, Koszółce, Brudzeniu, Murzynowie i innych wsiach okolic kombinatu boją się muzułmanów z Azji. Po mszy w Białej Starej kobieta w średnim wieku pyta poważnie, wskazując na kilkunastoletnią córkę: – *Boję się o dziecko. Czy ktoś z rządu albo może z Orlenu powie mi, jak mam odróżnić dobrego muzułmanina z Azji od złego?*

## Słowa

Obcych widać, badają teren, patrzą ciekawie. Najczęściej młodzi, chodzą zawsze po kilku, zawsze z plecakami, ubrani za ciepło jak na porę roku. Chwalą ich sklepowe: grzeczni, uśmiechnięci, kłaniają się po kilka razy. W sobotni wieczór promenadują po Wzgórzu Tumskim w Płocku, gęsiego brzgiem chodnika, skromni, ►



Wnętrza kontenerowego miasta. Jest sterylnie, minimalistycznie i na razie pusto.

► unikają spojrzeń przechodniów. Bo też są obserwowani.

– *Zupełnie normalni* – orzekają z ulgą starsze panie spędzające dni na ploteczkach i opalaniu się nad Wisłą. – *Ale mam nadzieję, że ich przesiewają, zanim przyjadą.*

Ciemnoskórzy mężczyźni zesłali nad rzekę, będą grzać się w słońcu. Rozmawiają niechętnie, niektórzy nie mówią po angielsku – tłumaczą ich znajomi. Byli sprawdzani przed przyjazdem do Polski? Nie, pojawiły się w ich miasteczkach wieści o pracy w Europie, był werbunek „na projekt”. Szukano mężczyzn młodych i silnych, najchętniej doświadczonych. Werbunkowy zachwalał zarobki i warunki życia na budowie, papierkową robotę z zezwoleniami załatwiali pośrednicy, poszło gładko. Na magiczne słowo „Europa”, mówią, każdy w ich stronach zareaguje – Europa to bogactwo, mieć krewnego w Europie to jak być człowiekiem lepszej klasy. Potem wiadomość o pracy szła już sama, podawana znajomym, przemailowana do rodziny. Sprawdzili w internecie, gdzie leży Polska. – *Dobre położenie* – orzekają z uśmiechem. – *Europa to kraj OK i ludzie OK.*

•••

Jeden pokazuje zdjęcie rocznego chłopca w komórce – syn. To z jego powodu tata jest w Europie, będzie małemu budował przyszłość, rozbudowując polski Orlen. Gdy wróci z pieniędzmi, synek będzie miał dwa albo i trzy lata, a do tego czasu raczej nie zobaczą się inaczej niż przez kamerkę – bilety lotnicze za drogę. Rozmowa nad Wisłą kończy się nagle i ze zgrzytem, kiedy chłopaki dowiadują się, że gadają z dziennikarzem. Szef ostrzegał przed dziennikarzami, za takie kontakty można wylecieć z roboty. Proszą, żeby nie podawać ich imion ani kraju, z którego pochodzą.

Do pracy przy Olfinach III werbowali ludzi w Azji południowi Koreańczycy z Hyundai Engineering i Hiszpanie z Técnicas Reunidas – obie firmy przedstawiają się na swoich stronach jako globalni liderzy w budownictwie dla energetyki. PKN Orlen zapewnia dziennikarzy, że w Polsce brakuje firm zdolnych wykonać tak skomplikowane roboty, dlatego właśnie – po otwartym przetargu – kontrakt dostali cudzoziemcy.

Hyundai Engineering był zresztą, jak przypomina Business Insider Polska, znany polskim władzom już wcześniej – od 2020 r. budował w tak samo zorganizowany sposób, rękami azjatyckich robotników mieszkających w kontenerowym miasteczku koło Szczecina, zakłady Polimery Police należące do Grupy Azoty, w której 33 proc. udziałów ma Skarb Państwa. Tamtejsza budowa najwyższy poziom zatrudnienia zanotowała w listopadzie 2021 r. – dwa miesiące po wprowadzeniu stanu wyjątkowego na wschodzie Polski.

•••

Inwestycja w płockim Orleniu jest zbyt wielka, by można ją było przemilczeć, więc tutaj słowa dobiera się ostrożnie. W poprawności politycznej produkuje mundurowi i media, takie jak TVP, która wobec obcych w zonie przy białoruskiej granicy nie miała skrupułów.

I tak: „należy otworzyć się na świat”, przekonują wykonawcy. Będą „prezentacje kultur poszczególnych narodów i ich zwyczajów, kuchni i muzyki” w formie pikników dla każdego, jak podaje PKN Orlen. Według PortalPlock.pl pojawią się billboardy oraz spoty w radiu i telewizji „podnoszące świadomość kulturową i obyczajową wśród mieszkańców Płocka i okolic”. Policjanci z wydziału prewencji płockiej komendy ruszyli do szkół z pogadankami

antydiskryminującymi – wspólna kampania policji i Orlenu nosi tytuł „Szacunek nie ma koloru” i służy „promocji wielokulturowości, przeciwdziałaniu stereotypom, zwalczaniu hejtu i mowy nienawiści”. Tę ostatnią wiadomość podała już w marcu TVP. Robotnicze miasteczko kontenerowe wówczas dopiero powstawało w szczerym polu.

Telefon do jednego z ośrodków wypoczynkowych niedaleko Koszeli, podpłockiego kurortu nad Jeziorem Zdzworskim: wynajęliby pokoje dla dziesięciu Azjatów z orlenowskiego kontraktu na pół roku, z możliwością przedłużenia na rok? Odpowiedź: już mają gości z Azji. W gospodarstwie agroturystycznym odpowiadają: wolimy nie, bo odstraszymy naszych stałych klientów. W trzecim miejscu: możemy rozmawiać o koreańskich inżynierach, ale o fizycznych z Bangladeszu nie. W trzecim miejscu zdenerwowanie: w Koszeli już tyłu Azjatów, że więcej nie trzeba. Nikt z nimi nie uzgadniał tej kolonizacji.

## Cudzoziemcy

Gdy rząd w Warszawie zorientował się, że polska prowincja boi się obcego, do Płocka przyjechał w maju Maciej Wąsik, wiceminister spraw wewnętrznych i administracji, by uspokajać lokalnych mieszkańców i gospodarzy. Bo ludzie przychodzili do urzędów pytać, co ich czeka, a urzędy nie umiały odpowiedzieć.

– *Pan minister przyjechał ratować sytuację, bo wymykała się rządowi z rąk* – mówi lokalny samorządowiec. – *Choć przecież powinien się orientować, że resort, w którym pracuje, skutecznie obrzydził Polakom cudzoziemców stanem wyjątkowym, murem na granicy z Białorusią i histerią antyuchodźczą rozkręcaną przed każdymi wyborami.*

Wąsik, jak przystało na ministra siłowego, obiecał obywatelom północnego



Mazowska więcej policjantów w związku z obecnością Azjatów – płocka prewencja zwiększyła się o 80 funkcjonariuszy. Zapowiedział także całodobowy posterunek na terenie osiedla kontenerowego i całodobowe patrolowanie okolic. A jeśli będzie taka potrzeba, policję wzmocni się dodatkowo. Tak samo jak dodatkowo i z łatwością można rozbudowywać miasto kontenerowe – budownicy podkreślają jego elastyczność, wystarczy dostawić kontener na dachu poprzedniego – jeśli trzeba będzie więcej rąk do pracy. W Polskę poszły więc dwa komunikaty: witamy was, obcy, ze staropolską gościnnością, oraz: pilnujcie się, bo mamy was na oku.

•••

Białe, robotnicze miasto z kontenerów lśni w słońcu, otoczone parkanem z mocnego drutu i nadziane kamerami na słupach w każdym rogu i co kilkanaście metrów wzdłuż swoich granic. Pilnujący bramy ochroniarz z firmy Orlen Ochrona mówi, że zasiedlanie rozpoczęło się w połowie czerwca, na razie mieszka tu ok. 80 osób. Właśnie wezwał taksówkę dla dwóch Koreańczyków, ale zabłądziła w polu. Koreańczycy to tutejsza elita, głównie inżynierowie i brygadziści – technokracja. Ci, którzy są już na budowie, mieszkają w kwaterach po wsiach i hotelach Płocka. Rzucają się w oczy mieszkańcom Orlenlandu, jak czasem mówi się o szerokim sąsiedztwie kombinatu, a jest ich około tysiąca.

Kilkunastotysięczna siła robocza dopiero pakuje się do samolotów w dalekiej Azji – stworzą w Białej pod Płockiem wielkie męskie, mużułmańskie miasto. Internet już dudni – od strachu, hejtu i żartu. Pełno także klasycznych cytatów z pisowskich polityków: czy Azjatów przebadano na obecność pasożytów? (to z Kaczyńskiego), czy będą pracować

za michę ryżu? (to z Morawieckiego). Najczęściej pojawia się jednak: nie ma już Polaków do pracy w tym kraju? I od razu cyniczna odpowiedź: nie ma, rozleniwili się rządowym socjałem 500+ i obecnie czekają na przyobiecane 800+, praca im się nie opłaca. Jak dowiedział się w plocim Urzędzie Pracy portal money.pl, Orlen od kilku lat nie zgłasza ofert pracy, zatrudnia własnymi kanałami. Gotowe Olefiny III mają zatrudnić – jak podaje Orlen – 580 osób.

Tymczasem widać martwe kilkusetmetrowe przebiegi wybetonowanych ulic między rzędami modułowych blaszanek. Kontenery wielkości tych, jakie widuje się na tirach. W kontenerze dla techników dwa łóżka, dla fizycznych również dwa, ale piętrowe; biel ścian, czerni łóżek, jedna lampa sufitowa – wystroju brak. Ochroniarz nie pozwala wejść za bramę, fotografować można z zagonu kukurydzy.

•••

A dookoła Orlenlandu buzuje polskość. W Rokiciu, przez drogę ze Starą Białą, uroczyste odsłanianie tablicy ku czci kpt. Ludwika Kamińskiego, ps. Wyrwa, żołnierza wyklętego. Jest odpust, msza biskupia, dania Koła Gospodyń Wiejskich z Murzynowa, a na koniec piknik rodzinny – ale nie w związku z państwową kampanią „Szacunek nie ma koloru”, tylko patriotyczny. Przebrani za partyzantów mężczyźni ustawiają karabiny w kozły, zachęcają dzieci do zapoznawania się z bronią palną.

Rozmowa schodzi na rozbudowę kombinatu, każdy już widział obcych w okolicy. Są gorzkie żale: – *Mój znajomy ma plantację truskawek, chciał ściągnąć ludzi do roboty z zagranicy, bo u nas nikomu się nie chce robić* – opowiada starszy mężczyzna. – *Złożył papiery, ale urząd nie pozwolił. Tłumaczyli, że wojna hybrydowa, nieznanym elementem*. A kombinat ściągnął

tysiące Azjatów bez problemu, słyhać ni to z dumą, ni z pretensją. Ktoś zauważa, że to nie uchodźcy, tylko pracownicy. Ktoś mówi: zobaczymy. Konkluzja taka: Orlen to państwo, państwo to Orlen, witajcie w Orlenlandzie.

W Starej Białej ksiądz Zbigniew wywiesił na tablicy ogłoszeń parafialnych wiadomość, że 20 czerwca przypada Międzynarodowy Dzień Uchodźcy. Napisał: „Przypomnijmy: uchodźca to osoba, która z powodu obaw przed prześladowaniem ze względu na rasę, religię, narodowość, poglądy polityczne pozostaje poza swoim krajem i nie może liczyć na ochronę swoich praw w kraju ojczystym. Takich osób na całym świecie są setki tysięcy. Ten dzień ma upamiętnić ich odwagę i siłę, ich tęsknotę za rodzinną ziemią i za bliskimi. W naszych modlitwach starajmy się przynieść im ulgę w cierpieniach”.

W tym samym czasie w wiecu partyjnym w Bogatyni Jarosław Kaczyński zapowiedział Polakom referendum w sprawie unijnej „relokacji uchodźców”. O obcych w kraju miał do powiedzenia: „Być może będą uruchomione wielkie ataki – bo już się zaczynają – na naszą granicę, w szczególności granicę z Białorusią. Wzywam wszystkich, którzy wezmą udział w tym referendum, do krótkiego powiedzenia: nie zgadzamy się”.

W Starej Białej sterczą dziesiątki kominów kombinatu Orlen. Pełga błędny ogień. Białe miasto w polu czeka na kilka tysięcy ludzi z Azji, którzy przyjadą tu rozbudować potęgę narodowego przedsiębiorstwa flagowego. Jak podaje Ośrodek Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego, w 2022 r. rząd PiS wydał wize pracownicze 130 tys. osób z Bliskiego Wschodu. Co czyni Polskę krajem wielokulturowym, jednym z najbardziej na świecie przychylnych napływowi imigrantów.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK



# Przeżyć, ale przeżyć

Na wyprawę w głębiny oceanu, żeby zobaczyć wrak „Titanica”, była kolejka, bilety na loty w kosmos już wyprzedane, coraz tłoczniej jest na Evereście, sporo osób chce zobaczyć wojnę w Ukrainie czy usłyszeć na własne uszy licznik Gigera w Czarnobylu – popyt na ekstrawrażenia rośnie, i to bez względu na zasobność portfela.

VIOLETTA KRASNOWSKA

**N**ajbardziej uderzyło mnie, jaki to piękny wrak. Większość wraków, na których byłem, jest szara, a »Titanic« to żywy morszczyzn z jego czerwieniami, błękitami, szarościami, rzadki widok – zachwalał kilka lat temu Stocton Rush, angielski konstruktor i pomysłodawca komercyjnych wypraw do »Titanica«. Przyznawał, że spośród wszystkich wraków wycieczki do niego sprzedadzą się najlepiej. Tym bardziej że naukowcy twierdzą, że »Titanic« coraz bardziej niszczeje, rozpada się i za 10 lat pewnie w ogóle zniknie. Paul-Henri Nargeolet, badacz »Titanica«, widział w tym nawet dobre strony: »W miarę rozpadu wraku można zobaczyć coraz więcej wnętrza statku. Możliwość oglądania wraku na własne oczy to zupełnie inne doświadczenie niż oglądanie go przez kamerę robota. To trzeba zobaczyć, by zrozumieć«. Nic dziwnego, że gdy w 2019 r. Rush ogłosił plan organizowania wypraw do »Titanica«, okrzyknięto je od razu hitem.

Bo też dotąd nikt nawet nie myślał, że będzie można kupić bilet, wsiaść do batyskafu jak do windy i popatrzeć z bliska na słynny wrak. Taka wyprawa wymaga specjalistycznego sprzętu, który wytrzyma panujące w głębiniach ogromne ciśnienie.

## Coraz niżej, w głębiny

Wrak »Titanica« leży na głębokości 3,8 tys. m, a to oznacza, że na każdy metr kwadratowy powierzchni takiego batyskafu napiera siła aż 3,8 tys. ton. Rush uspokajał, że okna z pleksiglasu akrylowego mają 7 cali grubości (18 cm) i przy takim ciśnieniu »wcisnęłyby się tylko na trzy czwarte cala«. »Po prostu się deformuje« – powiedział, odnosząc się do ogromnego ciśnienia podwodnego, któremu batyskaf będzie musiał stawić czoło. Tłumacząc, że »zanim pęknie lub ulegnie awarii, zaczyna trzeszczeć, więc otrzymasz ogromne ostrzeżenie, jeśli zawiedzie«. A więc spoko.

Za bilet na pierwszą wyprawę »Titanem« – tak Rush nazwał batyskaf – w 2021 r. trzeba było zapłacić 125 tys. dol. To nie przypadek, w przeliczeniu tyle samo kosztował bilet pierwszej klasy na »Titanica« w 1912 r.

Ta pierwsza wyprawa »Titana« już była dramatyczna. Jak teraz opowiedział jeden z jej uczestników, nie zadziałał mechanizm uwalniający obciążniki, by batyskaf mógł unieść się w górę i wrócić na powierzchnię. Mogło skończyć się tak, że pasażerowie zostaną na dnie. Polecono im, by zaczęli kołysać się z boku na bok, by rozchybotali batyskaf. I mechanizm zaskoczył. »Kiedy usłyszeliśmy stukot, poczuliśmy ogromną ulgę« – przyznał uczestnik. Drugi termin wiele razy przesuwano.

Ta ostatnia wyprawa z czerwca tego roku, już po 250 tys. dol. za bilet – która zakończyła się implozją batyskafu w wyniku różnicy ciśnień i śmiercią Rusha, Nargeoleta, brytyjskiego miliardera Hardinga oraz pakistańskiego miliardera Dawooda wraz z 19-letnim synem – była trzecia. I dopiero po tej katastrofie zaczęto głośno mówić, że włókno węglowe, z którego wykonany został »Titan«, nie było wcześniej stosowane na takich głębokościach i w zasadzie nie wiadomo, w jakim stopniu jest odporne na potężne ciśnienie, i że to wymaga wielu badań. Reżyser filmu »Titanic« James Cameron skrytykował sam



Od lewej: **batyskaf „Titan”, który implodował w głębinach.**

**Astronautka Dżamila Gilbert podczas ostatniego testowego lotu suborbitalnego, przeprowadzonego przez firmę Virgin Galactic przed rozpoczęciem usług turystyki kosmicznej.**

**Nurkowanie z rekinami w Afryce Południowej.**



pomysł tych wypraw, brak wystarczającej liczby testów, choć przyznaje, że ponieważ. Sam przed laty wybrał się swoim batyskafem na dno Rowu Mariańskiego, na głębokość 11 km, i – jak opisywał – nie obyło się bez problemów, ale udało mu się wrócić. A ryzykował tylko swoje życie. „Nie powinniśmy używać eksperymentalnej łodzi do płatnych podróży ludzi, którzy sami nie są inżynierami głębinowymi” – podkreślił, stwierdzając przy tym, że pasażerowie zlekceważyli ostrzeżenia.

Organizatorzy wypraw – także tych ekstremalnych – z którymi rozmawialiśmy, mówią jednoznacznie: chętnych do takiego zejścia do „Titanica” byłoby więcej, gdyby nie zaporowe ceny. I – jak w każdym biznesie – jest popyt, to pojawia się i podaż. Widać to wyraźnie w stosunkowo młodej, ale dynamicznie rozwijającej się turystyce kosmicznej. Tu aż trzech biznesmeni miliarderzy Richard Branson, Jeff Bezos i Elon Musk zainwestowali w ten biznes i oferują loty w kosmos.

## Coraz wyżej, aż w kosmos

Nawet NASA przełamało się i otworzyło na komercję, oferując odpłatnie odwiedzić na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej ISS krążącej wokół Ziemi. Za każdy dzień pobytu licząc sobie po 35 tys. dol. Oczywiście bez kosztów transportu na orbitę i z powrotem, co wiąże się nawet z wielokrotnie większym wydatkiem. Z tej oferty zamierza skorzystać Elon Musk, już dziś licząc sobie 55 mln dol. za miejsce na takiej wyprawie – bilety są już wyprzedane.

Z tańszą propozycją wyszedł Richard Branson, który właśnie przeprowadził pierwszy lot na orbitę. Rakietą z czterema

osobami, w tym samym Bransonem, wzniosła się na prawie 14 km nad Ziemią, kiedy rakietą „Unity” z pasażerami odpięła się od statku-matki i ruszyła pionowo z szybkością trzykrotnie przekraczającą prędkość dźwięku do wysokości prawie 85,1 km, a załoga przez kilka minut doświadczyła stanu nieważkości. I do domu.

Taka przejażdżka bliżej gwiazd kosztuje 450 tys. dol. Firma Bransona, która w połowie lutego 2022 r. rozpoczęła sprzedaż biletów, ogłosiła, że ma już 800 rezerwacji. Planują zbudowanie floty, aby organizować 400 lotów rocznie. W 2021 r. bilety na pierwszy lot statkiem „New Shepard” Jeffa Bezosa można było zdobyć w licytacji. Cena doszła wówczas do 28 mln dol. Dziś bilet kosztuje ok. 500 tys. dol. Podróż trwa 10 minut od startu do lądowania, w jej trakcie statek osiąga wysokość 106 km, dając pasażerom kilka chwil nieważkości przed zejściem z powrotem na Ziemię i lądowaniem ze spadochronem.

Takie ekstremalne przeżycia – głębiny czy kosmos – wymagają wyłącznie grubego portfela. Choć ludzie z naszej setki najbogatszych raczej nie gustują w takich ekstremalnych ekscesach.

## Atrakcje dla bogatych

– *Nigdy nie spotkałem nikogo, kto chwaliłby się podróżami w kosmos czy w głębiny – mówi POLITYCE człowiek, który często spędza wakacje z naszą biznesową elitą. – Chyba by się wstydziła nawet przyznać do takiej rozrzutności. Jeżeli już, to raczej chwala się co najwyżej upolowaniem niedźwiedzia. I tłumaczy: – Wielu z nich to osoby rzutkie, energiczne, aktywne, szukające przeżyć o charakterze*

*indywidualnym. Bardziej idą w sport, rajdy, maratony, wyczynowość. – dodaje.*

Myśliwskimi trofeami szczylił się choćby Adam Smorawiński, który prowadzenie rodzinnej firmy importującej BMW i Rovera przekazał synowi, a pieniądze wydawał na loty własną awionetką TB-9 i polowania. Za swoje najcenniejsze trofeum uważał dwa kanadyjskie niedźwiedzie grizzli. Za możliwość udziału w polowaniu na tego niedźwiedzia – na koniach i z podchodu – trzeba zapłacić od 30 tys. dol. w górę (za 16 dni pobytu i 12 dni polowania, nie licząc kosztów lotu). Za samą możliwość strzelenia do grizzli, którego spotka się przy okazji polowania na np. łosia, trzeba dopłacić 6 tys. dol. W bliższej Słowenii odstrzał jednego niedźwiedzia brunatnego o tuszy do 100 kg to koszt ok. 20 tys. zł.

Wielkim miłośnikiem polowań w Afryce był biznesmen Andrzej Kumor, który założył Polski Klub Safari. Na jego stronie można przeczytać mrozące krew w żyłach opisy niedawnych jeszcze polowań na pumę czy lamparta. Bezkrwawe dwudniowe safari w Kenii kosztuje od 100 do 1 tys. dol. i więcej.

Za to pasją multimilionera Leszka Czarnieckiego, biznesmena, założyciela Getin Noble Banku, jest nurkowanie głębinowe. Ma też na koncie pobicie rekordu Polski w nurkowaniu jaskiniowym – szedł na głębokość 194 m w jaskini Bushmansgate w RPA. W duecie z Krzysztofem Starzewskim pobił również rekord świata w długości nurkowania jaskiniowego, przemierzając pod wodą ponad 14 km korytarzy. Cztery lata później samodzielnie poprawił ten wynik o 3 km, ustanawiając kolejny rekord świata. ▶

► Podobną pasję ma także Sebastian Kulczyk. W ciągu roku nurkuje – jak sam wyliczył – ok. 25 razy. Marzy o nurkowaniu z żarłaczem białym, zwanym również ludojadem (w ochronnej klatce – to koszt ok. 200–400 euro) oraz o wyprawie na atol Bikini do amerykańskich i japońskich wraków z czasów drugiej wojny światowej.

Kogo stać, wybiera tzw. wyjazdy *conserge*, czyli szyte na miarę. To najdroższa formuła usług turystycznych. Za tygodniowy czy dwutygodniowy wyjazd trzeba zapłacić nierzadko 40–120 tys. zł za osobę. Tomasz Michniewicz, podróżnik i przewodnik: – *Co ciekawe, te kwoty nie wynikają wcale z oczekiwań luksusowych warunków. To wyjazdy, w których chodzi o doświadczenia niedające się kupić, trzeba sobie na nie zapracować wysiłkiem, determinacją, prawdziwymi emocjami.* To zwykle małe grupy, często dwuosobowe. – *Zdarza mi się zabierać do dżungli czy buszu ludzi z topu polskiego biznesu czy bardzo znane nazwiska. W zasadzie w takich wyjazdach nie ma znaczenia dokąd, a raczej w jaki sposób* – opowiada. Na takich wyjazdach nie ma już udawania, są prawdziwe emocje, nerwy, zmęczenie, strach. To mogą być przejścia szlaków przez dżunglę, zwiedzanie znanych nie licznym afrykańskich rezerwatów dzikiej przyrody, wyprawa na bezludne wysepki na końcu świata albo udział w lokalnych ceremoniach w odległych miejscach. To faktycznie wyjazdy szyte na miarę, dostosowywane do indywidualnych potrzeb.

Z kolei powszechny wśród bogatych miłośników nart jest heliskiing, czyli dotarcie helikopterem z przewodnikiem alpejskim na stoki np. modnej Alaski, w miejsca, gdzie nie stanęła ludzka stopa, by zsusować po dziewiczym śniegu. Z kolei helibording służy przyspieszonemu zdobywaniu szczytów, do których można podlecieć helikopterem, z lądowaniem od razu np. w trzeciej bazie na Ewreście. Cena: ok. 50 tys. zł plus dojazd na własny koszt. Choć jeden z podróżników przyznaje, że są tacy z toplisty bogatych, którzy odbywają uczciwe treningi, szykując się na w pełni samodzielne zdobywanie Everestu.

A i sam Everest nie jest już aż tak niedostępny finansowo. Swoje marzenie, by stanąć na tym „dachu świata”, spełniła rok temu np. Marta Misztal, dziewczyna z Piły, pracująca od lat w bankowości w Wielkiej Brytanii, zapałona alpinistka amatorka i podróżniczka. Weszła na Everest w drużynie alpinisty Nirmal Nims Purja wraz z milionerem z Dubaju, aktorką z Nepalu i księżniczką z Kataru. Jak sama wyliczyła, jest 18. Polką, której udało się wejść na szczyt. Wyprawa na Everest kosztowała

ją 300 tys. zł. „Część uzbierałam, część pożyczyłam, część dorobiłam” – odpisała na FB. Włączyła też zbiórkę na Patronite, apelując, że każde 15 zł to jej 5 m w górę. Marzy o zdobyciu Korony Ziemi.

### Zaliczanie efektu „wow!”

Magia Everestu i generalnie ośmiotyśięczników działa, ale też cały Nepal jest coraz bardziej popularny, przeżywa obniżenie – jak mówi przewodniczka wysokogórska Olga Potempa – dla efektu „wow”. – *Grupy do Nepalu zgłaszały się w ekspresowym tempie* – opowiada. Ale ludzie zaczynają szukać nowych miejsc – dodaje. Takim jest andyjska Aconcagua w Argentynie (6960,8 m n.p.m.), trekking na wysokości 7 tys. m, wchodzenie w strefę śmierci to koszt 30–35 tys. zł. Wśród Polaków bardziej popularna (no i tańsza: 4,5 tys. zł plus przelot od 1,3 tys. zł) jest wyprawa na 5-tysięczny Kazbek w Gruzji, zwany Górą Prometeusza.

Podróżnik i przewodnik Łukasz Supergan zauważa wzrost zainteresowania wspinaczką wysokogórską. – *Często słyszę: muszę to zdobyć, muszę tam wejść. Tak jakby chodziło o jakieś zaliczenie. Na to słowo jestem wyczulony, bo jak ktoś mówi, że musi, to znaczy, że jest gotów poświęcić nawet własne bezpieczeństwo, a to już będzie krok w niewłaściwą stronę. To niepokojące podejście, bo mimo naszej asekuracji takie wejście wiąże się z ryzykiem, ono nigdy nie jest zerowe* – mówi.

Podróżnicy przypominają wyprawę na Kilimandżaro – Dach Afryki (5895 m), w której wziął udział 74-letni Aleksander Doba (który zasłynął samotnym przepłynięciem kajakiem przez Atlantyk). Doba nigdy nie był wysoko w górach. Z trudem, bardzo wolno, jako ostatni w 35-osobowej polskiej ekspedycji, wszedł na szczyt, poprosił o chwilę odpoczynku. Z kamienia, na którym usiadł pod tabliczką „Congratulations. You are now at Uhuru Peak 5895”, już się nie podniósł, zasnął i zmarł.

Ale liczba Polaków pragnących przeżyć coś ekstra zdaniem podróżnika Tomasza Machniewicza będzie się jeszcze zwiększała. – *Widać zmęczenie masową turystyką i poszukiwanie nowych wyzwań, silniejszych, mocniejszych wrażeń, bo te lżejsze już są „odhaczone”. Już ktoś jeździł na nartach, już nurkował w Egipcie, już poopałał się na Dominikanie, zjadł sushi w Tokio i teraz szuka czegoś następnego. I najczęściej naturalnym progresem jest przejście do doświadczeń dających inną perspektywę, poczucie zmiany w życiu.*

Jak np. wspinanie z wieloletnią nauczycielką jogi Magdą Kapelą boso na Giewont czy chodzenie po Beskidzie Sądeckim.

– *To może się wydaje ekstremalne, ale chodzenie boso jest bliskie naturze, a ludzie szukają powrotu do natury, przyglądają się sobie i uświadamiają, w jakim są kołowrotku na co dzień i co można zmienić* – tłumaczy Kapela.

Dla Łukasza Supergana szukanie nowych wyzwań to forma ucieczki od codziennych spraw, życia, które jest zwykle i przewidywalne. Ludzie chcą poczuć coś wyjątkowego, sprawdzić siebie. To głównie osoby wolnych zawodów, lekarze, prawnicy, są też pracownicy korporacji, którzy chcą się oderwać.

### Wyprawa zamiast wycieczki

Krzysztof Starnawski, doświadczony pletwonurek specjalizujący się w nurkowaniu w jaskiniach, też w swojej dziedzinie zauważa ten trend. – *Ludzie szukają wyzwań, czasy są takie, że jeśli ktoś czegoś nie robi „naj”, to nie zaistnieje we współczesnym świecie. I tak samo to się dzieje we wspinaniu w górach, jak i w nurkowaniu jaskiniowym* – mówi. Tym bardziej że sprzęt stał się bardziej rozwinięty technologicznie, ale i bardziej dostępny finansowo. – *To stymuluje ludzi do działania, bo mają po prostu narzędzie w swoim zasięgu* – wyjaśnia. Sprzęt do podstawowego nurkowania to kilkadziesiąt tysięcy złotych, 8-dniowe kursy nurkowania, które Starnawski organizuje w Meksyku, kosztują 2 tys. dol. I chętnych jest coraz więcej. – *Widzę, że te eksploracje posuwają się coraz dalej, są coraz trudniejsze, pojawiają się coraz więcej nowych, młodych twarzy* – opowiada. – *Bez dwóch zdań coraz więcej ludzi chce przeżyć przygodę, ale czy to jest kwestia, że mamy więcej pieniędzy, czy nie chcemy, żeby nasze życie było szare?* – zastanawia się, zwracając uwagę, że już nie pisze się „wyjazd nurkowy”, tylko wyprawa, nie nurkowanie turystyczne po jaskini, tylko „eksploracja jaskini”. Cięższa waga.

Rozwijają się właściwie wszystkie formy ekstremalności. Np. jumping, czyli skoki ze spadochronem, i jego coraz bardziej ryzykowne odmiany, jak BASE jumping (od słów: Building – budynek, Antenna – antena, Span – przęsto, Earth – ziemia), czyli skoki z różnych obiektów – wieżowców, mostów czy urwisk skalnych – i maksymalne skracanie czasu na otwarciu spadochronu. Jest też HALO (High Altitude-Low Opening) – skoki z jak największej wysokości (np. 7 tys. m) z otwarciem spadochronu na niskiej (standardowo 1 tys. m). Koszt oprzyrządowania do takich lotów to 2,5 tys. euro. Najnowsza odmiana to Wingsuit, czyli „latające wieiórki” – nazwa pochodzi od specjalnego, rozszerzonego kształtu kombinezonu.



Kayak-jumping,  
skoki kajakiem  
z wodospadu.

© VE.STUDIO/SHUTTERSTOCK

To jeden z najbardziej niebezpiecznych sportów ekstremalnych na świecie. W powietrzu przebywa się dwa razy dłużej niż podczas lotu ze spadochronem. Koszty oprzyrządowania to 5–6 tys. euro. Są jeszcze proximity lub tracksuit, czyli skoki np. ze szczytu górskiego, a następnie szybki i niski przelot, wykorzystujący naturalnie opadające ukształtowanie terenu. Skoczkowie latają nieraz między wierzchołkami drzew lub niżej położonymi szczytami.

Owe mocniejsze wrażenia mogą być różne – liczba ofert jest ogromna, na każdą w sumie kieszeń. A zorganizowanie sobie np. kanioningu, jak tłumaczy podróżnik Andrzej Wnęk, czyli przemierzania rwącej rzeki płynącej głębokim kanionem, wśród skał w Jordanii w Wadii Mujib – sporego wyzwania nazywanego „atrakcją z adrenaliną” kosztuje grosze. Za bilet wstępu trzeba zapłacić raptem 120 zł (nie licząc kosztów transportu). Rozwija się rafting, czyli spływy pontonami po rwących rzekach (Dunajec kosztuje 120 zł, rzeki w Turcji 30 euro, w Czarnogórze 120 euro), oraz nurkowanie, które zaczyna się najczęściej od wizyty w Egipcie, by podziwiać rafę koralową. Dwa zejścia pod wodę na 15–20 minut w akwalungu za rękę z instruktorem to koszt 80 dol. Można też oglądać głębie

morską z łodzi podwodnej. Organizator kusi: „Doświadcz oceanu w sposób, w jaki niewielu go doświadczyło. (...) »Poznaj Język oceanu«; jeden z najbardziej unikalnych podwodnych krajobrazów na świecie – położony na pięknych Wyspach Berry na Bahamach”. 40 m w dół to 1,4 tys. dol., im niżej, tym drożej za łódź – do 300 m za 5 tys. dol.

Takich atrakcji biura podróży oferują coraz więcej. – *Ludzie chcą ponosić ryzyko od czasu do czasu i dotyczy to wszystkich, kwestią jest tylko, kto jaką granicę takiego ryzyka sobie postawi. Może ono dotyczyć wyczynów sportowych, wypraw poznawczych i eksploracyjnych* – mówi podróżnik Andrzej Wnęk. Wielokrotnie zdarzyło mu się, że pracował z klientami, którzy ryzykowali bezpieczeństwo i narażali swoje zdrowie, i wtedy to jest decyzją samych uczestników, ich odpowiedzialność. Jak niedawno. – *Jazda w dół z wulkanu na rowerze dla kogoś, kto nie ma dużej uprawy, może się skończyć źle i tak się skończyła. Człowiek się wyrzucił i połamał* – wspomina.

Poza tym poszukuje się miejsc szczególnych, którymi będzie się można pochwalić. – *Nasi rodacy szukają nowych ekscytujących wyzwań. I przeżyć – godzą się z ryzykiem szarży nosorożców, napotkania*

*węża czy tarantuli* – mówi Tomasz Michniewicz, który organizuje wyprawy m.in. do dżungli. – *Niedawno moją grupę zaatakowały dwa nosorożce. Jako przewodnicy ściągamy taki atak na siebie, chroniąc klientów. Innym razem klientka obudziła się w jaskini w dżungli z tarantulą na twarzy. Musimy być przygotowani na takie sytuacje. Dodaje, że po takich zdarzeniach sami klienci są już bardziej uważni.*

Niestety, wciąż nie brakuje ludzi, którzy na ekstremalne wyprawy wybierają się bez przygotowania. Na przykład idą do dżungli w butach typu sneakers Versace. – *Ale pani przeszła całą trasę – zaznacza podróżnik. – Takie wyprawy np. do lasów deszczowych Amazonii są bardzo uciążliwe, wymagające i nieprzyjemne, bo pijawki trzeba z siebie ściągać kilkanaście razy dziennie, ale jak już człowiek wróci do domu, to wspomina to jako nieprawdopodobną przygodę* – śmieje się Michniewicz.

Popularną turystyką ekstremalną są wyprawy w obszary niebezpieczne, niestabilne politycznie. – *Takim ludziom zależy na unikalności, chcą odwiedzić miejsca, które nie są zwiedzane gremialnie przez turystów. I narażają się na ryzyko, aby takie miejsca zobaczyć* – mówi Andrzej Wnęk. Są np. wycieczki do zniszczonej i ogarniętej wojną domową Somalii, do Sudanu Południowego albo wcześniej do Mali, gdzie turyści jeździli pod ochroną uzbrojonego konwoju. – *Wiem, że teraz są tacy, którzy decydują się na wycieczki do Ukrainy, ale nie po to, by wesprzeć kogoś, komuś pomóc. Jadą tam tylko dla siebie, bo chcą przeżyć tę wojnę na własnej skórze, wiedząc, że wiele ryzykują. I są gotowi zapłacić 200 euro za zwiedzanie przez 3–4 godziny zbombardowanej Buczy czy Irpienia. Czy pojechać na „Czarnobyl tour” za tysiąc złotych, „by zobaczyć, jak licznik Gigera zaczyna szaleć”.*

Atrakcją turystyczną są też fawele w Rio de Janeiro – osiedla biedy, w których mieszka 5 mln ludzi. Podróżnicy odradzają zapuszczanie się tam na własną rękę, gdyż – jak piszą – turysta „ma prawie gwarantowaną napaść, podczas której w najlepszym wypadku straci kasę, telefon, biżuterię. „Do faweli nie wchodzi się ot tak sobie, z ulicy, bo można już z niej nie wyjść, a w najlepszym wypadku zostać obrabowanym ze wszystkiego” – można przeczytać na blogu „Szalone walizki”. Miejscowi przewodnicy biorą 30 dol.

Dla jednych głębia i kosmos czy Everest, dla drugich jumping nad Dubajem czy przepłynięcie na pontonie rwącej rzeki, tylko trzeba zadbać, żeby z takich wypraw wracać.

VIOLETTA KRASNOWSKA

# Hodowla oligarchów

**Andrzej Jaworski** i **Małgorzata Sadurska** przyjaźnią się od lat i od dawna są związani z PiS. Mają posady w zarządzie PZU, pilnują tu interesów partii i znaleźli się na słynnej liście milionerów „dobrej zmiany”. Są doskonałym przykładem układu polityczno-finansowego stworzonego przez PiS.

# W

ANNA DĄBROWSKA

Wirtualnej Polsce Bianca Mikołajewska po raz kolejny przeanalizowała raporty 19 spółek notowanych na Giełdzie Papierów Wartościowych, których akcjonariuszem jest Skarb Państwa. We władzach tych spółek w latach 2016–22 odnalazła 152 ludzi powiązanych z obozem władzy.

90 z nich zostało dzięki temu milionerami lub multimilionerami. Przez te lata mogli zarobić łącznie 455 mln zł. A to tylko 19 spośród ponad 400 spółek z udziałem państwa, tysięcy ich spółek córek oraz ogromnej liczby spółek, których właścicielami są państwowe instytucje.

## Dar serca dla Rydzyka

Od 22 kwietnia po Polsce jeździ Mobilna Strefa Zdrowia. To całkiem spore miasteczko medyczne, w którym można za darmo wykonać wiele badań i skorzystać z porad lekarskich. Akcja finansowana jest głównie przez PZU. W pierwszy weekend sierpnia konwój zdrowia dojedzie do Torunia. Termin, jak zresztą rok wcześniej, pokrywa się z 15. Dziękczynieniem, corocznym świętem Rodzin Radia Maryja. Andrzej Jaworski, łącznik PiS z ojcem Rydzykiem i prezes PZU Zdrowie, wrzucił wtedy na Facebook zdjęcia kolejki chętnych na badania w namiotach z logo PZU, rozstawionych przy parkingu sanktuarium redemptorystów w Toruniu.

Dla niego ubiegły rok był czasem wielkich awansów. W marcu wszedł do rady nadzorczej Pekao Investment Banking, w kwietniu znalazł się w zarządzie największego polskiego ubezpieczyciela PZU Życie SA, a kilka miesięcy później został jeszcze prezesem PZU Zdrowie. To był dość zaskakujący powrót do zarządu największego polskiego ubezpieczyciela. Kiedy w 2017 r. zaledwie po roku odchodził, spekulowano, że ubiegł szykowaną dla niego dymisję. Podobno podpadł Kaczyńskiemu, bo za bardzo mieszał w lokalnych strukturach. Aby nie drażnić ośrodka toruńskiego, ulokowano Jaworskiego w zarządzie Krajowej Spółki Cukrowej, a na jego miejsce w zarządzie PZU SA przyszła inna ulubienica Rydzyka, Małgorzata Sadurska. Dziś oboje są w zarządach spółek ubezpieczyciela i w tym roku znów znaleźli się na liście milionerów.

W minionym tygodniu Jaworski relacjonował na Facebooku wizytę u Rydzyka. Zjawił się tu razem z ministrem aktywów Jackiem Sasinem i szefem resortu rolnictwa Robertem Telusem. „Rapier z początku 17 wieku przekazaliśmy do Muzeum Pamięć i Tożsamość im. św. Jana Pawła II w Toruniu. Dar serca od Jacek Sasin Mariusz Błaszczak

Robert Telus” – pisał na FB Jaworski. Dar serca najpewniej sfinansowany przez Skarb Państwa.

Jaworski łącznie (do 2022 r.) zarobił w grupie PZU 2,955 mln zł (do tego trzeba doliczyć pensję członka zarządu Krajowej Spółki Cukrowej). Kiedy w 2016 r. odchodził z PZU, dostał 425 tys. zł odszkodowania za zakaz pracy u konkurencji (!).

Choć, jak już wspomnieliśmy, Jaworski z prezesem PiS



miewał trudne momenty i został nawet zawieszony na trzy lata w partii, to już się przeprasili. Poza awansami w PZU latem 2022 r. został pełnomocnikiem PiS w Gdyni. To jedyny z prawie stu partyjnych pełnomocników, który jest tak wysoko postawiony w jednej z największych spółek Skarbu Państwa. Jemu wolno więcej, bo poparcie Rydzyka – nieformalnego koalicjanta PiS – bardzo przydaje się na wybory. Jaworski sam też ma wystartować do Sejmu, za rok być może do europarlamentu.

## Prezes nie rezygnuje

Podobno niektórzy w partii oczekiwali, że w związku z kampanią wyborczą odejdzie z PZU. Ale nie; właśnie na konferencji prasowej ogłasza obronę suwerenności „przed unijnymi biurokratami i totalną opozycją”, za chwilę już jako prezes PZU promuje się na Forum Ochrony Zdrowia, by kolejnego dnia ogłaszać „Nie dla przymusowej relokacji nielegalnych imigrantów!”. Nawet w PiS uznano, że to źle wygląda, aby prezes spółki – w której ubezpieczeni są także zwolennicy opozycji – robił sobie polityczną kampanię, wykorzystując jej pieniądze i logo. Ale Jaworski nawet na czas kampanii

nie zamierza odchodzić z firmy. – *Andrzej bardzo lubi pieniądze, dlatego nie zamierza rezygnować z pensji w PZU, choć się nie pracowuje. Jak PiS wygra, to zamiaast Sejmu wybierze jakąś spółkę, a jak partia przegra, to przez pół roku będzie jeszcze brał odprawę* – opowiada jego polityczny znajomy.

I przypomina, że Jaworski też żadnego zażenowania w 2016 r. po pół roku porzucił mandat posła i poszedł do PZU. Sytuacja była komiczna. We wtorek z pompą otwierał biuro poselskie i zapraszał mieszkańców, a w piątek już nie był posłem. W niedzielę wydał oświadczenie: „Przede mną nowe wyzwania, które wynikają z misji i chęci dalszej naprawy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej”. Jaworski zawsze potrafi we wzniosłych słowach uzasadnić swoje życiowe i zawodowe wybory.

Skończył etnologię w Poznaniu. „To fascynacja dalekimi krajami i ludami, co staram się urzeczywistniać w realnym życiu. Odbyłem kilka fascynujących podróży, Papua-Nowa Gwinea, Indonezja” – mówił w 2018 r. w Polskim Radiu. Kiedy w 2017 r. wszedł do zarządu PKOl, chwalił się kolegom z PiS, że służbowo zwiedza teraz kawał świata. Po jego karierze widać, na czym polega polityczno-finansowy układ obecnej władzy.

## Jestem tam, gdzie mnie potrzebują

Nieco inny model funkcjonowania w tym układzie wybrała Małgorzata Sadurska. Na liście milionerów Wirtualnej Polski zajęła siódme miejsce. W latach 2017–22 PZU wypłaciło jej świadczenia o łącznej wartości 9,316 mln zł.

Była pierwszą szefową kancelarii Andrzeja Dudy, ale współpraca nie układała się najlepiej. Podobno przy Krakowskim Przedmieściu ostro recenzowała Jarosława Kaczyńskiego, a na Nowogrodzką chodziła raportować o poczynaniach Dudy. Po odejściu z Kancelarii Prezydenta w czerwcu 2017 r. miękko wylądowała w zarządzie PZU SA i spółki córki PZU Życie. Jak wyliczył kiedyś „Fakt”, Sadurska w 2020 r. zarabiała w zarządzie PZU 6,2 tys. zł dziennie, podczas gdy u prezydenta „zaledwie” 680 zł dziennie. To jest naprawdę dobra zmiana.

Skończyła prawo na UMCS w Lublinie, ale nie zrobiła aplikacji. „Kiedy w 2000 r. kończyłam studia, to sporo moich znajomych łądowało na bezrobociu, a ja chciałam być niezależna i spokojna, więc zaczęłam szukać pracy” – opowiadała kiedyś w POLITYCE. Zaczepiła się w Urzędzie Pracy w Lublinie, szybko awansowała na kierownika działu prawnego. Już jako 26-latką zapisała się do PiS i przez trzy kadencje była posłanką. Za pierwszych rządów PiS ówczesny wicepremier Przemysław Gosiewski zaufał trzydziestoletniej posłance na tyle, że zaproponował jej stanowisko sekretarza stanu w KPRM. W 2007 r., została wysłana na negocjacje z pielęgniarkami, które okupowały Kancelarię.

Szlaki do ojca Rydzyka przecierała jej Elżbieta Kruk, która za czasów swojej działalności w KRRiT dbała o jego medialne imperium. Na corocznej pielgrzymce Radia Maryja na Jasną Górę przez wiele lat Sadurska zajmowała miejsce obok preza PiS. Z rodziną Andrzeja Jaworskiego wyjeżdżała na wakacje, przyjaźni się z jego żoną. W PiS słynęła z ostrych poglądów. Prezentowała stanowisko partii w sprawie gender, in vitro czy konwencji antyprzemocowej. Z Jaworskim stworzyli w Sejmie Parlamentarny Zespół ds. Przeciwdziałania Ateizacji Polski, a także Zespół Członków i Sympatyków Ruchu Światło-Życie i Rodzin Katolickich, Zespół Wspierania Dzieła Misyjnego, Zespół na rzecz Katolickiej Nauki Społecznej i wreszcie Zespół na rzecz Ochrony Życia i Rodziny.

W wyborach zawsze startowała z tym samym prostym sloganem: „Jestem tam, gdzie mnie potrzebują”. Jak można usłyszeć w PZU, od pewnego czasu usiłuje zmienić swój wizerunek i trochę odsunąć się od partii. – *Wiadomo, że gdyby nie PiS, to z jej* ►



► *doświadczeniem i wiedzą nigdy nie weszłaby do zarządu żadnej giełdowej spółki. Jednak od jakiegoś czasu chce wykreować się na ekspertkę* – opowiada osoba z PZU.

Zdobyła dyplom Master of Business Administration na Wydziale Zarządzania Politechniki Lubelskiej, co się chwali, bo nie poszła na łatwisnę, czyli po papier z „uczelni tego i owego”, jak zrobiło wielu jej partyjnych kolegów. Ma 47 lat i podobno uwierzyła, że jeśli PiS przegra wybory, odnajdzie się w prywatnym biznesie. Nie zamierza startować w wyborach parlamentarnych. – *Mogłaby, jak Jaworski, występować wszędzie i lansować się na naszym logo, ale obawia się, że zaraz jej wypomną, dzięki komu jest w firmie. A ona na wypadek przegranej PiS chce się odpolitycznić* – opowiada nasz informator.

## Lista lojalności prezesa

Trudno jednak odpolitycznić swój wizerunek, kiedy wpłaca się partii sowitz darowizny. Jak ujawniła kilka miesięcy temu POLITYKA, w październiku w ciągu zaledwie tygodnia pięć osób z zarządu PZU wpłaciło na konto partii Kaczyńskiego po 45 tys. zł. Czwooro z nich znajduje się na liście milionerów PiS. Poza Jaworskim i Sadurską chodzi o prezeskę grupy Beatę Kozłowską-Chyłę (na liście milionerów, zarobiła 6,283 mln zł), która stara się dbać o wizerunek osoby niezależnej od polityków, choć jej kariera jest ściśle związana z PiS. Zaczynała u boku Cezarego Mecha, ważnej postaci w PiS (jest doradcą prezesa NBP Adama Glapińskiego), dziś pozycję zawdzięcza przede wszystkim dobrem układowi z Maciejem Łopińskim, jednym z najbardziej zaufanych ludzi prezesa Kaczyńskiego. Wpłacił też Ernest Bejda (zarobił 4,117 mln zł), były szef CBA, bliski współpracownik szefa MSWiA Mariusza Kamińskiego. W maju 2020 r. został powołany do zarządu PZU.

Według wycień Mikołajewskiej w całym 2022 r. darowizny na PiS przekazało aż 31 członków władz giełdowych spółek, których akcjonariuszem jest państwo. Ale te wpłaty były dla wielu niewielką częścią tego, co zarobili i jeszcze zarobią w spółkach. Czym jest 45 tys. zł darowizny od byłego wójta Pcimia Daniela Obajtki, który za rządów PiS mógł zarobić w Enerdze i Orlenie prawie 12 mln zł.

To drobne w porównaniu z tym, ile do kampanii PiS dokładają się spółki zarządzane przez tę partię. Jeden z dyrektorów takiej spółki jest przekonany, że nie chodzi tylko o zasilanie partyjnej kasy. – *Kierownictwo PiS chce mieć przede wszystkim pewność, na kogo może liczyć w czasie kampanii. Ta lista wpłat na partię publikowana w internecie to oficjalny dowód lojalności wobec PiS. Ci ludzie wiedzą, że tymi wpłatami podpisali na siebie wyrok w prywatnym biznesie i muszą zawalczyć o wygraną PiS w kolejnych wyborach, bo nie będą mieli dokąd iść.*

O tym, jak PiS wykorzystuje spółki Skarbu Państwa, aby zwiększyć swoją przewagę kampanijną nad politycznymi konkurentami, pisaliśmy już wiele razy. Ostatnio pojawił się nowy przykład, na którym warto się chwilę zatrzymać.

## Medyczny cyrk na kółkach

Wspomniana tegoroczna akcja Mobilna Strefa Zdrowia przykrywa rozmachem tę zorganizowaną w minionym roku. „Projekt dynamicznie się rozwija – w tym roku miasteczko zawita do 25 miejscowości, wobec 11 w roku ubiegłym” – informuje POLITYKĘ biuro prasowe PZU. I tłumaczy, że to „dzięki obecności współorganizatorów instytucjonalnych znacznie rozszerzono zakres prowadzonych działań”. Współorganizatorzy to: Przemysław Czarnek, Jacek Sasin i Adam Niedzielski. – *Chodzi oczywiście o ministerstwa, którymi kierują, a patrząc na trasę objazdu miasteczka, można odnieść wrażenie, że ważna jest tu nie kampania prozdrowotna, ale wyborcza* – zauważa nasz rozmówca

związany z organizacją wydarzeń. Ostatni przystanek zaplanowano na 7 i 8 października w Warszawie. Przemówi Andrzej Duda, przyjedzie też prezeska PZU SA Beata Kozłowska-Chyłka. Tydzień później odbędą się wybory parlamentarne.

W Żyrardowie na wizytę u pulmonologa można się dostać w październiku, a do kardiologa dopiero w marcu przyszłego roku. Trudno się więc dziwić, że kiedy medyczne miasteczko dojechało do Żyrardowa na ostatni weekend kwietnia, do pulmonologa (wykonano 158 badań, w tym spirometrię oraz USG płuc) i kardiologa (145 porad) ustawiały się kolejki. – *To dobrze, że PZU, spółka Skarbu Państwa, angażuje się w takie prozdrowotne akcje, ale minister Niedzielski zamiast promować się na imprezie i rozdáwać wielkie czeki z unijnymi pieniędzmi, powinien siedzieć w resorcie i zastanawiać się, jak skrócić kolejki do specjalistów czy na operacje* – mówi zirytowany rozmówca, jeden ze współorganizatorów medycznego konwoju.

Do mobilnej strefy zdrowia, która zaparkowała w Pile, zawiątał Adam Niedzielski. Trudno nie wiązać tego z faktem, że minister właśnie stąd zamierza wystartować na posła z list PiS. Przypadkiem to w Pile stanęło kilkanaście namiotów z logo Ministerstwa Zdrowia, podczas gdy w inne weekendy resort dostarcza najwyższej cztery. W Wielkopolsce zaplanowano aż trzy wydarzenia: w Lesznie (okręg wyborczy minister rodziny Marleny Małąg) oraz dwa w okręgu, z którego startuje Niedzielski. Poza tym w planie objazdów zachód kraju nie jest uwzględniony. Mobilna Strefa Zdrowia przyjeżdża przede wszystkim w te miejsca, gdzie PiS ma szanse na zwiększenie poparcia.

Akcja promowana jest szeroko i wszelkimi kanałami. – *Samorządy związane z PiS przez elektroniczne dzienniki wysyłają do rodziców informacje o dentobusie. Resort Zdrowia, MEN i NFZ zamiast zadbać o to, aby dzieci miały na co dzień dostęp do dobrego darmowego stomatologa, organizują objazdowy cyrk, aby się wypromować, i wykorzystują do tego publiczne pieniądze, w tym te z PZU* – ocenia osoba, która zna kulisy organizacji tych wydarzeń.

## Tego nie da się obronić

Ludzie z obozu władzy próbują bronić tego układu. Pytają, że niby ile ma zarabiać szef wielkiej spółki, grosze? Tylko że nie o wysokość zarobków tu chodzi, ale o zatrudnianie na dochodowych stanowiskach partyjnych popleczników bez doświadczenia i kompetencji. Politycy PiS tłumaczą, że przecież spółki mają się doskonale.

Ale niech odpowiedzą na pytanie: ile Polska straciła na sprzedaży Lotosu Saudyjczykom i Węgom? Ile Orlen wtopił, przejmując Polska Press? A ile miliardów Energa i Enea w elektrownię w Ostrołęce? Kto miał odwagę, aby powiedzieć prezesowi czy ministrowi, że nie wyłoży pieniędzy spółki na te czy inne „inwestycje”? Ludzie władzy powtarzają też, że spółki przynoszą ogromne zyski, więc po co ten hałas. Tylko że dzieje się to kosztem nas wszystkich. Konta Orlenu i spółek energetycznych puchną, bo obywatele płacą ogromne rachunki za paliwo i energię. Pada też argument, że za czasów PO i PSL też tak było, że partyjni szli do spółek. Nigdy na taką skalę.

Michał Romanowski, profesor prawa handlowego na Uniwersytecie Warszawskim i adwokat w kancelarii Romanowski i Wspólnicy, zauważa, że „słynni milionerzy” to skutek konsekwentnego niszczenia standardów, zwanych w prawie spółek *corporate governance* (ład korporacyjny). – *Proceder „słynnych milionerów” jest po prostu nieprzyzwoity, jawnie lekceważący prawo i dobry obyczaj. W istocie mamy tu do czynienia z cechami systemu oligarchicznego, którego niewątpliwym liderem i wzorem staje się koncern pana Obajtki.*

ANNA DĄBROWSKA



ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

# Soliści na solo

Na kilka miesięcy przed wyborami Jarosław Kaczyński zrobił to, czego Donald Tusk oczekiwał od niego przez dwa lata od chwili swego powrotu. Zdecydował się na pojedynek z Tuskiem.

CEZARY MICHALSKI

**N**awet jeśli pojedynek dwóch liderów nie będzie bezpośrednią debatą (choć unikanie przez Kaczyńskiego takiej konfrontacji z szefem opozycji będzie dla niego kosztowne), to i tak Tusk dostał od Kaczyńskiego to, do czego sam próbował go wielokrotnie sprowokować. Po objęciu stanowiska jedyne go wicepremiera przez Prawa i Sprawiedliwości w rzeczywistości

staje się główną twarzą zarówno rządu, jak też kampanii wyborczej PiS. Polacy będą teraz jego i Tuska widzieć przez cały czas blisko siebie, na tych samych kampanijnych trasach, porównywać, zestawiać.

Powrót Kaczyńskiego na pierwszą linię staje się punktem zwrotnym całego wyborczego roku. W 2015 r. prezes PiS, wiedząc o swoich wizerunkowych słabościach, umiejętnie zasłaniał się Dudą

i Szydło. Później, w najbardziej kryzysowych momentach, podobną funkcję pełnił dla niego Morawiecki. Dziś piarowcy PiS, którzy przez ostatnie dwa lata trzymali Kaczyńskiego w medialnym kaftanie bezpieczeństwa, nie pozwalając mu wejść w osobiste starcie z Tuskiem, uważają po cichu, że powrót prezesa na stanowisko faktycznego lidera kampanii to błąd, który może Zjednoczoną Prawicę bardzo dużo kosztować. Jarosław ►

► Kaczyński uznał jednak, że ta decyzja stała się konieczna.

## Dlaczego powrót Kaczyńskiego to błąd

Przypomnijmy, jakie były konsekwencje pierwszego pobytu Jarosława Kaczyńskiego na stanowisku wicepremiera, kiedy nie zadowolił się kierowaniem z tylnego siedzenia na Nowogrodzkiej, ale postanowił być codziennym, publicznym i wizerunkowym liderem swojej formacji. Po wymyślonej przez niego i porzuconej w atmosferze wewnętrznego konfliktu „piątce dla zwierząt”, a później po cynicznie wywołanym konflikcie wokół aborcji, Zjednoczona Prawica trwała straciła w sondażach prawie 10 proc. Wcześniej utrzymywała ponad 40-proc. poparcie, później osiadła na nieco ponad 30 proc., gdzie spoczywa do dziś.

Kaczyński odpowiadał wówczas w rządzie za kwestie bezpieczeństwa państwa. Największym jego „sukcesem” w tej roli były sprowokowane przez niego w samym apogeum pandemii masowe manifestacje Polek i Polaków na ulicach większych i mniejszych miast. Towarzyszyła im brutalizacja oficjalnej propagandy, a także szarpanie protestujących przez policję i poważne obniżenie rangi policji państwowej i służb. Oczywiście była też „ustawa o obronie RP”, która pozwoliła Błaszczakowi na gigantyczne zakupy amerykańskiej i koreańskiej broni na monstrualny kredyt, który będzie musiał zostać sflakowany na katastrofalnych dla przyszłych pokoleń Polaków warunkach.

Jednak nawet ta doskonała okazja do przedstawienia siebie i własnej formacji jako „budowniczych militarnej mocarstwowości Polski” została przez tegoż Błaszczaka wizerunkowo zmarnowana. Okazało się, że zbrojone w taki sposób państwo nie jest w stanie zauważyć podróżującej przez pół Polski rosyjskiej rakiety. A sam Błaszczak, żeby uniknąć jakiegokolwiek odpowiedzialności, sprowokował konflikt pomiędzy MON i generałami.

Kiedy Kaczyński przed rokiem odchodził ze stanowiska wicepremiera, trudno było powiedzieć, po co tam w ogóle poszedł. Pierwsze sondaże po jego obecnym powrocie do rządu (UCE Research dla Onet.pl) pokazały, że 64,2 proc. Polaków

ocenia tę decyzję negatywnie, a jedynie 19,2 proc. pozytywnie. Sceptyczna wobec powrotu Kaczyńskiego okazała się ponad jedna trzecia wyborców Zjednoczonej Prawicy. Przytłaczająca większość ogółu Polaków i znaczna część wyborców Zjednoczonej Prawicy, jest również przekonana, że po powrocie Kaczyńskiego do rządu Morawiecki jeszcze bardziej staje się figurantem. W sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski aż 85,2 proc. Polaków (w tym 71 proc. zwolenników PiS) uznało, że to Kaczyński jest faktycznym szefem rządu.

Szczególnie socjalni wyborcy Prawa i Sprawiedliwości, nierozumiejący „kulturowych wojen” i obyczajowych obsesji Kaczyńskiego, świetnie wiedzieli, że prezes PiS rządzi całym swoim obozem z Nowogrodzkiej i chętnie brali od niego kampanijne „dary”. Jednak w specyficznej mieszance cynizmu i hipokryzji wygodniej im było z „ciepłą” Szydło, obłym Dudą czy nawet „technokratą” Morawieckim niż z wiecznie rozdrażnionym i starzejącym się coraz szybciej Kaczyńskim.

## Dlaczego Kaczyński musiał ten błąd popełnić

Jarosław Kaczyński wraca do rządu w ciekawym momencie i z nieoczywistych powodów. Pisowskie „przekazy dnia” skupiają się na tym, że prezes będzie teraz mógł zdyscyplinować skłócone ze sobą frakcje obozu władzy i przerobić dryfującą Zjednoczoną Prawicę w jedną pancerną pięść do wygrywania wyborów. W rzeczywistości Kaczyński dyscyplinował swój obóz z Nowogrodzkiej wyjątkowo sprawnie. Z tej wygodnej pozycji mógł swobodnie, nie rzucając się za bardzo w oczy, wymieniać premierów, ministrów, szefów spółek, a nawet kadry w prowincjonalnych muzeach i teatrach, gdyż jego wizja władzy jako ręcznego sterowania wszystkim w państwie nie zna żadnych granic.

Kaczyński wrócił, bo kampania wyborcza PiS znalazła się w totalnym kryzysie. Dwa jej najważniejsze pociski – 800 plus i komisja antytuskowa – okazały się kapiszonami. 800 plus zostało podane w taki sposób, że nawet główni adresaci tego prezentu (najtwardszy socjalny elektorat PiS) doszli do wniosku, że tę inflacyjną waloryzację powinni „brać, ale

nie kwitować”, co przełożyło się na sondażowy zastój Prawa i Sprawiedliwości. Kaczyński zdecydował się na pospieszną i nie do końca przygotowaną publiczną prezentację swego „daru”, bo musiał jak najszybciej wizerunkowo zakryć narastający kryzys wokół Mariusza Błaszczaka.

Z kolei komisja antytuskowa w swojej wersji hard, będącej połączeniem kapturowej prokuratury z kapturowym sądem, okazała się tak jawnym naruszeniem prawa i demokratycznych zasad, że nie tylko zmobilizowała do protestów „niepisowskich Polaków”, ale zaczęła jeszcze bardziej komplikować pozycję rządu zarówno w Unii, jak też w stosunkach z Amerykanami. Trzeba się było z najtwardszej wersji komisji rakiem wycofać, co pozostawiło jednak całą kampanię wyborczą Zjednoczonej Prawicy na publicznym placu z do połowy opuszczonymi spodniami.

To wszystko były błędy samego Jarosława. Już forsowanie przez niego za wszelką cenę komisji antytuskowej budowało sytuację bezpośredniego starcia z Tuskiem, czego wcześniej udawało się piarowcom PiS tak skutecznie unikać. Zgodnie jednak z panującą w PiS logiką carskiego dworu karę za błędy Kaczyńskiego poniósł Tomasz Poręba, odsunięty od kierowania kampanią. Także obecność w rządzie niesympatycznych figur w randze wicepremierów (Błaszczak, Sasin, Gliński, Kowalczyk – wszyscy z kiepskimi notowaniami) była konsekwencją decyzji samego Kaczyńskiego. Tu także ukarał jednak nie siebie, ale ich, publicznie zrywając z ich ramion epolety wicepremierów.

Kluczowym jednak powodem powrotu Kaczyńskiego na stanowisko faktycznego szefa rządu i twarży kampanii wyborczej Zjednoczonej Prawicy był pewien fakt, który łatwo przeoczyć. Szczególnie jeśli się nie jest – tak jak prezes PiS – wirtuozem i obsesjonatem polityki personalnej.

Otóż po kryzysie z „komisją antytuskową”, a szczególnie po marszu 4 czerwca i zmianie dynamiki sondaży ludzie obsadzeni przez PiS we władzach państwowych i samorządowych spółek zaczęli dość powszechnie zmieniać swoje umowy o pracę. Wpisywali do nich wyższe bonusy za odwołanie przed upływem kadencji, a także dłuższy okres pobierania pieniędzy za „niepodjęcie działalności konkurencyjnej” po ewentualnym odwołaniu.

Nie dotyczyły to zresztą najszlachetniejszych i najbardziej zaufanych pisowskich milionerów z poziomu Obajtka czy Sądurskiej, ale ludzi w mniejszych spółkach, z prowincji, łączących wysokie zarobki na „partyjno-państwowym” z pracą w lokalnym aparacie partyjnym. Zaczęto

Kaczyński wrócił, bo kampania PiS znalazła się w kryzysie. Dwa jej najważniejsze pociski – 800 plus i komisja antytuskowa – okazały się kapiszonami.

o tym coraz głośniejsze szeptać na korytarzach sejmowych.

Kaczyński doskonale wie, że takie zmiany nastrojów są samopotwierdzającą się przepowiednią, szczególnie w rozstrzygającym momencie kampanii wyborczej, w którą jego ludzie mają się maksymalnie angażować, a nie przygotowywać sobie szalupy ratunkowe. Uznał zatem, że musi się stać twarzą zarówno rządu, jak też kampanii, do swojej władzy politycznej dodać administracyjną.

Jest wreszcie ostatni, najbardziej mroczny powód powrotu Kaczyńskiego do rządu. On jeden z całego obozu władzy jest w stanie podjąć decyzję o odroczeniu wyborów, gdyby sondaże u progu jesieni były dla PiS jednoznacznie groźne. I zorganizować system samoobrony władzy.

### „Kaczor na swobodzie” szansą dla opozycji

W twardych elektoratach PO i PiS Tusk i Kaczyński nie mają ani większych problemów, ani dodatkowych szans. Także jeśli chodzi o dodatkową mobilizację już przekonanych, powrót Kaczyńskiego do rządu to miecz obosieczny. Jako lider absolutny może (ale nie musi) dodatkowo zmobilizować własnych zwolenników, jednak każde jego pokazanie się czy odezwanie jeszcze bardziej mobilizuje sympatyków PO.

Rachunek dokonywany przez mniej zdecydowanych wyborców nie będzie się jednak opierał na entuzjazmie czy choćby pełnej akceptacji dla Kaczyńskiego lub Tuska, ale na „mniejszym złu”. Który z nich okaże się bardziej odstręczający, nad którego głową dotychczasowa historia politycznego konfliktu w Polsce zbudowała twardszy „betonowy sufit”. Ta konkurencja sprzyja raczej Tuskowi. Kaczyński (oczywiście poza twardym elektoratem PiS) jest skokowo bardziej odpychający od Tuska, szczególnie wtedy, gdy zbyt często się pokazuje. A dzisiaj wygląda na to, że prezes PiS wybrał strategię opartą na niestannej obecności.

Już pierwsze wystąpienia Kaczyńskiego w roli wicepremiera – antyunijna „homilia” wygłoszona w TVP Info, bon mot o „aborcjach, które w Warszawie można wykonać na każdym rogu ulicy”, surrealistyczna reakcja na list szefów prywatnych mediów protestujących przeciw kolejnym próbom nałożenia im kagańca przez władzę – pokazują, jak wielkim problemem kampanijnym dla prawicy może być „Kaczor na swobodzie”.

Także nowy autorski pomysł Kaczyńskiego, czyli referendum antyimigracyjne mające towarzyszyć jesiennym wyborom

parlamentarnym, jest bronią obosieczną. W czasie kampanii przedreferendalnej Jarosław Kaczyński musi mocno podgrzewać antyimigracyjne nastroje w Polsce. Problem w tym, że w naszym kraju nie ma dziś miliona imigrantów muzułmańskich. Jest grubo ponad milion Ukraińców, których oficjalnie rząd Zjednoczonej Prawicy (jeśli nie liczyć Ziobry) popiera. To właśnie w Ukraińców uderzy cała przedreferendalna propaganda skierowana przeciwko „przybyszom” i „obcym”, którzy „zabierają Polakom pieniądze”, „miejsca w szpitalach czy szkołach”. Wobec oficjalnej proukraińskiej polityki Kaczyńskiego i Morawieckiego takie referendum przełoży się na lepszy wynik Konfederacji, wzmocni też pozycję kandydatów Ziobry na listach Zjednoczonej Prawicy.

Tusk ma swoje wady i swoje nie zawsze tylko dobre emocje. Jednak postawiony obok Kaczyńskiego jest po prostu normalny, otwarty na kontakty z ludźmi, komunikatywny, bezpośredni. Widzą to nawet zwolennicy Jarosława, dlatego – jak zwykle przed wyborami – próbowali prezesa przed Polakami ukrywać. Teraz jednak dostaniemy „Kaczyńskiego plus”, pomstużającego z każdego ekranu. Będzie to paradoksalnie silny atut opozycji w całej tej wyborczej kampanii. Nie do przykrycia przez osłabioną i ośmieszoną – zanim jeszcze powstała – antytuskową komisję.

Dla opozycji powrót Kaczyńskiego do rządu to ostatnia okazja, żeby coś ze sobą zrobić. Na przykład pójść jednak do wyborów na jednej liście, nie ryzykując przegranej z wyroku samego tylko (systemu) D’Hondta. Na razie sytuacja nie jest oczywista. Zarówno Donald Tusk, jak też Włodzisław Kosiniak-Kamysz, a nawet Włodzisław Czarzasty, zrozumieli, że pojawienie się Kaczyńskiego na pozycji lidera kampanii wyborczej Zjednoczonej Prawicy, wywołujące jeszcze silniejszą polaryzację nastrojów, jest wystarczającym alibi dla ewentualnej zmiany szyku (np. zmniejszenia liczby list), w którym opozycja pójdzie do wyborów. Nieporównanie słabiej ta prawda wydaje się docierać do Szymona Hołowni.

Rzecz jednak w tym, że jak na razie to nowe alibi jest używane przez każdego z opozycyjnych graczy na stary sposób. Po ewidentnym sukcesie marszu 4 czerwca Donald Tusk jest przekonany,

że wybrana przez niego przed dwoma laty strategia solisty, po licznych „dołkach” i „górkach”, wreszcie odniosła sukces. Tusk zapewne chce powrócić na poważnie do rozmów o jednej liście opozycji, jednak w takim kształcie, aby była to po prostu

jego lista. Jeśli – jak przewiduje

on i jego otoczenie – polary-

zacja będzie postępować,

a sondażowe poparcie

Trzeciej Drogi i Nowej

Lewicy powolutku

spadać, Tusk za-

proponuje miejsca

na listach, w tym

sporo jedynek, wy-

branych przez siebie

ludziom z PSL (na cze-

le z Kosiniakiem-Kamyszem), z partii Hołowni

(Joanna Mucha, Gill-Piątek,

która już od Hołowni odeszła),

a także politykom Lewicy (np. ludziom ideowo bliskim Robertowi Biedroniowi).

Tusk z coraz większą swobodą poczyni sobie także przy konstruowaniu list swojej własnej partii. Mogą się o tym przekonać politycy i samorządowcy otrzymujący z biura na piątym piętrze przy Wiejskiej coraz to nowe (i coraz trudniejsze) propozycje okręgów i miejsc na listach, z których mieliby jesienią startować. Jednocześnie tylko Donald Tusk – właśnie dlatego, że jest najsilniejszy – może realnie zmienić sytuację na opozycji.

Jedno jest pewne – jeśli powrót Kaczyńskiego przełoży się na polaryzację nastrojów, straty wynikające ze słabego (lub wręcz podprogowego) wyniku Trzeciej Drogi czy Nowej Lewicy mogą nie zrównoważyć lepszego wyniku PO. Ale nawet gdyby trzy opozycyjne listy odzyskały wzajemną „równowagę” (Trzecia Droga wróci powyżej 10 proc., Nowa Lewica utrzyma się ponad progiem, a PO wciąż będzie miała minimalną stratę wobec PiS), cała premia wynikająca z rozproszenia opozycji przejdzie na prawicę.

Skutek: w następstwie utracenia przez słabsze partie znacznej części mandatów Zjednoczona Prawica i ciesząca się coraz bardziej stabilnym poparciem Konfederacja stworzą po wyborach jeszcze bardziej antydemokratyczny i antyzachodni rząd. To będzie katastrofa dla Polski uwięzionej pomiędzy Putinem i widmem Trumpa.

Powrót Kaczyńskiego do rządu, zapowiadający kampanijne kłopoty prawicy, jest szansą dla całej opozycji, aby na nowo się poukładać, połączyć siły i podzielić zadania.

CEZARY MICHALSKI

Dla opozycji  
powrót Kaczyńskiego  
do rządu to ostatnia  
okazja, żeby coś ze sobą  
zrobić. Na przykład pójść  
jednak do wyborów  
na jednej liście.

Nina Witoszek, polska pisarka i historyczka kultury, o socjaldemokratycznych słoniach, neoliberalnych szympanсах i komunistycznych mrówkach, i o tym, że społeczeństwa spolaryzowane rozsypują się i znikają.

## Polskie zoo

JACEK ŻAKOWSKI: – **Co ewolucja ma do polityki?**

NINA WITOSZEK: – Bardzo dużo. Do polityki, ekonomii, stosunków międzynarodowych, całego życia społecznego.

**W sensie?**

Po pierwsze, objaśnia ludziom świat. A objaśniając prawdziwie lub fałszywie, kształtuje nasze wyobrażenie o tym, co jest naturalne, nieuchronne i dobre.

**Objaśnia prawdziwie czy fałszywie?**

Darwinowska teoria ewolucji objaśnia z grubsza prawdziwie. Ale jej społecznie dominujący odbiór – fałszywie. To się zdarza. Podobny los spotkał tezę Fukuyamy o „końcu historii” i główne tezy Marksa. W masowej wyobraźni przez cały XIX i XX w. dominowała prymitywna wizja ewolucji...

**„Darwinizm”?**

Który uzasadniał tragiczne nierówności tworzone przez leseferyzm, imperializm, rasizm. To działo się na rachunek Darwina i jego pracy „O pochodzeniu gatunków”, o której każdy słyszał, ale mało kto ją czytał. Szkopuł polega na tym, że przyrodniczym badaniom Darwina opaczny sens nadał współczesny mu etyk i socjolog Herbert Spencer. Darwinowską rekonstrukcję powstawania gatunków Spencer przerobił na filozofię odwiecznej

„walki o byt”, a darwinowski opis – na pogląd etyczny mówiący, że dobre jest to, co służy przystosowaniu i wspinaniu się po drabinie ewolucji, więc trzeba wspierać silnych kosztem słabych opóźniających wspinaczkę.

**Słabych ze skały.**

Albo niech sami sobie radzą. Byle nie zatrzymywali postępu, który tworzą silni. To jest potężna wizja pokutująca od XIX w. nie tylko w umysłach rasistów sankcjonujących wyzyskiwanie „gorszych ras” przez „lepsze”, w ideach imperialnych, gdzie potężne państwa mają dobre prawo podbić i eksploatować słabsze, czy w totalitarnych systemach, gdzie pełnię praw ma tylko stuprocentowy Aryjczyk lub krzepki

robotnik. Ten sam „darwinizm”, a w istocie spenceryzm, pokutuje do dziś w umysłach ludzi wierzących, że chciwość jest dobra, rynek i społeczeństwo to dżungla, trzeba pruć do przodu i – jak tylko można – bronić silnych przed rzeszami słabszych opóźniających wspinanie się po drabinie postępu czy rozwoju.

**Silniejsi wygrywają i ciągną do przodu czy w górę, a słabsi wciąż przegrywają, choć jest ich dużo więcej.**

**Tak działa społeczeństwo.**

Tak działają niektóre społeczeństwa. Ale nie one się najlepiej rozwijają, nie w nich żyje się najdłużej i nie w nich ludzie są najbardziej szczęśliwi. Spencerskie USA mają 10. miejsce na świecie pod względem dochodu na głowę i dopiero 30. pod względem długości życia. A darwinowska Kanada na odwrót. Pod względem dochodu jest 22., a pod względem długości życia 14. W szczegółach to jeszcze gorzej wygląda. Z każdego tysiąca obywateli na covid umarło trzech Amerykanów i jeden Kanańczyk. Podobnie jest, gdy porównujemy szczęście czy tzw. dobrostan. To potwierdza kluczową, a zapomnianą tezę Charlesa Darwina: „Nie najsilniejsze gatunki przetrwają, nie najinteligentniejsze, ale te, które najlepiej umieją się dostosować, współpracując i pomagając słabszym”. Do tej myśli wracają nauki społeczne, a zwłaszcza nowoczesna biologia ewolucyjna, gdy się zastanawiamy, jak nasz świat urządzić.

**Zamiast pędzić za najsilniejszymi do przodu, stary Darwin radziłby ciągnąć balast słabych, chorych, nieogarniętych? Nie ciągnąć, tylko iść razem.**

**Wolniej, czyli przegrywając wyścig z tymi, którzy nie patrzą za siebie?**

Przeciwnie. Iść razem, żeby razem wygrać. Co z tego, że pędzisz szybciej niż inni i zostawisz ich daleko za sobą, jeżeli skutkiem twojego osobistego triumfu jest to, że w pewnym momencie staniesz sam wobec przeciwnika albo przeciwności i zginiesz albo przegrasz? Edward Osborne Wilson, twórca socjobiologii, i jego kontynuator David Sloan Wilson ze swoich badań wyprowadzili maksymę: „Wewnątrz grupy egoizm zwycięża z altruizmem. Altruistyczne grupy wygrywają z grupami egoistycznymi. Reszta to komentarz”. Tak działa ewolucja. Kto tego nie rozumie, przegra, bo sam sobie szkodzi.

**To brzmi dość paradoksalnie.**

Jak się uważnie popatrzy na funkcjonowanie przyrody, łatwo zauważyć, że tak to właśnie działa. W stadzie wilków rządzi najsilniejszy, ale kiedy zobaczą stado smakowitych jeleni, wszystkie ryzykują śmiertelne zranienie rogiem czy kopytem, żeby cała wataha się dobrze najadła. I nie jest tak, że jedni się potem najedzą, a inni padną z głodu. Wszyscy muszą mieć siłę wspólnie gonić następnego jelenia. Samotny wilk nie da rady. Natomiast stado jeleni z poczuciem ulgi ucieka, gdy wilki jednego dopadną. Nie wraca na pomoc. Nawet gdy jest liczne i, walcząc wspólnie, mogłoby wygrać z watahą. Szybsi uchodzą, a wolniejsi giną.

I wilki wracają po kolejnych.

**Prawdziwy dobór naturalny to dobór grupowy?**

To jest oczywiste od czasów Darwina. Tylko że Spencer to zupełnie fałszywie przełożył na życie ludzkich społeczeństw i wiele pokoleń zakaził uzasadnieniami absurdalnie egoistycznych idei. Co się właściwie dzieje w Ukrainie? Putin myślał, że jest sprytnym wilkiem, który ze swoją watahą napada zbłąkaną owcę. Gdyby miał rację, dawno by rządził w Kijowie. Ale ukraińska owca wiedziała, że nie jest sama. Postawiła się i dostała pomoc. Gdyby wszystkie owce zawsze tak działały i gdyby wszystkie miały po swojej stronie takie altruistyczne stado, to wilki by się dawno przierzuciły na węgę.

**Wina owiec?**

Nie można od owiec oczekiwać zbyt wiele. Ale od ludzi można. Edward Osborne Wilson, porównując życie setek gatunków, wykażał, że człowiek historycznie stworzył najbardziej altruistyczne i najsilniej kooperujące społeczeństwa w przyrodzie. Ewolucyjnie wygrywalimy ze zwierzętami, bo w ludzkich grupach było więcej altruizmu. To empatia i kooperacja dały nam przewagę nad innymi gatunkami. A Peter Turchin, który stworzył gigantyczną bazę danych historycznych i w książce „Ultra Society” porównał 412 społeczeństw żyjących w 12 regionach na przestrzeni 10 tys. lat, odkrył, że nawet bardzo potężne społeczeństwa i państwa, w których egoizm się wzmacnia, a altruizm słabnie, przegrywają z państwami i społeczeństwami bardziej altruistycznymi.

**Zgoda buduje, a niezgoda rujnuje.**

Nie chodzi o zgodę. Chodzi o zdolność do kooperacji pomimo wszystkich różnic, które są między nami. Można się bardzo różnić i dobrze kooperować dzięki wysokiej empatii albo nieznacznie się różnić, ale z powodu deficytu empatii tracić masę energii na wzajemnie wyniszczającą walkę.

**Czasem stawka albo różnica wydaje się zbyt duża, by ktoś mógł ustąpić.**

To nie jest kwestia różnic. Szwajcarów różnią religie, języki, zamożność, modele społeczne, tradycje, ale stworzyli łączącą ich empatyczną, kooperatywną kulturę wzajemnego szacunku i uznania, dzięki której Szwajcaria wciąż wygrywa rywalizację międzynarodową.

**Polaków dużo mniej różni, a od wieków ze sobą walczyli.**

**Mimo że powszechnie uznana w Polsce teza mówi, że dlatego straciliśmy imperium i wciąż marnujemy szanse.**

Przede wszystkim mimo doświadczenia, że kiedy działamy empatycznie i się nawzajem wspieramy, umiemy dokonywać rzeczy niemożliwych. Na przykład w 1980 i 1920 r.

**Dla mnie symbolem największego triumfu jest zdjęcie, na którym kobieta podaje bochenek chleba przez płot strajkującej stoczni.**

Tylko że te okresy empatii i kooperacji są krótkie.

**Dlatego po wielkich sukcesach mamy wielkie porażki.**

To jest tym dziwniejsze, że żyjemy przecież w bardzo katolickiej kulturze, a empatia stanowi podstawę chrześcijańskiego przekazu: pomagaj potrzebującym, miłuj bliźniego, opiekuj się słabszymi, nie poądzaj rzeczy bliźniego. Ale tu bierze górę druga strona ewolucji.

**Ciemniejsza?**

Nie musimy oceniać. Teoria ewolucji dostarcza uzasadnienia zarówno dla dzikiej rywalizacji, jaką znamy z drapieżnych form kapitalizmu czy z brutalnych dyktatur, jak i dla empatycznej współpracy, która jest podstawą ekonomii socjaldemokratycznej i całej demokratycznej polityki.

**Które jest prawdziwsze?**

Oba są prawdziwe. W przyrodzie są gatunki socjaldemokratyczne – jak delfiny czy słonie, które dbają o słabszych. Są gatunki drapieżnie neoliberalne – np. szympansy, które bezlitośnie mordują konkurencję. I komunistyczne – jak mrówki, gdzie wszyscy zasuwają i wszystkim się dzielą, żeby zadowolić królową, czyli mrówczego genseka.

**Albo Jarosława.**

Królowa Jarosław to w ludzkich społeczeństwach wariant wczesnego etapu rozwoju albo przejściowa dewiacja. Bo wśród ludzi prawidłowość jest taka, że im bardziej zaawansowana cywilizacyjnie kultura, tym większa jest rola empatii i kooperacji. Jeżeli mówienie o postępie ma sens, to w takim znaczeniu, że w miarę rozwoju rośnie znaczenie szczęścia i dobrostanu jak największej części społeczeństwa. W ludzki genom mamy wbudowany egoizm i altruizm. Który z nich bierze górę, zależy ►

► od kultury. Dlatego jako politolog zaczęłam współpracę z socjobiologami. Ale samolubne geny, w których magicznym działaniu wiele osób wciąż widzi mechanizm ewolucyjnego powodzenia grupy, nie otwierają drogi do sukcesu.

#### **A co ją otwiera?**

Wielopoziomowa kultura konkurencji i kooperacji. Konkurencja na jednym poziomie, a empatia i kooperacja na innym. To musi być ze sobą połączone i przeplatać się na różnych poziomach. Nadmiar empatii i nadmiar rywalizacji podobnie zapowiadają porażkę. Turchin pokazał, że jeśli rywalizacja przeważa nad współpracą i społeczeństwo zostaje podzielone na zwalczające się grupy, to jego upadek staje się nieuchronny. Obserwując dynamikę proporcji między rywalizacją i kooperacją, można prognozować przyszłe losy społeczeństw.

#### **Obserwując, jak rośnie polaryzacja w Polsce, nie warto być optymistą?**

Od tego mamy rozum i wiedzę, żeby ten trend zmienić. Ostry podział jest groźny, ale z badań Turchina wynika, że nie jest nieodwracalny. Historia kultury jest jak sinusoida. Nieszczęście staje się nieuchronne dopiero, gdy sinusoida zmienia się w linię prostą. Bo to znaczy, że społeczeństwo straciło zdolności dostosowywania się do zmiennych okoliczności.

#### **Doświadczenie Kambodży, Korei, Chin, PRL pokazuje, że kiedy konkurencja zostanie wyeliminowana, może być jeszcze gorzej.**

Drogą do sukcesu jest twórcza równowaga. Dopiero kiedy zaczęłam się interesować teorią ewolucji, jeszcze raz przeczytałam Darwina, przestudiowałam współczesną myśl ewolucyjną, począwszy od Davida Sloana Wilsona, zrozumiałam sukces Skandynawii, gdzie od dwóch dekad mieszkam i pracuję. Kraje nordyckie to społeczeństwa dobrostanu, bo praktykują etos współpracy i solidarności, opierają na nim system edukacji, a potem używają go, by wygrywać rywalizację międzynarodową. To są nie tylko kultury nudnej czy kiczowatej empatii, ale też gospodarki wysokiej produktywności, wytwarzające jedne z najwyższych PKB na mieszkańca. Współczesnych ewolucjonistów, takich jak biolog David Sloan Wilson czy politolog Jerome Lieberman, twórców nowojorskiego Evolution Institute, inspirowała skandynawska synergia między prospołeczną współpracą i rywalizacją. Naukowcy, tacy jak wspomniany antropolog Peter Turchin, ewolucyjny psycholog Jonathan Haidt czy ekonomista Robert Frank, mierzą się z pytaniem, dlaczego Skandynawom żyje się zdecydowanie lepiej niż większości społeczeństw.

#### **W Polsce zwykle odpowiada się prosto: Norwegia ma bogactwo z ropy i gazu, Szwecja z rudy, a Finlandia z drewna. To uzasadnia tezę, że nie warto się nimi inspirować. Ale Duńczycy nie mają nic poza kawałkiem ziemi w nieprzyjemnym klimacie, wiatrem i dostępem do morza. A są od pokoleń o niebo bogatsi, szczęśliwsi i żyją dużo dłużej niż większość społeczeństw mających surowce i miły klimat.**

Podobnie jak Holendrzy. To są doskonałe przykłady, bo te kraje też przeżywają kryzysy, a nawet załamania, ale nie szukają ratunku w większym wydobyciu surowców, w radykalnych zwrotach kulturowych, np. w drapieźnym modelu anglosaskim ani we wschodnich modelach autorytarnych. Szukają rozwiązań tworzących lepszą i bardziej twórczą synergii między wewnętrzną prospołeczną kooperacją a nieuchronną zewnętrzną konkurencją. Dania, odpowiadając na kryzys lat 90., nie zdecydowała się na likwidację zabezpieczeń społecznych, tylko na innowacyjny system *flexsecurity*, dający obywatelom bezpieczeństwo socjalne, a przedsiębiorcom dotacje na przekwalifikowanie pracowników. Dzięki temu mimo – jak się

mówi w Polsce – rozbudowanego socjału, nie mając żadnych surowców, Duńczycy są w światowej i europejskiej czołówce pod względem szczęścia i PKB na głowę. Szczęście Duńczyków nie wynika z bogactwa. Ich bogactwo wynika ze zdolności adaptacyjnych i permanentnej inteligentnej troski, by wszyscy byli szczęśliwi. Dzięki temu mogą się szybko i bez wielkich sprzeciwów dostosowywać do nowych warunków. Podobnie Finowie sprytnie nawigują między kryzysami, przestrzegając zasady, że jedni nie mogą się ratować kosztem innych. Kiedy na horyzontie pokazuje się wilki, wszyscy ratują się razem.

#### **Wspólnota daje szczęście?**

Oczywiście. Jeżeli akceptuje różnice między ludźmi. Byłam niedawno na hospicjum w norweskiej podstawówce. Nauczycielka mówi: „Dziś bawimy się w Storting”...

#### **W Polsce nie zalecałbym bawić się z dziećmi w Sejm, bo po co uczyć je chamstwa.**

W Skandynawii takiego ryzyka nie ma. Więc nauczycielka mówi: „Wy jesteście lewicą, wy jesteście prawicą, wy jesteście centrum”. Norwegia ma problem z ucieczką miliarderów, bo są wysokie podatki. Uczniowie mają w ciągu godziny wypracować jakieś rozwiązanie, na które zgodzą się wszyscy – nie tylko arytmetyczna większość. Libertarianie, jak wszędzie, chcą skasować podatki, lewica chce nowych podatków, prawica chce barier dla obcych inwestorów, a zieloni mówią: „Przystąpmy do Unii, bo Unia jest zielona, a my wciąż siedzimy w nafcie”.

#### **Jak wszechdzie.**

Ale lekcja kończy się kompromisem polegającym na tym, że wprowadzi się specjalny „haracz od ucieczki”, czyli karę za egoizm. Jak myślisz tylko o sobie, to najpierw zapłać za wszystko, co społeczeństwo ci dało – od edukacji i infrastruktury po luksusowe warunki robienia interesów – a potem możesz się wynieść do Szwajcarii. Cała klasa się zgadza, że w Norwegii takich egoistów nie trzeba. Wszystkie strony godzą się ponieść część ceny kompromisu. Na tym polega Norwegia. Wszyscy od podstawówki się uczą, że nie ma łatwych ani bezkosztowych rozwiązań, ale w każdej sprawie trzeba dojść do zgody, bo jak się damy podzielić, to wszyscy przegramy, choć chwilowo komuś to się opłaci.

#### **Jeżeli to jest produkt ewolucji, dlaczego w Polsce czy Stanach to tak nie wygląda, a w niektórych krajach jest jeszcze gorzej niż u nas?**

Bo ewolucja to także nawyki kulturowe: wartości, mity i narracje, które są tak ważne jak geny. Kultury, które uprawiają silną polaryzację, znikają lub upadają, zostają wyparte przez lepszych i zdolniejszych „kooperatorów”. Nic nie jest dane na zawsze. Dziś Polska czy Ameryka się coraz głębiej dzielą i coraz więcej tracą. A Skandynawia, Holandia, Irlandia czy Niemcy specjalizują się w społecznym dialogu i zyskują. Ale nic nie jest dane na zawsze. Polska może się poprawić, a Norwegia może się popsuć.

#### **Jak skończy się gaz i nafta.**

To ma niewielkie znaczenie. Rosja ma całą tablicę Mendelejewa, a bardzo marnie kończy, bo tam ludzie się zagryzają, zamiast współpracować, i dominuje paradygmat rabunku. Nigeria też ma wszystko i wszystko zjadają ludzkie drapieźniki. Cały czas chodzi o kulturę egalitarnego dzielenia się bogactwem, współpracy, opieki nad słabszymi. Tam, gdzie każdy myśli o sobie i o najbliższych, tracą wszyscy.

#### **To brzmi niepokojąco, bo od lat 70. demokracje zachodnie w tym kierunku zmiernają i tak się składa, że właśnie w tym czasie zaczęły przegrywać z resztą świata.**

Niekoniecznie. Ameryka, Polska i trochę innych państw dały się nabrać na neoliberalizm, ale Skandynawia nie, Holandia

– nie, Irlandia – nie. Kanada też nie. Te kraje wygrywają. Siłą Norwegii wciąż jest ten sam *dugnad*, czyli wolontariat – ochotnicza zespołowa praca dla dobra wspólnego, połączenie indywidualizmu i kolektywizmu. W polityce to oznacza permanentny dialog społeczeństwa obywatelskiego z partiami i politykami. Bez stałego nacisku niezliczonych społecznych inicjatyw, bez ciągłej presji społecznej i permanentnego stresowania rządów przez obywateli nie byłoby fenomenu szczęśliwej i bogatej Skandynawii. Stabilna demokracja to nie może być ustrój, w którym rządzą politycy zachowujący się jak samce alfa albo jak zbiorowa królowa Jarosław, i realizują swoje grupowe widzimisię za pomocą legalizujących ich władzę procedur wyborczych czy parlamentarnych. Stabilna demokracja to siła permanentnego dialogu ważnych polityków i asertywnych obywateli, którzy wierzą, że mogą zmieniać rzeczywistość.



**Nina Witoszek**  
– polska pisarka  
(jako Nina Fitzpatrick)  
i historyczka kultury.  
Profesorka uniwersytetu  
w Oslo, wiceprezesa  
Evolution Institute,  
członkini Concilium Civitas.

**Polska idzie w przeciwnym kierunku. Coraz ostrzejsza polaryzacja, coraz mniej dialogu, coraz brutalniejsza walka, populistyczny marketing zamiast dyskusji i wizji. Idziemy raczej w stronę szympanów i Rosji niż słoni i Skandynawii. Czy ewolucja nam mówi, jak to można zmienić?**

Z biologii ewolucyjnej wiemy, że społeczeństwa spolaryzowane rozsypują się i znikają. Ewolucja nam mówi, że jeśli mamy przetrwać jako cywilizowane państwo i jeśli nie chcemy, by Polska stała się tylko terytorium rozszarpujących się gangów, jakie tworzą szympany, to musimy się zabrać za poważną naprawę. Przecież szliśmy już taką szympanią drogą w przeszłości ze znanym wszystkim skutkiem. Co nam dała ta nasza klótlliwość, samolubność jednych grup społecznych, tumiwizm innych, feudalizm, który nie chciał odejść, pogarda dla słabszych, arogancja uprzywilejowanych? Idąc dalej w dzisiejszym kierunku, wpadniemy w putinizm – obcy albo własny. Ale to nie jest konieczne. Znamy narzędzia, którymi można ten kierunek zmienić.

**Na maksa mnie wkurza polityczny kicz wezwań do jedności. To nigdy się nie udaje na dłużej, bo jesteśmy różni. Ale jedność jest wielkim marzeniem Polaków, które zamiast do jedności prowadzi nas nieustannie do walki o to, czyja ma być ta jedność. Jak w takim społeczeństwie XXI w. stworzyć empatyczną, kooperującą, wspierającą się wspólnotę bez wymarzonej jedności?**

Nauczyłam się tego od Jacka Kuronia, którego zapytałam kiedyś, jak Polska może wyjść z komunizmu. A on na to: „Córeczko, studiuj, czytaj, ucz się od najlepszych, działaj”. I to się sprawdziło. Mała relatywnie grupa tych, którzy go słuchali, zmieniła rzeczywistość, podsuwając innym pomysły, jak to zrobić. Demokracja to uczenie się, czytanie i nieustanny dialog. Trzeba teraz wrócić do Kuronia, studiować dobre przykłady i działać.

**Czyli?**

Norwegia budowała swoją nowoczesną tożsamość na humanitaryzmie i egalitaryzmie, kiedy jeszcze nie była bogata. Tego uczono w szkołach. Takie narracje dzieci słyszały od rodziców. Przed naftą mówili o sobie: jesteśmy małymi, biednym krajem, ale najlepszym na świecie, bo to jest kraj dobrych ludzi. Byli dumni z tego, że są przyzwoici i humanitarni. Nansen stworzył paszporty nansenowskie na długo przed odkryciem ropy. Bo Norwegowie byli przekonani, że mają misję niesienia dobra na świecie. Możemy – chwilowo przynajmniej po demokratycznej stronie – zmienić narrację na bardziej norweską, zamiast wciąż obnosić tę gombrowiczowską dziurę po wybitym

zębem, która już na nikim nie robi wrażenia. To by była ulga. Inny przykład: Irlandia. Kiedy tam zamieszkałam w latach 80., bieda aż piszczała, a księża chodzili po uniwersytetach i zabraniali dziewczynom jeździć na rowerze, bo to nam podobno dawało seksualną przyjemność. Ciemnogród gorszy niż Czarnek. Irlandczycy masowo uciekali. A dziś Irlandia jest nie tylko bogata, ale też nowoczesna i dobra do życia. Osiągnęli to, bo w latach 90. powstały

grupy, które chciały i umiały rozmawiać z inaczej myślącymi. Aż ich przekonały. Latami budowały narrację o Irlandczykach jako najlepszych Europejczykach na świecie. I ludzie uwierzyli.

**W Polsce racjonalne argumenty nie przenikają przez mur polaryzacji.**

Większość Irlandczyków też nie wierzyła, że Irlandia się zmieni, i powtarzała, że referendum w sprawie dopuszczenia aborcji to absurd. Ale rozmowa po rozmowie, debata po debacie udało się coraz więcej ludzi przekonać, że legalizacja jest bardziej chrześcijańska niż zmuszanie kobiet, żeby rodziły na cmentarzach albo by robiły aborcję w protestanckiej Anglii. Racjonalne myślenie stopniowo wzięło górę w otwartej debacie.

**U nas jedni krzyczą o „mordowaniu dzieci”, a drudzy „wypierdalać!”. Zderzają się okrzyki pogłębiające przepaść, a nie argumenty, które by tworzyły konsens.**

Bingo! Irlandki wygrały, bo praktykowały to, co Michaił Bachtin nazwał dialogiczną wyobraźnią. Z Kościołem, farmarami, mieszkańcami miasteczek, największymi przeciwnikami aborcji rozmawiały tak, żeby ich przekonać do lepszego rozwiązania. Pytanie brzmiało, co będzie lepsze – nie jak dobro pokonało zło. A potem był słynny wiec w sprawie publicznie obradujący panel obywatelski, którego uczestnicy, słuchając ekspertów i delibrując, stopniowo przechylali się w stronę zmiany. Wraz z nimi przechylało się społeczeństwo obserwujące obrady. I w referendum górę wzięła zmiana. Ale zmiana prawa wynikała ze zmiany publicznej świadomości. To nie był akt przemocy ze strony bardziej postępowej parlamentarnej większości. Polityka stała się zbiorowym procesem refleksyjnym – nie tylko walką między wrogimi obozami. Zaczęła się reakcja łańcuchowa. Jedna zmiana na lepsze uruchomiła mechanizm kolejnych zmian na lepsze. I nie podzieliła wspólnoty, ale ją wzmocniła. Tak powstała prosperująca Irlandia, jaką znamy.

**W Polsce trudno to sobie wyobrazić.**

Ale trzeba. Inaczej się pozabijamy albo nawzajem się wyniszczymy i inni nas dobiją. Albo staniemy się ewolucyjną skamieliną. Koniecznie trzeba o tym rozmawiać. Po to zaprosiliśmy do Polski Sarah Monaghan, która organizowała debatę aborcyjną w Irlandii, Davida van Reybroucka, który uprawia demokratyczne innowacje w Belgii, byłego norweskiego ministra Erika Solheima – specjalistę od budowania politycznych koalicji, Jerry’ego Liebermana, który z Davidem S. Wilsonem stworzył nowojorski Evolution Institute. Może nas zainspirują? Najważniejsze jest spotkanie polskich aktywistów i polityków, aby wspólnie pomyśleć, jak można uruchomić i jak ma wyglądać taki publiczny dialog, dzięki któremu Polska stopniowo stanie się lepsza.

ROZMAWIAŁ JACEK ŻAKOWSKI

Konferencja „Demokracja oddolna. Budowanie dialogu między społeczeństwem obywatelskim i politykami” odbyła się 2 czerwca w Warszawie. Organizatorami byli Forum Ruchu Europejskiego, European Movement International, Evolution Institute i Collegium Civitas.

# Pokoje bez klamek

Jakim społeczeństwem jesteśmy po ośmiu latach rządów tzw. zjednoczonej prawicy? Podzielonym, ale nie tylko według sympatii politycznych. To również segmentacja w sensie psychologicznym, mentalnym, niekiedy tak głęboka, że Polska przypomina dom z zaryglowanymi pokojami i coraz skromniejszą przestrzenią wspólną.

EWA WILK

Fotoreporterskie migawki z 4 czerwca 2023 r., które kiedyś będziemy oglądać na wystawach rocznicowych, jak te z 1989 r.: dziesiątki haseł, poważnych i dowcipnych, na kijach i kartonie, wypichconych domowym sumptem i z pomocą nowoczesnych technolo-

gii poligraficznych. Wśród nich nawiązanie do popularnych tabliczek z obrazkiem psa załatwiającego wiadomą potrzebę i parafrazą „Posprzątaj po PiSie”.

Łatwo powiedzieć – posprzątaj. Założymy, że opozycja demokratyczna bezapelacyjnie zwycięża (co wcale nie jest oczywiste) i bierze w ręce baterię środków demokratyzujących. Zabiera się do renowacji zdeprawowanych politycznie instytucji, ustawięcia na właściwych

miejscach służb specjalnych, policji, banku centralnego itd. W co najpierw ręce włożyć?

Problem, że nie będzie miała do czynienia z rutynową kosmetyką zabałaganionego domu. Zmiany, których dokonało osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy, sięgają bowiem głębiej niż tylko – trzymając się domowo-porządkowej metafory – dewastacja sprzętów liberalnej demokracji. Zmieniło się polskie społeczeństwo, mieszkańcy tego wspólnego domu. Bałagan i zamęt sięgnął ludzkich umysłów: mentalności, sposobów reagowania na świat, nawyków, przekonań, emocji, języka, którym mówimy i myślimy.

## Dom dumny, dom wstydlivy

Niezwykle ciekawe wyniki badań zraportowało wiosną tego roku Laboratorium Poznania Politycznego Instytutu Psychologii PAN. Badano z pozoru bardzo specyficzny, wycinkowy fragment poczucia tożsamości Polaków: identyfikację z Polską. Czyli: jak odczuwamy swoją przynależność do narodu, jakie to budzi w nas emocje, jak rozumiemy patriotyzm. Uczni sięgnęli jednak głębiej, badając nie tylko pokrywanie się owej tożsamości z poglądami politycznymi czy statusem materialnym badanych, ale także ważne predyspozycje psychiczne. I tu już różnice się uwidatniają.

Zatem do rzeczy.

Wyodrębniono pięć grup lokatorów naszego wspólnego domu. **Spełnieni Demokraci** (20 proc. respondentów z reprezentatywnej ogólnopolskiej



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

próby) są całkiem zadowoleni z faktu, że żyją, gdzie żyją, polskość jest dla nich OK, generalnie są pozytywnie nastawieni do najbliższych i dalszych sąsiadów. Nie mają kompleksów wielkościowych. **Otwarci Tradycjoniści** (23 proc.) czują się wyróżnieni polskością, naszą lokalizację biorą za prestiżową. Ważniejsze jest dla nich, by dom był urządzonej po staremu niż podążanie za modami. Ale są stosunkowo otwarci wobec sąsiadów – i tych z „jedynki”, i z „trójki”, czyli **Zaangażowanych Konserwatystów** (15 proc.). Im polskość jawi się jako powód do dumy, choć widzieliby nasz dom znacznie okazalszy („silna skłonność do wyobrażeń wielkościowych”) i w stylu niejako koszarowo-jednolitym, bez gości („deprecjonowanie innych grup”). Pod „czwórką” mieszkają **Zawstydzeni Polską** (14 proc.), nieodczuwający więzi z sąsiadami, bo ich nie lubią; w grę mogą tu wchodzić – jak odnotowali badacze – specyficzne okoliczności psychiczne, np. generalne niezadowolenie z życia, poczucie samotności. Wreszcie w pomieszczeniu z osobnym wejściem – pod „piątką” – siedzą **Wycofani Pesymiści** (uwaga: aż 28 proc.!), których polskość ani ziębi, ani grzeje, są skoncentrowani na własnych sprawach, a że nie najlepiej im w nich idzie, kompensują to sobie agresją wobec innych.

## Pokój z kłamką z jednej strony

W tej obrazowej segmentacji nie ma pewnie nic zadziwiającego – podobnie musi być w wielu innych krajach. Jednakowoż wydaje się ona niepełna, brakuje w niej pomieszczenia, które przypomina pokój z kłamką z jednej strony, jak to często bywa np. w niedostępnych z zewnątrz gabinetach lekarskich. Zatrzasnęła się tam spora grupa polskiego społeczeństwa, najtwardsza ze szpizowego elektoratu PiS. Owszem, można przypuszczać, że po zmianie władzy jego część reemigruje np. do „dwójki”. Jednak większość najprawdopodobniej zatrzaśnie się na długie lata w rzeczywistości psychologicznej, z której wydostanie się jest równie trudne jak opuszczenie sekty.

Nauki społeczne nieprzypadkowo używają tej analogii, pytając, skąd w niektórych ludziach, a czasem całych masach społecznych, bierze się ślepe zaufanie do wodzów, partii, generalnie „swoich”. Dlaczego – przy sporej ogólnej nieufności do świata – są gotowi głosować na każdego, kogo ten wódz namaści, choćby był to żółty pies. W USA funkcjonuje dokładnie takie pojęcie – syndrom żółtego psa,

wymyślony zrazu dla sklasyfikowania zwolenników demokratów (stąd ang. Yellow Dog Democrats), dziś odnoszący się raczej do Trumpolubnych republikanów.

W teoriach psycho-socjologicznych zagościł też termin granfalon, zapożyczony z eseistyki i epiki Kurta Vonneguta. Oznacza silną identyfikację z grupą, której nic nie spaja poza tym, że sama przynależność do niej jest źródłem ponętnych owoców psychicznych: poczucia wyjątkowości, wyższości moralnej (jesteśmy ci ostatni prawi w zepsutym świecie) i intelektualnej (tylko my znamy prawdę). Zwalnia ono z wszelkich psychicznie niekomfortowych dylematów.

Jarosławowi Kaczyńskiemu i jego propagandowej armii bez wątpienia udało się toporna, ale brutalnie konsekwentna operacja zbudowania owej sekty – granfalonu. Pozycja wodza sięgająca kultu (cóż, że nachalnie aranżowanego), chroniczne poczucie zagrożenia ze strony coraz to nowych wrogów, manichejska, spiskowa teoria funkcjonowania świata, martyrologiczna polityka historyczna, a ponad wszystko – chroniczne poczucie krzywdy. Ono działa bardzo specyficznie, bardzo zbliża ludzi, również w relacji polityk – wyborca (może on nie jest bez wad, ale jest tak samo lekceważony, wyszydzaony i spychany na margines jak ja).

Bardzo wiele osób przynależnych do tej sekty granfalonu – więcej niż średnio w społeczeństwie – cechuje pewna dyspozycja psychologiczna. Tu nie chodzi o temperament, osobowość, mówiąc potocznie, charakter i jego zaburzenia. To orientacja na dominację społeczną (z ang. SDO – *social domination orientation*). Oznacza ona pewien agregat stale zainstalowany w umyśle, polegający na przekonaniu, że zawsze i wszędzie obowiązuje hierarchia, a manifestacja bezwzględnej władzy (urzędnika nad petentem, ekspedienta nad klientem, szefa

nad podwładnym, państwa nad obywatelem) oraz okazywanie podległości temu, kto tę władzę ma, należą do natury świata. Taki pogląd pociąga za sobą rozumienie demokracji jako niepodzielnych rządów większości nad mniejszościami, wyższości woli (ludu, suwerena) nad prawem i „sprawiedliwy” podział dóbr, a nie np. trójpodział władzy. Silne SDO w danym społeczeństwie oznacza większe przyzwolenie na autorytaryzm.

Na chwilę wróćmy do badań PAN, bo przyłożono w nich termometr SDO do poszczególnych segmentów, pytając m.in.: czy grupy lepsze powinny dominować nad słabszymi? Wśród Spełnionych Demokratów tak odpowiedziało 24 proc., wśród Otwartych Tradycjonalistów – 45 proc., a Zaangażowanych Konserwatystów i Wycofanych Pesymistów – aż po 60 proc. Wśród Zawstydzonych Polską – 34 proc.

Ucząc swych zwolenników czy raczej poddanych owego SDO, rządzący zaszczepili im pewną chytrą retoryczną. Kiedy próbujesz dyskusji, używasz rzeczowych argumentów, racjonalnego opisu rzeczywistości, słyszysz: **1. To nieprawda** (kłamstwo, manipulacja, propaganda); bądź **2. A oni byli jeszcze gorsi** (też kradli, oszukiwali, dzielili łupy między swoich); albo **3. To atak na tradycyjne wartości** (na Kościół, na rodzinę). Tego rodzaju triki należą do standardowego arsenału walki politycznej, ale na froncie, w politycznym teatrze stosowane są przeważnie z cynicznym rozmysłem. W masowym użyciu ryglują dostęp do umysłów. Wracając do mieszkaniowej metafory, barykadują dostęp do pokoju.

## Salon zagracony

Ale i w przestrzeni otwartej będą musiały pomieścić się niekiedy sprzeczne, niekiedy niebezpieczne emocje, poglądy. Osiem lat doświadczeń również po stronie ▶

OGŁOSZENIE

**SPRZEDAM NIERUCHOMOŚĆ**  
**POŁOŻONĄ W WARSZAWIE (MŁOCINY)**  
**PAŁAC BRÜHLA Z PARKIEM O POW. 4 HA**

Kontakt: [gardocki@gardocki.pl](mailto:gardocki@gardocki.pl)

► demokratycznie usposobionych mieszkańców polskiego domu odłożyło się niebezpiecznym balastem psychologicznym. To nie jest tak, by nienawiść czy nienawiść miały wyłączny dostęp do osób o określonych sympatiach politycznych. Niestety, to stany o dużym potencjale epidemicznym.

Międzynarodowe badania More in Common (najnowszy raport pochodzi z grudnia 2021 r.) pokazują, że okres pandemii Covid-19 to czas, gdy i tak legendarnie niskie zaufanie „do ludzi w ogóle” spadało w naszym kraju na łeb, na szyję: z twierdzeniem, że „większości ludzi można ufać” latem 2020 r. zgadzało się 43 proc. badanych Polaków, a zimą 2021 r. już tylko 23 proc. Trzy czwarte respondentów deklarowało wtedy nieufność wobec rządu, ale niewiele mniej – 67 proc. – wobec opozycji. Koniec 2022 r.: Jarosławowi Kaczyńskiemu nie ufa 60 proc. Polaków, Donaldowi Tuszkowi – 51 proc. (sondaż CBOS).

O ile uogólniona nieufność podstępnie kruszy filary zgodnego współzycia społecznego, osłabia zadowolenie z życia, obniża dobrobyt, hamuje innowacyjność (te korelacje zostały potwierdzone licznymi badaniami; w Polsce poczynając od badań prof. Piotra Sztompki z 1995 r., kończąc na analizach prof. Krystyny Skarżyńskiej z 2019 r.), o tyle prawdziwym trotylem społecznym jest nienawiść.

Na nią, podobnie jak na nieufność, żadna strona polityczna nie ma wyłączności. Wcale nie trzeba być politycznym radykałem, by wyhodować w sobie – jak to definiuje psychologia – ten stały i ekstremalny negatywny stan afektywny. Osoba czy grupa, wobec której człowiek ją kieruje, wydaje mu się wroga, niemoralna, głupia, ale też – że nic nie zdoła tego zmienić. Po prostu ma po wsze czasy wstrętą naturę, złośliwe intencje, niebezpieczne zamiary.

### Nienawiść puka do drzwi

Można powiedzieć, że przedstawiona tu wizja zatrzaśniętego pokoju tę nienawiść po prodemokratycznej stronie racjonalizuje; wszak nadzieja na szybką i pozytywną zmianę jest tam dość nikła. Przedwyborcza gorączka, zaostrenie retoryki po obu stronach frontu, ten (wzajemnie odczuwany) konglomerat gniewu, złości i wrogości może przekroczyć próg, za którym robi się niebezpiecznie.

Nienawiść bowiem niesie ze sobą zwykle „pragnienie skrzywdzenia lub sprawienia bólu jej obiektowi lub uczucie przyjemności czerpane z nieszczęść przytrafiających się owemu obiektowi” (klasyczna definicja amerykańskiego psychologa Arthura Rebera).



Już dziś widać, jak zróżnicowana pod tym względem jest antypisowska część Polaków. Wróćmy do 4 czerwca. Gdy reżimowa telewizja zbyła gigantyczną manifestacją opinią, że był to kolejny pokaz „nienawiści i pogardy”, wzbudziło to masowy sprzeciw jej uczestników. Tyle że jedni zareagowali śmiechem, ironią, zgrabnym memem, inni – gniewem i wściekłością. Gdy jedni traktowali udział w owym przemarszu jako okazję do „zobaczenia tyłu fajnych, mądrych twarzy”, policzenia się, swoistego mitingu towarzyskiego, innych to gorszyło – szli z zamiarem manifestacji siły, wyrażenia swojej radykalnej niezgody i chęci odwetu (jedna z łagodniejszych wersji kartonów na kijach: „Wykopiemy PiS jesienią, posadzimy na wiosnę”).

Jako żywo przypomina się początek lat 90., gdy jedna część dawnej antykomunistycznej opozycji domagała się lustracji, dekomunizacji (de facto śmierci publicznej i zawodowej każdego, kto jakoś pracował na rzecz reżimu); rozgonienia uwłaszczającej się nomenklatury itd. A druga część szukała sposobu, by Polacy nie skoczyli sobie do gardeł.

Analogie z przełomem 1989 r. można snuć bez końca. I w nich szukać także źródeł optymizmu – wszak społeczeństwo dało sobie radę, nie było żadnej wojny domowej. Jednak poniekąd wtedy było łatwiej: poczucie, również w elitach peerelowskiej władzy, bankructwa systemu politycznego i gospodarczego było powszechne. I odpowiedź na nie wydawała się oczywista: liberalizm rynkowy, demokracja liberalna. To był czas, gdy myśliciele snuli wizję końca historii. W Polsce szczyt społecznej wiary w „niewidzialną rękę rynku” przypadł na 2005 r., a słabnąć zaczęła ona ewidentnie po 2008 r., choć Polska wyszła wtedy z ciężkiego globalnego kryzysu obronną ręką.

Dziś budowanie zbiorowego poczucia sensu i celu jest trudniejsze niż 30, 20 czy nawet 10 lat temu. Liberalowie wstydzą się liberalizmu, lewica – mocna w kwestiach obyczajowych – ma słaby kontakt z „masami pracującymi”, populistyczna prawica – chorobliwie uczulona na „lewactwo” – w istocie przejęła lewicowy pakiet poglądów, dodając własny autorytaryzm.

### Sąsiedzi z pokoju obok

W polskim domu nie wiadomo właściwie, na jakich kanapach siedzą ugrupowania polityczne i dokąd chcą nas prowadzić. Zgeneralizowana niepewność jest rysem współczesności przynajmniej równie silnym jak nieufność. Jak powiada prof. Małgorzata Jacyno, socjolożka z zacięciem filozoficznym, już nie tylko przyszłość, ale i terażniejszość stały się niepewne.

Człowiek współczesny ma coraz mniej pewności nie tylko w tak oczywistych kategoriach, jak praca, dochody, sytuacja materialna. Dręczą nas coraz częściej pytania: czy nie jestem manipulowany, okłamywany, sterowany, podsłuchiwany, podglądany? Niekoniecznie przez Pegasus w brudnych celach politycznych, ale przez coraz inteligentniejsze algorytmy, które odnotowując nasze nawyki, kaprysy, nawet epizodyczne zachowania sieciowe, zdają się wiedzieć więcej o nas niż my sami o sobie. Ukuto zgrabne określenie współcześnie funkcjonującego systemu ekonomicznego: kapitalizm inwigilacyjny.

Co z tego wszystkiego wynika dla przyszłości polskiego społeczeństwa? Po wyborach czeka nas albo utkwienie na kolejne lata w pogłębiającym się bałaganie moralnym i chaosie psycho-społecznym, albo ponowne mozolne układanie się we wspólnocie, ze świadomością, że demokracja jest w istocie rzeczy przyzwoitym, uregulowanym prawem sąsiedztwem.

Byłoby cudownie, gdyby segmentacja naszego domu ograniczyła się do samych tylko „jedynek” i „dwójek” (otwartych postępowców i przyjaznych światu tradycjonalistów), ale to mrzonka. Trzeba się pogodzić z faktem, że w swojej wspólnocie mieszkaniowej – społeczeństwie – zawsze będą pokoje, do których nam nie po drodze, zajęte przez lokatorów niebudzących sympatii.

Wystarczy, by to wspólne mieszkanie przebiegało bez awantur, obraźliwego, wulgarnego języka, bez wstawiania współlokatorom gratów, bez urządzania komuś życia wedle swoich upodobań, wierzeń, poczucia etyki i estetyki.

EWA WILK

# Letnie łamanie głowy!

---



Zagadki logiczne, liczbowe, słowne i wiedzowe  
– każdy znajdzie coś dla siebie!

---

Do kupienia w kioskach oraz na [sklep.polityka.pl](http://sklep.polityka.pl)

# Grupa dająca władzę

Prawie 70 proc. wyborców PiS ma już więcej niż 60 lat. A im biedniejsi są emeryci, im bardziej zależni od „hojności” PiS, tym chętniej głosują na tę partię. Seniorów w Polsce przybywa i to oni stają się przyszłością narodu.

JOANNA SOLSKA



# N

ajmłodszą emerytką w rządzie PiS jest Magdalena Rzeczkowska, ma 49 lat i dorabia do emerytury jako minister finansów. Przez 18 lat pracowała w Służbie Celno-Skarbowej, dośłużyła się emerytury w wysokości 4,8 tys. zł brutto. To tzw. emerytura mundurowa, wypłacana z budżetu MSWiA. Ze statystyki

wynika, że świadczenie emerytalne Rzeczkowska pobierać będzie kilka razy dłużej, niż na nie pracowała, kobiety żyją przeciętnie 84 lata. Podobny system ma MON. Z kasy tego resortu, przeznaczonej na obronność kraju, sowitą emeryturę generalską pobiera Sławoj Leszek Głódź, były kapelan wojska.

## Seniorzy rozwojowi

Starsze pokolenie staje się przyszłością narodu, w wieku 60 plus jest już ponad 26 proc. obywateli, a minister rodziny Marlena Małag zauważa, że wkrótce co trzeci Polak będzie emerytem. Skoro więc to od tej grupy najbardziej zależy, czy PiS utrzyma władzę, rozwojowy program dla Polski adresowany jest głównie do nich. Z tym że słowo „rozwojowy”

nie wydaje się potrzebne, chodzi bowiem głównie o wypłaty. Z wyliczeń Antoniego Kolka, prezesa Instytutu Emerytalnego, wynika, że w latach 2022–26 do seniorów popłynęło wsparcie gotówkowe w wysokości 142 mld zł. Wspieranie rodzin z dziećmi staje się politycznie mniej efektywne. Młodszy rządziej odwdzięczają się przy urnach.

Do najstarszej grupy wiekowej dostosowany jest także ideowy przekaz partii rządzącej. Z badania Polsenior wynika, że seniorzy to grupa najbardziej konserwatywna, przeciwna równouprawnieniu osób LGBT, postulatami liberalizacji aborcji, najsilniej też związana z Kościołem. Jest też najmniej wrażliwa na ekologię oraz łamanie praworządności. Nie docierają do niej wieści o aferach, ponieważ jej olbrzymia większość widzi tylko to, co pokazuje TVP, do wolnych mediów ma ograniczony dostęp. W zamach smoleński wierzy 78 proc. elektoratu PiS, czyli głównie oni. Konkluzja, jaka płynie z badania, jest taka, że starzejące się społeczeństwo będzie coraz bardziej uzależnione od władzy mentalnie i materialnie. PiS stworzyło z seniorami układ klientelistyczny. Wy dacie nam pełnię władzy, my wam trochę pieniędzy.

Jest to szczególnie widoczne na wsi, gdzie najwięcej starych ludzi jest wykluczonych społecznie, samotnych, szybciej dotykają ich choroby otępienne. Dr Sylwia Michalska z Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN zauważa, że wykluczenie polega też na tym, że większość najgorzej wykształconych seniorów niczego nie załatwi przez internet, bo w grupie 75+ na wsi korzysta z niego zaledwie 6 proc. Z telefonu komórkowego – tylko 54 proc. To pogłębiło się w czasie pandemii, która odcięła ich od wnuków.

## Seniorzy elitarni

Emerytów i rencistów jest w Polsce coraz więcej, ich liczba zbliża się do 10 mln osób, włączając pobierających renty rodzinne. Osób pracujących jest zaledwie 16,5 mln. Seniorzy są grupą zróżnicowaną wiekowo, ale też finansowo, pobierają świadczenia z kilku różnych systemów emerytalnych.

Najlepiej uposażeni i najmłodszy są mundurowi. Pracownicy mundurowi, czyli policjanci, żołnierze czy celnicy, nie płacą od swoich pensji składek emerytalno-rentowych, a świadczenie mogą pobierać dużo wcześniej, nawet po 20 latach pracy bez względu na wiek. Jak znany czterdziestolatek Agent Tomek. PiS cofnęło bowiem reformę rządu PO-PSL, wydłużając wiek uprawniający mundurowych do pobierania emerytury dopiero po przekroczeniu pięćdziesiątki. Młodzi czterdziestolatekowie mogą uzupełniać dochody z emerytury inną pracą, jak Rzeczkowska. Są za to partii wdzięczni. Ich świadczenia finansowane są w pełni z podatków pracujących. Od wysokości składek zebranych na starość ani od stażu pracy nie zależą też świadczenia sędziów i prokuratorów, oni też mają osobny system emerytalny, finansowany z budżetu Ministerstwa Sprawiedliwości.

Mundurowi i sędziowie to finansowa elita seniorów. Ich świadczenia są dużo wyższe od tych, które zwykli Polacy pobierają z ZUS. W resortach ciężko się doprosić o aktualne dane. Dostępne są te za 2021 r., wynika z nich, że przeciętna emerytura mundurowych już wtedy wynosiła 4,1–4,5 tys. zł. Grupa osób objętych tego typu systemami emerytalnymi liczy ponad 400 tys. osób. Powiększają ją renciści.

Podatnicy prawie w całości finansują też emerytury, które z systemu KRUS (Kasa Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego) pobiera 750 tys. rolników, a razem z rencistami to już prawie milion. – *Ich świadczenia rocznie kosztują budżet 18 mld zł, ale tylko 1 mld pochodzi ze składek ubezpieczonych* – wylicza

prof. Iga Magda z SGH oraz Instytutu Badań Strukturalnych. Reszta to dotacja. Właściciele gospodarstw mniejszych niż 50 ha płacą na emeryturę składki symboliczne, nieporównanie mniejsze niż pracujący poza rolnictwem. Dlatego właściciele nawet jednego hektara ziemi, uprawniającego do ubezpieczenia w KRUS, nie chcą jej sprzedać, żeby tego przywileju nie stracić. Wolą w mieście pracować na czarno albo okresowo wyjeżdżać do pracy za granicą, choćby przy zbiorze szparagów. Życzenia prezesa Kaczyńskiego, żeby do zbioru szparagów w Polsce przyjeżdżali Niemcy, raczej się nie spełnią.

Gwarantem, że żadna reforma nie zmieni systemu finansowania emerytur rolniczych, jest PiS. Czynniki zawodowo rolnicy, od których zależy bezpieczeństwo żywnościowe kraju, z rządów Prawa i Sprawiedliwości są niezadowoleni coraz bardziej, ale ich rodzice, emeryci, od partii się nie odwrócą. PiS za te same, śmiesznie niskie składki nie tylko podniosło wysokość ich emerytur minimalnych, zrównując je prawie z tymi z ZUS, ale też dodatkowo obdarowało „trzynastką” i „czternastką”. To dzisiaj starsza wieś jest najtwardszym elektoratem PiS, a nie rodziny, które pokochały tę partię za 500 plus.

## Seniorzy groszowi

Tylko w przypadku osób ubezpieczonych w ZUS emerytura zależy od sumy składek zebranych w czasie całego okresu aktywności zawodowej. Pracujących, ze składek których się je wypłaca, przypomnijmy, jest 16,5 mln. W szybkim tempie zbliża się moment, gdy na emeryturę dla jednego seniora zapracować będzie musiała jedna osoba czynna zawodowo. Kasę Funduszu Ubezpieczeń Społecznych (na który spływają składki z ZUS) ratują legalnie pracujący imigranci, którymi PiS straszy. Mimo to tegoroczna dotacja z budżetu do FUS sięgnie 55 mld zł i będzie rosła.

Emerytów przybywa szybciej, niż na rynek pracy wchodzi młodych. Młodzi pracujący, głównie mężczyźni prowadzący działalność gospodarczą, zaczynają się buntować przeciwko rosnącym obciążeniom podatkowym. Najbardziej spektakularnym dowodem nabrzmiewającego konfliktu pokoleń jest coraz większa popularność Konfederacji. Jej sympatycy żądają niższych podatków i ograniczenia rozdawnictwa, zwłaszcza likwidacji „13” i „14” dla emerytów. Wnuki stanęły po przeciwnej stronie politycznej barykady niż ich dziadkowie. Konflikt pokoleń będzie nabrzmiewał.

Do ZUS składki emerytalne wpłaca większość pracujących. Emerytów w ZUS jest 6,5 mln, plus ponad milion rencistów. Najbogatszy stypendysta ZUS pobiera miesięcznie świadczenie w imponującej wysokości 43 tys. 412 zł brutto. Odkładał na nie przez 62 lata pracy, obecnie ma już 86 lat. Więcej, niż przewidują statystyki przeciętnego trwania życia mężczyzn. To nie z jego powodu w kasie ZUS jest coraz większa dziura, on odłożył dużo więcej, niż z kasy ZUS zdąży wyjąć. To jednak wyjątek.

Na drugim biegunie są tzw. emerytury groszowe, niższe od minimalnej. Należą się kobietom po 60. roku życia, których staż pracy był krótszy niż 20 lat, oraz mężczyznom po 65. roku, pracującym i płacącym składki krócej niż 25 lat. Nierzadko w ciągu całego życia pracującym zaledwie przez miesiąc albo nawet mniej. Emerytka z Biłgoraja odkładała w ZUS zaledwie przez miesiąc, gdy pracowała jako tapicer. Jej emerytura wynosi 1 zł miesięcznie.

System emerytalny ZUS jako jedyny w Polsce został zreformowany w 1999 r. Obowiązuje w nim zasada, że na starość otrzymamy taką emeryturę, na jaką sobie odłożymy na naszym koncie emerytalnym w ZUS. Jeśli ktoś pracował głównie na czarno albo wcale, lub na umowie o dzieło, i nie płacił ▶

► składek, dostaje z ZUS emeryturę groszową. Takich osób jest 360 tys. Wysyłanie tych groszy na konta kosztuje ZUS więcej niż same świadczenia. – *Najwięcej kosztuje trzynaste i czternaste świadczenie, które posiadacze emerytur groszowych otrzymują w pełnej wysokości* – zauważa prof. Paweł Wojciechowski, były minister finansów w pierwszym rządzie PiS, do niedawna główny ekonomista ZUS.

Średnia emerytura w ZUS po marcowej waloryzacji podnoszącej świadczenia o 14,8 proc. wynosi obecnie 3482 zł brutto, to mniej niż wynosi płaca minimalna (3,6 tys. zł). Wysokość minimalnej emerytury podniesiono bardziej, bo o 250 zł; wynosi obecnie 1588 zł. Inflacja w marcu 2023 r., w stosunku do marca rok wcześniej, przekroczyła 18 proc., więc realna wartość nabywczą świadczeń maleje. Ale emeryci i renciści oprócz większej sumy dostali też po raz pierwszy list od samego premiera Mateusza Morawieckiego. Przekonuje w nim, że „za Tuska” ich świadczenia rosły wolniej niż za PiS. „Poprawę sytuacji seniorów dobrze widać, patrząc na wzrosty kwoty świadczeń netto, czyli do ręki. Przeciętą emerytura netto wzrosła między 2007 a 2015 r. o 55 proc., a między 2015 a 2023 r. aż o 81 proc.” – przekonuje (i manipuluje statystyką) premier „naszych drogich seniorów”. Morawiecki wie, że większość seniorów ma słabe wykształcenie, może im wciskać ciemnotę.

PiS zapisał już, że „drogim seniorom” „13” i „14” należy się na stałe. „Sprytnie” – piszą internauci. Dodatkowe świadczenia nie powiększają bowiem sumy emerytury, która stanie się podstawą waloryzacji w następnych latach.

## Seniorzy wdzięczni

Tymczasem świadczenia seniorów realnie się kurczą. Deklaracjom premiera przeczą wyliczenia Instytutu Emerytalnego. Wynika z nich, że aż 75 proc., czyli 4,5 mln, emerytów pobiera świadczenia niższe od płacy minimalnej. Chyba nawet więcej, ponieważ „14” w pełnej wysokości otrzymuje aż 5,8 mln osób, a należy się ona tylko, jeśli emerytura nie przekracza 2,9 tys. zł. Na głosy tych 5,8 mln PiS liczy najbardziej. To trzon elektoratu.

Emerytury większe niż 6,5 tys. zł brutto wypracowało, według ZUS, zaledwie 150 tys. „beneficjentów ZUS”. Są świadomi, że gmeranie w systemie zniechęca do odkładania jak najwyższych składek, powoduje większą redystrybucję dochodów z kieszeni osób aktywnych zawodowo do najniższej uposażonych. Na nich PiS raczej nie ma co liczyć. Seniorzy inflacyjnie bardzo biednieją, ale do emerytury dorabia zaledwie 830 tys. osób, głównie osoby prowadzące działalność gospodarczą.

Najniższe świadczenia mają kobiety, które skorzystały z możliwości wcześniejszego zakończenia pracy. Obietnica powrotu do wieku emerytalnego 60 lat dla kobiet oraz 65 dla mężczyzn była, oprócz obietnicy 500 zł na dziecko, głównym powodem dojścia PiS do władzy w 2015 r. Polacy gwałtownie zaprotestowali przeciwko reformie rządu PO-PSL wydłużającej okres aktywności zawodowej w ciągu nadchodzących 18 lat do 67. roku życia, zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn. Emeryci nadal są za to PiS wdzięczni, a ich głosy



ważą na wynikach każdych kolejnych wyborów coraz bardziej.

Mimo że już w 2017 r. przekonali się, jaką cenę trzeba za to zapłacić. Zwłaszcza kobiety. Po cofnięciu „reformy emerytalnej PO” do ZUS z wnioskami o przejście na emeryturę ruszyło 400 tys. osób, dwa razy więcej niż w innych latach. Średnie świadczenie dla 60-letnich pań okazało się skromniutkie, zaledwie 1560 zł, czyli 1300 zł na rękę. Mężczyźni, pracujący pięć lat dłużej, otrzymali przeciętnie 2780 zł brutto. Te nożyce rozwierają się coraz bardziej. Średnia emerytura panów z ZUS w ubiegłym roku wynosiła 3842 zł, pań zaledwie 2521 zł. Coraz liczniejsza grupa nie jest w stanie odłożyć w ZUS nawet na emeryturę minimalną. Ale ją dostają, bo państwo dopłaca.

– *Z prognoz wynika, że do 2030 r. kobiety będą mogły liczyć jedynie na emeryturę minimalną* – twierdzi prof. Iga Magda. Jej zdaniem panie zachowują się jednak racjonalnie,

umieją liczyć. Przy skróconym wieku emerytalnym do 60 lat wiele kobiet nie wypracowuje sobie nawet tej emerytury minimalnej. Jeśli jednak pracowały co najmniej 20 lat, do tej minimalnej dopłaci im państwo. – *Więc po co mają pracować rok czy dwa lata dłużej, jeśli i tak dostaną tyle samo?* – zauważa Iga Magda. Lepiej wziąć, co dają, i skończyć z pracą, której nie lubią. Albo, póki zdrowie pozwala, dorobić na czarno.

W ubiegłym roku ponad 70 proc. Polaków ubezpieczonych w ZUS poszło na emeryturę natychmiast po uzyskaniu do niej uprawnień. Nawet ci, którzy postanowili popracować dłużej, stracili ochotę przed upływem roku, chude świadczenie wybrało 90 proc. uprawnionych. Definitywnie kończyli z pracą przed marcem następnego roku, żeby załapać się na waloryzację i „13”, którą wypłacano w kwietniu.

Polak przechodzi na emeryturę z ZUS dokładnie w wieku 65,2 lat, Polka – 60,6. Zachęty, że świadczenia rosną z każdym rokiem wydłużania okresu aktywności zawodowej, nie działają. Dłużej pracują osoby dobrze zarabiające oraz mające z pracy satysfakcję. O nich jednak PiS nie dba, to nie jego wyborcy.

Według Eurostatu Polska należy do krajów, w których satysfakcja z pracy jest najniższa. Mężczą długie dojazdy, ale także brak elastyczności zatrudnienia.

## Seniorzy roszczeniowi

Polacy widzą, że związek wysokości ich emerytur z okresem aktywności zawodowej staje się nikły, a coraz więcej zależy od hojności władzy. Więc pytają, po co pracować dłużej? Z tegorocznego sondażu IBRiS dla Radia Zet wynika, że aż 44,8 proc. chce... ponownego obniżenia wieku emerytalnego. 32,4 proc. ankietowanych wolałoby, żebyśmy pracowali dłużej, a 20,4 proc. wolałoby, żeby zostało tak, jak jest.

Przerażeni ekonomiści, jak Paweł Wojciechowski, mówią, że fundujemy sobie kryzys rozwojowy, ale politycy partii rządzącej zobaczyli szansę na przedłużenie władzy. Premier Morawiecki oświadczył publicznie, że wracamy do dyskusji o emeryturach stażowych, co oznaczałoby możliwość kończenia pracy o kolejne pięć lat wcześniej. PiS wyciąga asa, którym zagrało w 2015 r. A na razie wypuściło przeciek, że jeszcze w tym roku wszyscy emeryci, niezależnie od wysokości świadczeń, dostaną od rządu „piętnastkę”.

JOANNA SOLSKA



ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI

# Kuszenie szejka

MARCIN PIĄTEK

Do polskiego ligowego futbolu puka kapitał rodem z Zatoki Perskiej. Niezrażony faktem, że nasze kluby to finansowe studnie bez dna, zazwyczaj omijane przez zagranicznych inwestorów szerokim łukiem.

**Ś**ląsk Wrocław idzie pod młotek. Według oficjalnych informacji w ciągu ostatnich 10 lat miasto wpompowało w klub – w ramach dotacji i dokapitalizowania – 112 mln zł. – Według moich ustaleń było to raczej ok. 180 mln. Do tego dochodzą wydatki miejskich spółek na zakup biletów w strefach VIP, a z budżetu Wrocławia wciąż spłacany jest kredyt zaciągnięty na budowę stadionu. Pozostało jeszcze 200 mln zł – wylicza Piotr Uhle z wrocławskiej rady miasta.

W 2013 r. magistrat przejął klub od Zygmunta Solorza-Żaka, który porzucił rolę dobrego wujka, gdy projekt budowy obok stadionu galerii handlowej spał na panewce. Wzięło go na siebie miasto, czując się w obowiązku ratowania – jak podkreślano – drogich lokalnej społeczności sportowych wartości. Nie zważało jednak na przytomne uwagi, że piłkarski klub niespecjalnie wrocławian obchodzi – w ponad 600-tysięcznym mieście na trybunach nowego, zbudowanego na piłkarskie Euro stadionu zasiadało wówczas (jesienią 2013 r.) średnio 10 tys. widzów.

W końcu kamień u szyi okazał się zbyt ciężki; uchwała w sprawie zgody na sprzedaż zapadła na posiedzeniu rady miasta niemal jednogłośnie. 10 lat temu Solorz-Żak sprzedał Śląsk miastu za ponad 22 mln, teraz wartość piłkarskiej spółki oszacowano na marne 8,5 mln zł. To mniej więcej cena dwóch niezłych, jak na polskie ligowe warunki, piłkarzy. Ale ewentualny nabywca przejmie klub z dobrodziejstwem inwentarza, czyli z długami (ponoć ok. 20 mln zł).

Korzystając z finansowej poduszki zapewnianej przez miasto, które dosypywało milionów, gdy tylko pojawiała się taka potrzeba, Śląsk był jednocześnie jednym z najgorzej zarządzanych klubów w Ekstraklasie – w poprzednim sezonie miał 21 mln zł straty. Nic dziwnego, skoro 97 proc. swojego 36-milionowego budżetu wydawał na wynagrodzenia dla piłkarzy i sztabu szkoleniowego.

**Prywatyzację Śląska obiecał Jacek Sutryk, prezydent Wrocławia.** Zrobił to w kampanii wyborczej pięć lat temu. Trudno powiedzieć, dlaczego zwlekał tak długo i dlaczego Śląsk został wyceńniony tak nisko. Choć z drugiej strony, gdyby w ostatniej kolejce klub cudem nie uratował się przed degradacją z Ekstraklasy, cenę trzeba byłoby pewnie jeszcze obniżyć.

Klub chce ponoć kupić Marian Ziburske, niemiecki biznesmen działający w branży nieruchomości. W grze ►



W polskiej piłce największą wartość mają stadiony i pobliskie grunty. Od lewej: stadiony Lechii Gdańsk i Śląska Wrocław.

► miał być też fundusz inwestycyjny z Zatoki Perskiej MADA Capital, ale zniechęcił się ogłoszoną przez miasto formułą przetargu. W rozesłanej do mediów informacji można było przeczytać, że fundusz od roku uważnie przyglądał się polskiem klubom pod kątem ewentualnego przejęcia oraz inwestycji. W tym celu została nawet powołana do życia spółka Football Culture Poland, a jej szefem został Szwajcar Paolo Urfer, który przy okazji jest również głównym inwestorem w funduszu. Na swoje w biznesie poszedł niedawno. Wcześniej działał jako pośrednik, łowca talentów, dyrektor sportowy w szwajcarskich klubach oraz konsultant dla dużego kapitału zainteresowanego inwestycjami m.in. w Newcastle i Bordeaux.

### Podczas rozmowy z POLITYKĄ Paolo Urfer potwierdza, że negocjuje wejście do innego polskiego klubu.

Co z jego punktu widzenia jest na tym rynku atrakcyjne? – *Potencjał. Czyli ładne i nowoczesne stadiony, na które można przyciągnąć publiczność. Oddani kibice. Wzorowane na zachodnich rozwiązaniach akademie, a najlepszym przykładem tego, że macie zdolną młodzież, jest trzecie miejsce reprezentacji U-17 na zakończonych właśnie mistrzostwach Europy. Futbol jest u was sportem numer jeden, więc dla sponsorów to powinien być magnes* – wylicza optymistycznie.

W biznesie często kupuje się potencjał, ale w futbolu jest on pisany palcem na wodzie. W polskim tym bardziej. Będąca smutną normą ligowa kopanina przyciąga głównie zatwardziałyh fanów, więc nowoczesne stadiony zapełniają się z rzadka. Know-how w przedmiocie szkolenia młodzieży jest od lat, baza do tego również, ale jak na razie jedynym klubem, który regularnie zarabia

na eksporcie wychowanków, jest Lech Poznań. Prywatny biznes garnie się do sponsoringu albo obejmowania właścicielskich udziałów umiarkowanie; gdyby odciąć kluby od finansowania przez samorządy i spółki Skarbu Państwa, większość nie związałaby końca z końcem.

Ze sprawozdań finansowych, złożonych przez kluby za sezon 2021/22, wynika, że 13 z 15 z nich zanotowało stratę. W sumie niemal 140 mln zł. Paolo Urfer zdaje sobie sprawę z wyzwania, jakim jest zarabianie na polskim futbolu. Jak również z tego, że w naszej rzeczywistości budżet może się spaść dzięki dwóm czynnikom. – *Udziałowi w europejskich pucharach oraz sprzedaży zawodników* – mówi. Problem w tym, że są to dochody niepewne, wprost proporcjonalne do jakości sportowej.

W przypadku Śląska Wrocław takie finansowe zastrzyki są marzeniem ściętej głowy. Na puchary widoków nie ma, a nawet gdyby udało się w przyszłym sezonie zająć miejsce uprawniające do gry w Europie, Śląsk już w kilkustopniowych kwalifikacjach zderzy się z rywalami z coraz wyższej półki. Raczej nie do przejścia. Klubowa akademie? Teoretycznie może znaleźć i oszlifować diament, ale funkcjonuje u boku Śląska jako osobny podmiot, również finansowany przez miasto, luźno związany z klubem. – *Z informacji przekazanych przez ratusz wynika, że Śląsk nie ma prawa pierwokupu ani wyłączności na jej wychowanków. Mogą podpisać dorosły kontrakt z dowolnym klubem* – zwraca uwagę Piotr Uhle.

W gruncie rzeczy miasto Wrocław wystawia więc na sprzedaż wyłącznie aktualną drużynę. To zresztą często, jeśli chodzi o polskie kluby, jedyny konkretny zasób do przejęcia. Bo stadiony i inne elementy futbolowej infrastruktury

powstały za środki z miejskiego budżetu, kluby je tylko dzierżawią. Dlatego niektórzy doszukują się w potencjalnym zainteresowaniu arabsko-szwajcarskiego kapitału drugiego dna. Mecz może być np. tylko środkiem do celu, jakim jest rozbicie interesów w vipowskich strefach stadionu, w których goszczą biznesmeni i politycy.

Paolo Urfer uspokaja: – *Mamy zamiar skoncentrować się wyłącznie na futbolu. Niezależnie od tego, czy i jaki klub przeżyjemy, cele są te same: zbilansować budżet, zwiększyć dochody, pozyskać lokalnego partnera do współpracy. W ciągu pięciu lat chcemy zainwestować ok. 100 mln zł.*

### Jeśli ostatnio pojawiały się plotki o potencjalnych inwestorach, szybko okazywało się, że to błaga.

Kilka lat temu Koronę Kielce chcieli przejąć inwestorzy z Senegalu. Podpisano nawet umowę przedwstępną, która zakładała, że za 75 proc. akcji miasto otrzyma nieco ponad 2,5 mln zł. Ale gdy przyszedł czas finalizacji transakcji, Senegalczycy wyparowali. W 2019 r. Wisłę Kraków miał kupić za symboliczną złotówkę (wraz z 12-milionowym długiem) tercet inwestorów na czele z Vanną Ly, który przedstawiał się jako członek kambodżańskiej rodziny królewskiej, a polskie serca próbował podbić, pokazując zdjęcia z papieżem Wojtyłą. Pobieżna weryfikacja skali jego biznesowej działalności wykazała posiadanie przez Vannę spółki zarejestrowanej w Luksemburgu, o kapitale założycielskim 2 tys. euro. Na przyszłego partnera w Wiśle wybrał sobie Szweda Matsa Hartlinga, który twierdził, że zarządza dużym funduszem kapitałowym, ale pod jego rzekomym adresem w Londynie mieścił się sklep z cygarami. Gdy przyszedł czas, główne zobowiązanie nowych inwestorów, czyli spłata zadłużenia, nie zostało

zrealizowane. Z umowy władze Wisły z trudem się wywikłały, ale to był początek sportowej degradacji niedawnej jeszcze lokalnej potęg.

Jedynym zagranicznym inwestorem, który przez jakiś czas traktował swoje futbolowe zaangażowanie poważnie, był Turek Sabri Bekdas. Mniej więcej ćwierć wieku temu przejął znajdującą się na krawędzi upadku Pogoń Szczecin, spłacił 5-milionowe długi, wyłożył kasę na transfery, które zaowocowały nawet wicemistrzostwem Polski, a o szacunku, z jakim traktował Pogoń, świadczy fakt, że nowym piłkarzom przed podpisaniem kontraktu kazał całować klubowy sztandar. Po wyborach samorządowych okazało się jednak, że nowe władze miejskie nie zamierzają przekazać Bekdasowi terenów inwestycyjnych w pobliżu stadionu na warunkach, jakie podpisali poprzednicy. Turek się zniechęcił i sprzedał swoje udziały niejakiemu Lesowi Gondorowi. Naprawdę nazywał się Leszek Gondorowicz i miał na koncie odsiadkę za przemyt Romów do Szwecji.

**W Ekstraklasie żaden klub nie jest dziś w rękach zagranicznego właściciela.** Do niedawna była to tylko Lechia Gdańsk, a niemiecki kapitał uosabiał w niej Franz Josef Wernze, twórca dużej sieci kancelarii prawnych działających w całej Europie pod szyldem ETL. Lechia właśnie jednak spadła do 1. Ligi (wraz ze swoim 40-tysięcznym, zbudowanym na piłkarskie Euro stadionem), a kilka tygodni wcześniej Wernze zmarł po długiej chorobie.

Formalnie rzecz biorąc, Lechia jest dziś nadal własnością niemieckiej firmy Advancesport AG, której udziałowcami są spadkobiercy Franza Josefa oraz Adam Mandziara. Mimo degradacji, która drastycznie obniżyła wycenę, klub wciąż jest na sprzedaż. – *Sytuacja finansowa nie jest dobra. Dochody z praw telewizyjnych oraz umów sponsorskich skurczą się znacząco. Cel numer jeden to szybki powrót do Ekstraklasy i odbudowa wartości klubu* – mówi prezes Ziemowit Deptuła, który swego czasu zaangażowany był w Lechię jako sponsor, a na czele zarządu stanął na początku kwietnia, gdy gdańska łódź już tonęła.

Poprzedzający spadek sezon Lechia skończyła po raz pierwszy od lat na finansowym plusie, ale zysk poszedł w główniejszym mierze na spłatę zadłużenia.

Lechia pod wodzą niemieckiego właściciela grała w europejskich pucharach od wielkiego dzwonu i bez sukcesów, a tylko jednego wychowanka – Karola Filę – udało się sprzedać na Zachód za więcej niż milion euro (konkretnie: 1,5 mln).

Niebawem na polskim podwórku zaczęło się eksperymentowanie innego rodzaju, zresztą z udziałem kapitału amerykańskiego. W marcu 72 proc. akcji 1-ligowego GKS Tychy kupiła od miasta spółka Pacific Media Group. To podmiot realizujący strategię zwaną *multi club ownership*, która sprowadza się do skupienia w jednym ręku kilku klubów, raczej z niższej półki. Amerykanie do tej pory działali w Europie Zachodniej (Anglia, Francja, Niemcy, Belgia, Dania, Holandia). – *Angażujemy się kapitałowo w kluby, które mają zdrowe finanse i są dobrze zarządzane. Polski rynek sondowaliśmy od półtora roku* – mówi Max Kothny,

który od niedawna z ramienia zagranicznego właściciela nadzoruje wprowadzanie w Tychach nowych porządków.

W tego rodzaju biznesie chodzi przede wszystkim o swobodę w przesuwaniu zawodników między klubami, najczęściej na zasadzie wypożyczenia. A piłkarska Polska to wciąż tania siła robocza. Przykładowy Malinowski błyszczy w Tychach, więc można go pchnąć do Kaiserslautern albo Barnsley, wypromować i sprzedać. Taka strategia jest z jednej strony prorozwojowa, gdyż zakłada stawianie na młodzież, ale też obciążona sporym ryzykiem, bo opieranie klubu na młodych zawodnikach, którzy muszą się uczyć na błędach, może się odbić na wynikach. I skończyć degradacją, czego zresztą amerykańscy właściciele z PMG doświadczyli w niemal wszystkich zarządzanych przez siebie zespołach.

Max Kothny jest jednak, jeśli chodzi o projekt Tychy, dobrej myśli. Zwłaszcza z powodu obecnego na Śląsku potencjału ludzkiego. – *To, że stawiamy na młodych i dajemy szansę szybkiego przeskokowi do zachodniego futbolu, będzie z pewnością naszym atutem w pozyskiwaniu zawodników. Nigdy nie przepłacaliśmy za piłkarzy i nadal nie będziemy tego robić* – zastrzega.

Akurat w Tychach większych protestów przeciw takiemu drenażowi piłkarskiego klubu pewnie nie będzie. Sportem numer jeden jest tu przecież hokej.

Od odpowiedzi na pytanie, czy obrona w 2016 r. koncepcja biznesowa przynosi jego firmie zyski, Max Kothny jednak się uchyla. Polskie kluby piłkarskie to jest biznes wysokiego ryzyka. I dla inwestorów, i dla kibiców.

MARCIN PIĄTEK



## Nowy numer FORUM już w sprzedaży!

- Wielki chaos w Wielkiej Brytanii ● Ameryka Trumpem podzielona ● Nowy światowy (nie)ład
- Anonimowi Gangsterzy ● Zawód: konspiracja
- Podziemny Meksyk ● Sommeliery nabici w butelki ● Mosad w Kurdywanie ● Exodus ukraińskich oligarchów ● Ćpajcie, Chiny!

Zamów prenumeratę drukowaną na: [www.sklep.polityka.pl](http://www.sklep.polityka.pl)

Zamów dostęp cyfrowy na: [www.dwutygodnikforum.pl](http://www.dwutygodnikforum.pl)



Moskwa, Putin w drodze na plac Katedralny.

# Putinizm o zmierzchu

# W

Bunt Jewgienija Prigożyna na razie zmienił niewiele. Wojna trwa, front się trzyma, Władimir Putin rządzi, jak rządził. Tylko pytanie: jak długo jeszcze?

PAWEŁ RESZKA

ostatnich dniach widzowie rosyjskich telewizji ciągle widzieli Władimira Putina. Wygłaszał orędzia, spotykał się z przedstawicielami resortów siłowych, a nawet z rozentuzjasmowanymi obywatelami. Najchętniej występował na tle wojskowych i funkcjonariuszy służb.

Na plac Katedralny Kremla zaproszono 2,5 tys. obwieszonych medalami mundurów. W oczekiwaniu na prezydenta gen. Wiktor Zołotow zapewniał dziennikarzy, że jego Gwardia Narodowa gotowa była bronić Moskwy do ostatniej kropli krwi. Przedstawiciele innych formacji też potwierdzali taką gotowość.

Władimir Putin zszedł do nich schodami przykrytymi czerwonym dywanem: „Dziękuję całemu personelowi Sił Zbrojnych,

organom ścigania i służbom specjalnym za ich zaangażowanie, za ich odwagę i męstwo, za ich lojalność wobec narodu rosyjskiego” – mówił. Potem był hymn i saluty kompanii honorowej przebranej w stroje historyczne. Wszystko z wielką pompą. Jakby świętowano zwycięstwo na miarę wzięcia Kijowa. Tymczasem okazja była zupełnie inna.

## Władza

Chodziło o to, że zbuntowany oddział najemnikówomal nie doszedł do Moskwy. O zwycięstwie mówić trudno. Z rebeliantami Jewgienija Prigożyna niemal nikt nie walczył. Nie broniono mostów. Nie wyprowadzono czołgów. Nie strzelano z dział. Wywrotowcy jechali, jechali – w sumie kilkaset kilometrów po głównej

drodze. A potem zawrócili – z własnej woli. Z tej perspektywy uroczystość na placu Katedralnym była trochę bez sensu. Bo co świętować?

Jednak nie szło tu o sens, ale o emocje. Putin musiał pokazać, że jest i rządzi. Stąd fanfary, orderzy, hymny, saluty. Ostre słowa o „buncie”, „zdradzie”, „smucie”. Podziękowania za „jedność”, „wierność” i „bohaterstwo”.

Z tym że nie do końca wiadomo, o jakich bohaterów chodzi, skoro armia była bierna i bohaterstwem nie zdążyła się wykazać. W czasie buntu poległo kilkunastu lotników, których strąciła obrona przeciwlotnicza rebeliantów (na Katedralnym czczono ich minutą milczenia). Zdaje się jednak, że ofiar było więcej. Rosyjskie siły powietrzne ostrzeliwały przypadkowe ciężarówki (są zdjęcia) i zbombardowały cywilny autobus (jak twierdził Prigożyn). Jednak o tym w Rosji zupełnie się nie mówi.

Po pierwsze, Putin musiał pokazać, że krzepko trzyma kierownicę. Drugim zadaniem było wytłumaczenie Rosjanom, co się właściwie wydarzyło. Bo nagle okazało się, że w kraju są jacyś buntownicy. Zajmują milionowe miasto, sztaby, lotniska. I nie ma na nich siły. Na dodatek są to ludzie, których niedawno Putin osobiście odznaczał orderami. A propaganda państwowa czciła jako zdobywców Bachmutu i gorących patriotów (przymykając oczy na to, że w dużej części są kryminalistami i zbrodniarzami wojennymi).

Zaserwowane przez Kreml tłumaczenie był proste: bunt Prigożyna to zdrada. „Cios w plecy naszego kraju i naszego narodu” – jak mówił Putin. Przywoływał 1917 r., gdy Rosji „zadano podobny cios” i ukradziono zwycięstwo w wojnie światowej. Ta historyczna analogia – choć w ustach oficera KGB brzmiała dziwnie – była jednak potrzebna, żeby wykazać, że Prigożyn działał w obcym interesie. Na rzecz „machiny militarnej, gospodarczej i informacyjnej Zachodu, jaka jest skierowana przeciwko nam”.

## Motywy

Z objaśnianiem motywów było gorzej. Prigożyn przecież chciał „tylko sprawiedliwości”. To znaczy dymisji skorumpowanego i nieudolnego ministra obrony Siergieja Szojgu i szefa sztabu generalnego gen. Walerija Gierasimowa. „Niech przestaną kraść, dadzą amunicję i pozwolą walczyć! Resztę załatwimy sami” – mówił, a ludzie w internecie i na żywo w Rostowie bili mu brawo.

Założyciel Grupy Wagnera wyrastał na ludowego bohatera. Za „swoje pieniądze” stworzył armię. Walczył za Rosję na dwóch frontach: zewnętrznym – tj. z „ukraińskimi nazistami” i zachodnią machiną wojenną, i wewnętrznym – ze skorumpowanymi urzędnikami ministerstwa.

Kreml postanowił jednak obrzydzić Rosjanom tego bohatera, z Janosika zrobić złodzieja. Propagandyści dzielili się z widzami nieoficjalnymi wieściami, że Prigożyn ponosił ostatnio same porażki biznesowe. Armia nie chciała już robić z nim interesów – zamawiać u niego prowiantu – co stawiało jego firmy na skraju bankructwa.

Po czasie „spekulacje” potwierdził sam Putin. Na spotkaniu z przedstawicielami resortów siłowych mówił, że w ostatnim roku na Grupę Wagnera z rosyjskiego budżetu poszło 86 mld rubli (około miliarda dolarów). Niektórzy analitycy przyjęli te słowa prezidenta jako przyznanie się Rosji do „winy”, tj. do sponsorowania i roztaczania parasola ochronnego nad najemniczą armią. Ale nie była to żadna sensacja. W Rosji nie da się mieć czołgu, samolotu, transportera, mieszkać w bazie wywiadu wojskowego, bez zgody państwa.

Kolejny miliard dolarów – ciągnął prezydent – Prigożyn zarobił na zaopatrywaniu w żywność rosyjskiej armii. „Mam nadzieję, że nikt tam nic nie ukradł albo przynajmniej nie za wiele, ale

oczywiście będziemy to sprawdzać – powiedział Putin, a za brzmiało to jak polecenie dla prokuratury. – Wygórowane ambicje i interesy osobiste doprowadziły do zdrady”.

Do wyjaśnienia został element winy. Putin od początku buntu podkreślał szacunek, jakim darzy żołnierzy i dowódców Grupy Wagnera, którzy „bohatersko” walczyli u boku innych rosyjskich oddziałów. Jego zdaniem zostali oszukani, wciągnięci w intrygę przez zwierzchnika. Dlatego nie będą ścigani. Mogą podpisać kontrakt z armią i walczyć, wrócić spokojnie do domu albo wyjechać na Białoruś. Odpowiedzialność za bunt spada więc w całości na Prigożyna, którego nazwiska Putin nie wymienił w żadnym z wystąpień.

Na koniec należało uzasadnić bierność organów siłowych, które pozwoliły najemnikom na grasowanie po kraju. To tłumaczono przebiegłością. Oczywiście można było uderzyć – jak mówił Aleksandr Łukaszenka – „rozwalić Prigożyna”, ale zdecydowano się na negocjacje. By nie przelewać bratniej krwi.

Czy Rosjanie kupią tę opowieść? Do tej pory przeważnie kupowali. Jeśli tak stanie się i tym razem, „zdrajca Prigożyn” straci w oczach społeczeństwa. Zyska zaś Putin, który obronił kraj przed smutą.

## Co się stało

Trudno powiedzieć, o co chodziło Prigożynowi. Zapalnik buntu – rzekome zbombardowanie połowych kwater przez rosyjskie lotnictwo – to raczej wymysł. Brak dowodów na masakrę, w której miały zginąć setki najemników.

Prigożyn nie miał żadnego programu oprócz wydania mu Szojgu i Gierasimowa. Teoria, że chciał aresztować ministra i generała, a potem zacząć negocjacje, nie wytrzymuje krytyki. Szedł na Rostów, choć wiedział, że obu dawno już tam nie ma. Potem zamierzał zdobyć Moskwę. Nie wiadomo po co, skoro nie chciał zdobyć władzy. W każdym razie jego kolumny poruszały się błyskawicznie. Tyle że gdy już prawie był u celu, kazał zawracać. Nie podjął walki. Nie zaryzykował.

Efekt? Przed rokoszem Prigożyn miał uzbrojoną w ciężki sprzęt armię, walczącą w Rosji, na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Dobrze prosperujący dzięki układom z państwem biznes. Niemałe wpływy. Gdy wracał spod Moskwy, był banitą. Gwarantowano mu jedynie wyjazd na Białoruś i umorzenie sprawy o bunt – choć widać, że kolejne sprawy karne mogą być jedynie kwestią czasu.

Prigożyn mógł tylko patrzeć, jak służby porządkowe zrywają banery zachęcające ochotników do wstępowania do Grupy Wagnera. Słuchać, jak propagandyści, którzy kiedyś go wychwalali, dziś nazywają zdrajcą. Na pocieszenie zostały mu wivaty mieszkańców Rostowa nad Donem. I prywatny odrzutowiec wart ok. 25 mln dol., którym poleciał do Mińska na spotkanie z Łukaszenką, aby poprosić o azyl.

## Sprowokowany?

Najemnicy Prigożyna miesiącami szturmowali Bachmut. W maju zdobyli ruiny. 20 tys. z nich zapłaciło życiem. Propaganda przedstawiała ten odcinek frontu jako kluczowy, choć tak naprawdę nie miał on szczególnego znaczenia. Zajęcie miasta niczego na froncie nie zmieniło. Być może rosyjska armia kupowała w ten sposób czas. Organizowała się na nowo na innych odcinkach. Przygotowywała do odparcia ukraińskiej letniej ofensywy.

W tym czasie Prigożyn był w coraz ostrzejszym konflikcie z ministerstwem obrony. Oskarżał urzędników o sabotaż. Wyzywał generałów. Wziął nawet do niewoli rosyjskiego pułkownika. Uchodziło mu to na sucho, dopóki wagnerowcy byli potrzebni na pierwszej linii. Ale po Bachmucie, na początku czerwca, zluwowano ich. Okazało się, że front trzyma się bez ich obecności, ►

► choć ukraińska armia atakuje coraz śmielej. Wykrwawieni najemnicy odpoczywali w namiotowych miasteczkach. Zaś z Moskwy przychodziły coraz gorsze wiadomości. Ministerstwo obrony wydało rozkaz, że wszyscy, którzy chcą brać udział w „specjalnej operacji wojskowej”, muszą podpisać kontrakt z armią. Podpisanie kontraktu oznaczało koniec samodzielności Grupy Wagnera.

Oddać swoich ludzi pod komendę Szojgu? Prigożyn nie chciał się na to zgodzić. Próbował wynegocjować inne kompromisowe rozwiązania, choćby kontrakt z Gwardią Narodową. Szukał kontaktu z Putinem, ale na próżno. Ministerstwo obrony było zdecydowane, by zaprowadzić porządek w szeregach. To logiczne, bo nie da się skutecznie prowadzić wojny, gdy część oddziałów nie podlega dowództwu.

Zrobiono to jednak w taki sposób, aby Prigożyna upokorzyć. Jakby chciano go sprowokować do buntu.

## Drugie dno

Bunt wagnerowców nie miał sensu – chyba że było jakieś drugie dno. Być może Prigożyn liczył na poparcie. Być może ktoś mu je obiecał. Mówiło się o gen. Siergieju Surowikinie, którego Prigożyn chwalił od miesięcy i forsował na ważne stanowiska. „New York Times” sugerował, że Surowikin wiedział o planowanym puczu. Z drugiej strony był jednym z pierwszych, którzy wezwali wagnerowców do opamiętania. A w starciu z najemnikami zginęli jego żołnierze, bo Surowikin dowodził siłami powietrznymi. W każdym razie generał po zakończeniu puczu był podobno długo przesłuchiwany, a może nawet zatrzymany. Izdaje się nie był jedynym, który po puczu musiał się tłumaczyć.

Gdyby Prigożyn miał poparcie części dowódców, to bunt zaczynałby mieć ręce i nogi. Bierność armii mogłaby wynikać z ambicji jej dowódców. Może chcieli się pozbyć Szojgu i zacząć wojskować po swojemu? Gdyby Prigożyn miał poparcie nie tylko generałów, ale i polityków, jego „marsz sprawiedliwości” mógłby się zmienić nawet w zbrojny zamach stanu.

To jednak tylko gdybania. Fakty są takie, że po kilku godzinach rabacji, zwłaszcza gdy z orędziem wystąpił Putin, okazało się, że do Prigożyna nikt się już nie przyznaje.

## Strach

Choć rebelia się nie udała, można śmiało powiedzieć, że sobotni poranek 24 czerwca mocno wstrząsnął systemem Putina. Nie chodzi o to, że buntownicy łatwo zajęli Rostów, a mieszkańcy, zamiast rzucać w nich kamieniami, robili sobie sympatyczne selfie. Ani o zbrojne kolumny, które pomknęły na północ.

Wstrząs następował gdzie indziej – na lotniskach Moskwy i Petersburga. Gdy elita finansowa, kulturalna i polityczna Rosji za ciężkie pieniądze wykupywała bilety za granicę. Uciekała masowo zwykłymi rejsami i prywatnymi samolotami, by ocalić życie i majątek. To była wielka demonstracja braku wiary w to, że Putin – formalnie dowodzący ponadmilionową armią – jest w stanie odeprzeć najazd kilku tysięcy zdesperowanych kondotierów.

W sobotę o godz. 10, gdy prezydent wygłosił orędzie do narodu, ruch na lotniskach wcale się nie zmniejszył. Zwiększył się

za to ten w internecie. Gubernatorzy, deputowani, liderzy frakcji parlamentarnych, propagandyści wrzucali do sieci społecznościowych nagrania z poparciem dla Putina. Nacjonalistyczna telewizja Tsargrad Konstantina Małofiejewa zamieściła nawet kalendarium, kto o której wystąpił z poparciem władzy. A także listę tych, którzy tego nie zrobili. Zaś Aleksandr Dugin, konserwatywny ideolog i zwolennik wojny z Ukrainą, mówił w kanale Rassija 24, że elita zdradziła: „Zamiast ratować kraj z opresji, woleli kupować bilety”.

Jeśli elita nie wierzy w system, to wysoce prawdopodobne, że zaczyna się jego zmierzch. Tyle że erozja może trwać latami. Szybko zniszczyć Putina jest w stanie tylko porażka na froncie – tego Rosjanie mu nie wybaczą. Z innymi zagrożeniami może sobie poradzić.



„Ojczyzna, której bronimy” – billboard w Petersburgu.

Konstantin Eggert, niezależny rosyjski dziennikarz i komentator polityczny, podkreśla, że Putin w obecnej sytuacji musi jeszcze bardziej dokręcić śrubę społeczeństwu i elicie: – *Żeby pokazać, że on tu rządzi*. Tym bardziej że przed nim jeszcze jedno wyzwanie: wybory w 2024 r. Z ich wygranym – ucziwie lub z oszustwem – nie będzie problemu. Jednak Putin musi być czymś kandydatem, ktoś go musi wystawić. A to oznacza, że przez chwilę wobec elit będzie występował jako petent.

Bunt Prigożyna nie zdemolował putinizmu. W krótkiej perspektywie być może nawet go umocnił. Służby będą szukały ukrytych stronników puczystów. Wystraszeni politycy i generałowie będą na wyścigi demonstrowali lojalność. Może Prigożyn ocalił nawet na jakiś czas posady Siergieja Szojgu i gen. Gierasimowa? Obaj nie mają żadnych sukcesów ani charyzmy. Ale ich zwolnienie teraz byłoby odebrane jako przejaw słabości władzy.

## Przyszłość

A Grupa Wagnera? Część zapewne wejdzie w skład armii, być może nawet pod swoim logo. W sumie, w odróżnieniu od armii, była niezłą marką. – *Płacili na czas. „Pierwszy”* [Prigożyn – przyp. red.] *zawsze miał łączność z dowódcami. Znał nazwiska rannych. Finansował leczenie* – mówi Marat Gabidullin, były wagnerowski najemnik w Syrii i w Ukrainie.

Część wagnerowców może trafić na Białoruś. – *Łukaszenka w jednej ze swoich rezydencji rozmawiał z Prigożynem pięć godzin* – mówi Paweł Łatuszka, białoruski opozycjonista. Jego zdaniem nawet 6–8 tys. wagnerowców może zostać ulokowanych na Białorusi. Będzie to duże zagrożenie dla Ukrainy, z białoruskiej granicy do Kijowa jest ledwie 150 km.

Eksport najemników na Białoruś nie poprawia też bezpieczeństwa Polski i państw nadbałtyckich. Zdaje się, że kłopot będzie miała sama Białoruś. Łukaszenka wprawdzie cieszy się, że wagnerowcy będą szkolili jego żołnierzy, dzielili się doświadczeniem i wiedzą o broni. Białoruski dyktator przekonywał nawet własnego ministra obrony, że najemników „nie ma co się bać”, i wydzielił stare koszary na ich bazę.

– *Do ochrony tego miejsca mają być oddelegowane białoruskie oddziały specjalne* – mówi Łatuszka. Według niego to jasne, że nie będą chronili wagnerowców, ale ludność mieszkającą po sąsiedzku przed wagnerowcami.

PAWEŁ RESZKA

Nablus, Palestyńczyk protestujący przeciwko izraelskim osadnikom.



## Frustracja i broń

Młodzi Palestyńczycy są gotowi ruszyć do walki już nie tylko przeciw izraelskiemu okupantowi, ale i przeciwko palestyńskim władzom. Nadchodzi trzecia intifada?

AGNIESZKA ZAGNER **Z RAMALLAH**

**N**ablus, Dżenin, Jerycho. Ostatnio niemal codziennie giną tam Palestyńczycy. Głównie z rąk izraelskich osadników, których działania zaczynają przypominać porachunki gangów. Z kolei agresja osadników jest często reakcją na palestyńskie ataki na ich osiedla. W lutym Palestyńczyk zastrzelił dwóch braci z Har Bracha, niedawno czterech osadników zginęło na stacji benzynowej na osiedlu Eli.

W odwecie osadnicy urządzili – jak określił to jeden z izraelskich generałów

– „pogrom” Palestyńczyków w Huwazze; a kilka dni temu do położonych nieopodal Ramallah miasteczek weszło kilkuset uzbrojonych po zęby i zamaskowanych osadników – podpalali palestyńskie domy, samochody, niszczyli drzewa. Izraelskie siły porządkowe pojawiły się tylko po to, by ochraniać agresorów.

Spokojniej już było, a eksperci są przekonani, że w sprawie palestyńskiej zbliża się podwójne przesilenie. Zarówno między samymi Palestyńczykami, jak

i w stosunkach z Izraelem. – *Politycy są jak pieluchy: pełni gówna. Dlatego trzeba ich co chwila wymieniać. A u nas nie zdarzyło się to od dawna* – mówi o palestyńskich władzach Munir Kleibo, były przedstawiciel Międzynarodowej Organizacji Pracy. Jednocześnie izraelska skrajna prawica, która jest częścią rządu Beniamina Netanjahu, przeformowała właśnie plan budowy kolejnych ponad 5 tys. mieszkań w osiedlach, które w świetle prawa międzynarodowego i porozumień z Oslo są nielegalne. ►

► Porozumienia z Oslo, zawarte w 1993 r. między Izraelem i Organizacją Wyzwolenia Palestyny, dały podwaliny pod palestyńskie samostanowienie. Ale podpisujący je Jaser Arafat zapewne nie przypuszczał, że 40 lat później Palestyńczycy nadal nie będą mieli swojego państwa. Na mocy Oslo powstała natomiast permanentnie tymczasowa i zależna od Izraela Autonomia Palestyńska, a jej terytorium podzielono na trzy strefy – A (miasta na Zachodnim Brzegu i cała Gaza pod kontrolą władz palestyńskich), B (miasteczka i wsie z palestyńską kontrolą cywilną i izraelską w zakresie bezpieczeństwa) i C (pod całkowitą kontrolą Izraela).

### Władza bez władzy

Dzisiejszy spór dotyczy strefy C – zajmuje ona 62 proc. terytorium całego Zachodniego Brzegu, z osiedlami i najcenniejszymi pod względem zasobów naturalnych – głównie wody – terenami. To de facto państwo w państwie – z izraelskim systemem prawnym wymuszającym całkowite posłuszeństwo ze strony mieszkających tu ok. 300 tys. Palestyńczyków, którzy bez zgody izraelskich władz cywilnych nie mogą zbudować ani domu, ani szkoły, ani meczetu.

Izraelska skrajna prawica, która w ramach rządu odpowiada za sprawy bezpieczeństwa na Zachodnim Brzegu, konsekwentnie realizuje plan aneksji, zaprezentowany zupełnie oficjalnie już sześć lat temu. Jego realizacja wykluczy powstanie jakiegokolwiek państwa palestyńskiego w przyszłości. I pozostawi Palestyńczykom w zasadzie trzy opcje: emigrację, podporządkowanie się Izraelowi lub walkę i śmierć.

Palestyna jako państwo istnieje dziś w zasadzie tylko na papierze. A jej „rząd” wydaje się coraz bardziej oderwany od rzeczywistości. – *To władza bez władzy. Dowodem na to są niemal codzienne rajdy izraelskiej armii szturmującej palestyńskie miasta – mówi Mustafa Barghouti, znany niezależny polityk palestyński. Ale nawet pozbawiona władzy, jego zdaniem nadal ponosi odpowiedzialność. – „Władze” Autonomii całkowicie kontrolują wymiar sprawiedliwości, rozwiązały parlament, nie dopuściły do wyborów w 2021 r. To mała grupa ludzi, która nie słucha obywateli, a swoje słabości ukrywa pod hasłem „koordynacji bezpieczeństwa z Izraelem”. Jak możesz cokolwiek koordynować z okupantem?*

Tę schizofrenię widzą zwykli Palestyńczycy. Mimo że coraz więcej z nich na Zachodnim Brzegu zdobywa wykształcenie, to nawet z dyplomem w kieszeni połowa nie może znaleźć pracy. Problem ten

dotyczy zwłaszcza młodych absolwentek, z których tylko co trzecia znajduje zatrudnienie. Rośnie za to szara strefa – już co drugi młody pracujący Palestyńczyk na Zachodnim Brzegu zarabia w ten sposób. Bez prawa do urlopu, zasiłków czy emerytury, często za śmiesznie niskie wynagrodzenie.

Do tego dochodzi systemowa korupcja – prezydent Autonomii Palestyńskiej, 87-letni i schorowany Mahmud Abbas, rządzi w praktyce jednoosobowo: za pomocą dekretów, mianując wszystkich najwyższych urzędników. Z kolei ci – w swoistej reakcji łańcuchowej – wszelkie publiczne zakupy kontraktują u zaprzyjaźnionych lub spokrewnionych z nimi dostawców. Sektor publiczny zatrudnia 30 proc. pracowników, co siłą rzeczy tworzy sieć klientów obecnego systemu. Zbyt wielu na nim korzysta, żeby można go pokojowo zdemontować.

– *Dlatego kiedy Abbas umrze, możemy się spodziewać wielkich zamieszek i rozlewu krwi. To będzie drugi Liban – przekonuje Munir Kleibo. Już dziś widać tego zapowiedzi. Od końca 2021 r. rząd obciął pensje w sektorze publicznym o 20 proc., co wywołało strajki nauczycieli, lekarzy, inżynierów, dziennikarzy. Władze zrzuciły winę na Izrael, który o 50 mln szekli miesięcznie (14,5 mln dol.) obciął sumę przekazywaną Palestynie z podatków – to była kara za pomoc, jaką rząd Autonomii przekazuje rodzinom palestyńskich więźniów i poległych zamachowców.*

### Oslabione Lwy

Frustrację młodych najbardziej widać w Nablusie i Dżeninie, kolebkach palestyńskiego oporu zbrojnego. To pierwsze miasto jest siedzibą tzw. Legowiska Lwa, niewielkiej grupy uzbrojonych po zęby dwudziestolatków, o których głośno stało się latem zeszłego roku, kiedy przeprowadzili kilka zamachów na izraelskich żołnierzy i osadników. Grupa szybko stała się problemem i dla Izraela, i dla władz Autonomii, ponieważ walcząc zbrojnie z okupacją, jednocześnie głośno krytykowała palestyński rząd w Ramallah.

Dziś ta grupa jest słabsza, przetrzebiona aresztowaniami. Ale nie odpowiedziała na wezwania do złożenia broni, a starówka w Nablusie oklejana jest setkami zdjęć poległych członków Legowiska Lwa z logo organizacji – odwróconym czarnym półksiężycem, kopułą na skale i dwoma skrzyżowanymi czarnymi karabinami. – *To nasi męczennicy – mówią 8-, 9-latkowie bawiący się plastikowymi karabinami.*

– *Ludzi, którzy nie mają wiele do stracenia, łatwo rekrutować, piorąc im mózgi*

– tłumaczy Kleibo. – *Skoro izraelska armia burzy ich domy i zabija krewnych, a władze Autonomii o nich nie dbają, łatwo namówić ich do krwawej zemsty.* Do tego dochodzi kompletny brak zaufania do władz, zwłaszcza po tym jak dwa lata temu palestyńskie siły bezpieczeństwa w Hebronie na śmierć pobiły Nizara Banata, jednego z krytyków rządu Autonomii. Wywołało to masowe protesty, ich uczestników aresztowano i upychano w zatłoczonych celach. Był to szczyt pandemii.

Palestyńskie władze nie tolerują nieposłuszeństwa swoich obywateli i regularnie siłą wymuszają porządek. W efekcie w obozach dla uchodźców w Dżeninie, na ulicach Nablusu czy Jerycha, pączkują grupy zbrojne atakujące Izraelczyków, uznając, że w obliczu słabości władz Autonomii muszą wziąć sprawę w swoje ręce. A to coraz częściej oznacza rozlew krwi. W zeszłym roku izraelska armia zabiła co najmniej 230 osób na Zachodnim Brzegu, po stronie izraelskiej było 29. Tylko w tym roku zginęło już 150 Palestyńczyków i 24 Izraelczyków.

Podobnie jest w obozie w Dżeninie. Już przy bramie widać, kto tu rządzi. W oczy rzucają się m.in. logo Palestyńskiego Islamskiego Dżihadu, uznanego przez Zachód za organizację terrorystyczną. To w tym obozie rok temu prawdopodobnie od izraelskiej kuli zginęła palestyńska dziennikarka Al-Dżaziri, Szirin Abu-Akleh. W miejscu zbrodni jest wielki transparent z jej podobizną.

W obozie niemal codziennie dochodzi do interwencji izraelskiej armii i ulicznych strzelanin. Ostatnio, gdy izraelski wóz bojowy najechał na bombę i doszło do wymiany ognia, po raz pierwszy od drugiej intifady użyto śmigłowców szturmowych.

### Wygodny jak Abbas

Młodzi Palestyńczycy na Zachodnim Brzegu są nie tylko sfrustrowani, ale i po zęby uzbrojeni. Broń płynie różnymi kanałami, również z... izraelskich baz wojskowych. Pod koniec zeszłego roku tylko z jednej jednostki na Wzgórzach Golan skradziono 70 tys. naboju do karabinów i 72 pociski do granatników. Znika niemal wszystko: karabiny maszynowe, pociski raketowe, a nawet wojskowe dzipy. Za część kradzieży odpowiadają arabskie gangi działające w Izraelu, ale to również sprawka samych żołnierzy, dla których to dodatkowe źródło dochodu.

Z Izraela na Zachodni Brzeg broń podróżuje niezwykle łatwo – w tę stronę kontrole są wyrwykowe. Kilka tygodni temu izraelscy pogranicznicy na przejściu



Palestyńczycy niosą ciało jednego z kilkorga zabitych w izraelskim nalocie na obóz uchodźców w Dżeninie na Zachodnim Brzegu.

z Jordanią aresztowali parlamentarzystę z Ammanu Imada al-Adwana. W jego bagażniku miało być 12 karabinów i 194 pistolety. Śledztwo wykazało, że al-Adwan to recydywista – zarzucono mu 12 podobnych transportów na Zachodni Brzeg.

Broń w tym konflikcie jest kluczowa, bo wygra ta siła, której uda się zgromadzić więcej uzbrojonych ludzi. Ostatnie wybory w 2006 r. wygrał Hamas, najważniejsza islamistyczna organizacja Palestyńczyków, ale nie był w stanie dogadać się z Fatahem, zrzeszającym świeckich nacjonalistów palestyńskich. A to doprowadziło do kolejnego kryzysu politycznego. Abbas, którego władzy Hamas przez lata nie uznawał, dziś odgrywa rolę dekoracyjną i stał się bohaterem memów przedstawiających go jako przysypiającego dziadka, który ze względu na chorobę już praktycznie nie mówi.

Dla wielu jest jednak wygodny. Z braku lepszej alternatywy świat wciąż uznaje jego władzę. Co więcej, z podobnych powodów uznaje ją również Izrael. W odróżnieniu od Arafata, który przez lata głosił, że tylko walka zbrojna ma sens, Abbas jest pragmatykiem – uważa, że silniejszemu (Izraelowi) po prostu trzeba ustąpić.

Taki układ działał przez długie lata, ale i on zaczyna szwankować. Palestyńczycy chcą zmian – wybory miały się odbyć dwa lata temu, ale Abbas odwołał je, tłumacząc, że nie jest w stanie zorganizować głosowania we Wschodniej Jerozolimie. W rzeczywistości nikt ich nie chciał – ani władze Autonomii, które obawiały się sromotnej porażki, ani władze Izraela, dla których zachowanie status quo na razie wydaje się najkorzystniejszą opcją.

W ciągu 17 lat od ostatnich wyborów wyrosło jednak całe pokolenie, które zostało pozbawione głosu. – *Jeszcze nie głosowałem, ale gdyby w końcu do wyborów doszło, nie zagłosuję na Hamas, bo oni dążą wyłącznie do wojny. Ani na Fatah, bo to banda skorumpowanych gości* – mówi Mohammed, 31-latek z Ramallah, na co dzień pracujący w Dżeninie. Takich jak on jest więcej. Według najnowszych sondaży rozczarowanie rządami Abbasa sięga 80 proc. Abbas jednak sam nie abdykuje – wszyscy szykują się więc na dzień po jego śmierci.

Wówczas walka rozegra się zapewne między różnymi frakcjami Fatahu. Ale ambicje ma też Hamas. – *Ostatnio Hamas wstrzymał ataki rakietyowe oraz inne operacje wojskowe i próbuje grać zwłoką partię polityczną. To też przegrzywka przed walką o władzę po śmierci Abbasa* – mówi osoba znająca palestyńską scenę polityczną.

Wynik ewentualnych wyborów nie jest oczywisty. Według sondaży, gdyby głosowanie odbyło się dzisiaj, Abbasa poparłoby tylko 33 proc. głosujących. Drugi jest związany z Fatahem Marwan Barghouti, z poparciem na poziomie 27 proc. 41 proc. wyborców nie widzi kandydata, na którego mogłoby głosować. Z kolei wybory parlamentarne wygrałby zapewne Hamas (34 proc.), przed Fatahem (31 proc.).

Dzisiaj wśród najbardziej prawdopodobnych następców Abbasa wymienia się Dżibrila Radżuba. To szef palestyńskiego związku piłki nożnej, komitetu olimpijskiego, ważna osoba w Fatahu. Dodatkowo to nie tylko zausznik Abbasa – ma też brata w Hamasię, może byłby więc

w stanie dogadać się z opozycją. Byłby też zapewne do przełknięcia przez Izrael, bo gwarantuje kontynuację linii Abbasa (i płynnie mówi po hebrajsku).

### Niebezpieczna mieszanka

Palestyńczycy są już bardzo zmęczeni konfliktem na linii Fatah–Hamas, wielu chętnie zobaczyłoby nowe twarze. Ale tych nie widać. Szanse miałyby pewnie nasz rozmówca Mustafa Barghouti, jeden z negocjatorów pokojowych z Madrytu i kandydatów do Pokojowej Nagrody Nobla, zagorzały krytyk obecnych władz. W ostatnich wyborach prezydenckich z 20-procentowym poparciem zajął drugie miejsce.

Barghouti, zamiast zbrojnego powstania Palestyńczyków, proponuje tzw. intifadę bez przemocy. Trochę na wzór pierwszej, nazywanej intifadą kamieni, która jego zdaniem jest skuteczniejsza niż zbrojny opór. Dla wielu młodych Palestyńczyków w Nablusie, Dżeninie czy Hebronie taka reakcja na izraelskie agresje to już za mało. Tak jak kolejne demonstracje czy bojkot izraelskich produktów.

Zresztą trendy polityczne w samym Izraelu wskazują, że prawica – zarówno nacjonalistyczna, jak i religijna – będzie podwalała wszystkich kolejnych koalicji rządowych. A to jest gwarancja, że żaden wyobraźalny dzisiaj rząd Izraela nie zaakceptuje powstania jakiegokolwiek państwa palestyńskiego.

Palestyńczycy jednak nie znikną. Wkrótce zostanie im już jednak tylko frustracja i broń, czyli bardzo niebezpieczna mieszanka.

AGNIESZKA ZAGNER

Cała rozmowa z Mustafą Barghoutim na polityka.pl

# Fale oburzenia

Wydawało się, że nie ma już nic, co łączy amerykańskich Demokratów i Republikanów. A oto politycy obu partii zjednoczyli się, żeby ratować stare, trzeszczące radia w samochodzie.

MARIUSZ ZAWADZKI

**Z**amach na radio zorganizowały po cichu wielkie koncerny samochodowe. Ford, Tesla, BMW, Volkswagen, Mazda i Volvo już nie montują radioodbiorników z pasmem AM (fale średnie) w modelach elektrycznych. Powód? Ich silniki wywołują szумы i zakłócenia na tych częstotliwościach.

Teoretycznie można temu zaradzić, gdyby dokładniej izolować elementy instalacji, ale jest to kłopotliwe i kosztowne. A też niewarte zachodu, bo przecież nowoczesne auta są standardowo wyposażone w radia internetowe, tradycyjne pasmo FM (czyli fale ultrakrótkie – lepsza jakość niż AM, ale dużo mniejszy zasięg) czy wreszcie muzyczne serwisy streamingowe, jak Spotify. Kto w dzisiejszych czasach potrzebuje fal średnich, na jakich nadawano sto lat temu, w pionierskich latach radia?

## Pogadanki ze słuchaczami

Wiosną br. Ford ogłosił, że rezygnuje z przestarzałej technologii nawet w autach benzynowych. Żeby uzasadnić decyzję, koncern informował, że fal średnich

śłucha niecałe 5 proc. użytkowników jego nowych aut sprzedawanych w Ameryce.

Szkopuł w tym, że statystyki Forda nieco zafalszowują rzeczywistość. Po pierwsze, nowych aut jeździ po amerykańskich drogach relatywnie niewiele. Średni wiek samochodu to 12,5 roku. Po drugie, stacji w paśmie AM jest w całym kraju ponad 4 tys. i docierają do 83 mln ludzi (dane ośrodka Nielsen). Ponad połowa z nich to kierowcy w drodze do/z pracy.

I po trzecie, radio i samochód to rzeczy, które wielu Amerykanom kojarzą się z wolnością lub nawet z buntem przeciwko skorumpowanemu systemowi, zakłamanemu itp. Dlatego zamach na radio to zamach na Amerykę i na amerykański model życia. „Samochód to wolność. Kiedy chcą przejąć kontrolę nad twoim samochodem, chcą przejąć kontrolę nad tobą” – ostrzega Mark Levin, autor konserwatywnego talk-show, którego każdego tygodnia słucha w radiu 7 mln ludzi.



Rush Limbaugh



Mark Levin

Bo na falach średnich nie słucha się już muzyki – od końca lat 60. w samochodach instalowane są odbiorniki z pasmem FM, które gwarantuje lepszą jakość i efekt stereo. W paśmie AM pozostały za to stacje, w których ludzie głównie mówią – informacyjne i talk-show. A tak się składa, że tę ostatnią formę radiową zdominowali w Ameryce konserwatyści, poczynając od legendarnego Rusha Limbaugh, który zmarł dwa lata temu, po kilku jego następców, do których zalicza się Levin.

Większość lokalnych stacji radiowych podpisuje z nimi umowy i codziennie nadają ich wielogodzinne pogadanki i rozmowy ze słuchaczami – najczęściej o tym, jak lewica próbuje zniszczyć Amerykę. Albo prześladowuje Donalda Trumpa. Albo – jak na początku czerwca – o Unii Europejskiej, która rzekomo nakazała Irlandii wymordować miliony krów, żeby zadowolić ekonazistów walczących z globalnym ociepleniem (krowy wydzielają dużo metanu).

Co ciekawe, skojarzenie wolności z samochodem i radiem w samochodzie nie jest patentem konserwatystów. Koncepcja pojawiła się dawno temu i to paradoksalnie na przeciwnym biegunie ideowym Ameryki. Wie o tym każdy, kto widział film Richarda C. Sarafiana „Znikający punkt” z 1971 r.

## Wolna dusza

Zdarzają się filmy, które – mimo miażdżących recenzji i słabych wyników przy kasie – z biegiem lat zdobywają żarliwych wyznawców. Aż wreszcie stają się kulturowym drogowskazem. „Znikający punkt” należy do tego właśnie gatunku.

Główny bohater, bezimienny Kowalski, kierowca w firmie transportowej z Denver, dostaje zlecenie, żeby przeprowadzić do San Francisco białego Dodge’a Challengera. I zakłada się ze swoim kierownikiem, że zrobi to w 15 godzin (czyli 5 godz. krócej, niż w 2023 r. przewiduje na tę podróż Google Maps). Kowalski, wspomagany amfetaminą, rusza w drogę przez malownicze pustynie i zakurzone miasteczka Kolorado, Nevady i Kalifornii, ścigany przez tabuny policjantów.

Radiowozy łączą się na częstotliwościach, które przypadkiem przechwytuje lokalna stacja radiowa w Nevadzie. Charzyrmatyczny, niewidomy czarnoskóry didżej Super Soul opowiada słuchaczom o pościgu: „I oto pędzi nasz challenger ścigany przez niebieskie mendy na kółkach. Dwa nazistowskie radiowozy są tuż za naszym samotnym amerykańskim bohaterem, gotowe do ataku! Chcą go zniszczyć, zmiążdżyć tę ostatnią piękną, wolną duszę na naszej planecie”.

Radiowych relacji z pościgu słucha coraz więcej ludzi; Kowalski staje się ludowym bohaterem. Super Soul na antenie radzi mu, jak ominąć kolejne policyjne blokady... Osaczonemu kierowcy pomagają również różne napotkane po drodze postaci, jakby żywcem wyjęte z almanachu kontrkultury z przełomu lat 60. i 70.: hipisi, sekta młodych chrześcijan. Piękna, zupełnie naga blondynka jeździ na motorze po pustyni niczym współczesna Lady Godiva, a kiedy spotyka Kowalskiego, natychmiast proponuje mu wolną miłość.

Im bliżej końca, tym bardziej czuje się fatum, które wisi nad bohaterami. Stację Super Soula demolują biali rasiści; on sam zostaje skatowany. Egzystencjalny rajd Kowalskiego kończy się na dwóch wielkich buldożerach roztawionych przez policję na szosie w Kalifornii. Bohater wjeżdża w nie uśmiechnięty i na maksymalnej prędkości; najwyraźniej świat, w którym nie ma wolności nawet w pustej szosie,

a radiowcy są brutalnie prześladowani, jest niewart, żeby w nim żyć.

Tym sposobem kontrkultura sprzed pół wieku spotyka się z dzisiejszą konserwatywną prawicą – jedni i drudzy buntują się przeciwko „skorumpowanej władzy” i „duchowemu zniewoleniu. Tak jak kiedyś hipisów dławili rygory obyczajowe, konsumpcjonizm i zakłamanie, tak dzisiaj konserwatyści muszą odpierać ideowe ataki liberalnych elit. W obu przypadkach orężem jest radio, a azylem – samochód.

W obronie pasma AM stanął Mike Pence, wiceprezydent za kadencji Trumpa, który właśnie ogłosił, że kandyduje na prezydenta. W latach 90., zanim trafił do ogólnokrajowej polityki, prowadził talk-show w lokalnej stacji w Indianie. Teraz jego apel nadawany jest w setkach stacji na falach średnich: „Radio jest miejscem spotkań dla nas, obywateli. Tutaj się zbieramy i z niego czerpiemy wiadomości! W nowych samochodach muszą pozostać odbiorniki pasm AM i FM, bo to warunek wolnego przepływu informacji w naszym kraju!”.

Notabene Pence ma rację, kiedy mówi, że radio – nawet w 2023 r., w erze smartfonów, mediów społecznościowych i internetu – pozostaje dla Amerykanów zaskakująco ważnym źródłem informacji. Z badań Nielsena wynika, że przynajmniej raz w tygodniu 93 proc. dorosłych obywateli USA słucha radia, 88 proc. ogląda telewizję, a 83 proc. sięga po smartfony (żeby czegoś słuchać lub oglądać).

W paśmie AM nadają nie tylko niewielkie stacje. Kilka rozgłośni, jak WBBM-AM z Chicago czy 1010WINS Nowego Jorku, ma wiele dekad tradycji, miliony słuchaczy i dochody roczne liczone w dziesiątkach milionów dolarów (łącznie na pasmo AM reklamodawcy wydają ponad 2 mld dol. rocznie, co stanowi 20 proc. radiowego rynku reklamowego).

## Zombie apokalipsa

W gorszej kondycji finansowej są niewielkie stacje AM, w których rozmawia się o lokalnych problemach, a nierzadko zdarza się, że np. burmistrz przychodzi do studia, żeby odpowiadać na pytania obywateli. Jeśli utracą część słuchaczy (tzn. kierowców), odejdą też reklamodawcy. W takiej sytuacji jest np. KCRS 550AM, stacja nadająca z miasteczka Midland w zachodnim Teksasie. Dlatego temat radioodbiorników w samochodach powraca tam ostatnio często. Nie tylko w kontekście zagrożenia dla wolności, ale również dla bezpieczeństwa.

Prezenter KCRS 550AM wyjaśniał słuchaczom: „Každy, kto ogląda filmy z gatunku zombie apokalipsa, doskonale wie, że kiedy wysiadają sieci komórkowe, gaśnie

prąd i znika internet, to pozostają nadajniki na falach średnich. Właśnie AM, a nie FM, które ma zasięg zaledwie kilkunastu kilometrów! Na falach średnich, które dają setki kilometrów zasięgu, władze mogą się komunikować z obywatelami w przypadku ataku zombie, wojny atomowej czy jakiegokolwiek innego kataklizmu. Dlatego tak ważne, żeby w każdym samochodzie było radio z pasmem AM, które włączysz nawet wtedy, kiedy w domu nie ma prądu”.

Debatę o radiach skrzętnie wykorzystali producenci towarów na czas apokalipsy. Na antenie KCRS reklamowały się firmy z tej branży. „Kiedy widzisz, jak nieudolny jest rząd Bidena, to musisz sam zadbać o swoje bezpieczeństwo. Kup nasz zestaw żywnościowy, który w razie kataklizmu pozwoli tobie i twoim najbliższym przetrwać wiele tygodni”. „Przygotuj się na najgorsze i kup nasze przenośne radyjko AM, które ma wmontowane ogniwa słoneczne oraz korbkę. Kilka minut kręcenia korbką lub kilka godzin ekspozycji na promienie słoneczne pozwala słuchać radia przez kilkadziesiąt minut!”.

Wątek bezpieczeństwa pojawiał się również w debacie w Waszyngtonie. „Od wielu dekad darmowe stacje w paśmie AM są kluczowym narzędziem w systemie narodowego bezpieczeństwa, ważną częścią naszego ekosystemu medialnego (...). Dlatego producenci aut nie mogą nam tego odbierać, czy to likwidując pasmo AM, czy ograniczając do niego dostęp płatnym abonamentem” – przekonywał senator Edward Markey, demokrat z Massachusetts, jeden z wielu liberałów, którzy ramie w ramie z konserwatystami walczą o zachowanie pasma AM w samochodach.

W maju Demokraci i Republikanie zgłosili w Kongresie wspólny (sic!) projekt ustawy pod roboczym tytułem „Pasma AM w każdym samochodzie”. Wprowadzi ona obowiązek montowania w nowych samochodach, również elektrycznych, radioodbiorników z pasmem AM. Ustawa byłaby o tyle uprawniona, że producenci aut dostają ogromne dotacje od rządu Bidena – w postaci ulg podatkowych dla osób kupujących „bezemisyjne” samochody. De facto wszyscy Amerykanie, którzy składają się na budżet federalny, dopłacają rodzimym producentom 7,5 tys. dol. do każdego auta elektrycznego. A skoro tak, to mają prawo domagać się pasma AM w „subsydiowanych” samochodach.

Projekt ustawy ma wielkie szanse stać się prawem, ale nie wiadomo, czy będzie ona potrzebna. Po wybuchu ogólnokrajowej awantury Ford ogłosił, że... jednak będzie montował radia AM we wszystkich nowych modelach elektrycznych i spalinowych. ■



# I sprawiedliwość dla wszystkich

Naukowcy próbowali ustalić, jakie są granice Ziemi, ile i jakich zmian może wytrzymać biofizyczny system planety, zanim zacznie się katastrofa.

Tak powstała globalna teoria sprawiedliwości.

EDWIN BENDYK

**P**onad 4 mln ha pierwotnych lasów tropikalnych zniknęło z powierzchni Ziemi w 2022 r., ponad połowa w Amazonii – poinformował World Resources Institute, światowa organizacja od ponad 40 lat monitorująca stan środowiska naturalnego. To tyle, co powierzchnia Szwajcarii. Nie jest ona wielkim krajem, więc i strata



Kobiety z plemienia Turkana przy lokalnej studni w wiosce Lorengo w Kenii.

także. W sumie czy rzeczywiście aż tak wielkie znaczenie ma, czy i kiedy przekroczony zostanie próg średniego globalnego ocieplenia o 1,5 st. C?

Zatrzymanie na tym poziomie zalecają naukowcy, przekonując, że wraz z każdym kolejnym ułamkiem stopnia rosnąć będzie ryzyko katastrofalnych konsekwencji. Ale pozostaje najtrudniejsze, bo polityczne pytanie: czy będziemy gotowi na obniżenie poziomu życia w krajach rozwiniętych i zahamowanie aspiracji krajów, które dopiero wkraczają na ścieżkę gospodarczego wzrostu?

### Amazonia: pierwsza kostka domina

Niestety, ekosystemy nie znają się na ekonomii i polityce, rozwijają się zgodnie z własną logiką. Ta złożoność ekosystemów jest warunkiem ich stabilności. Dzięki temu takie obszary jak lasy tropikalne Amazonii trwają, odtwarzając się nieustannie niczym jeden wielki organizm. Tyle że do czasu, kiedy niekorzystne bodźce – np. wycinka lasów powodująca zmniejszenie powierzchni ekosystemu połączona z rosnącą temperaturą atmosfery oraz zmieniającą się dynamiką opadów deszczu – spowodują skokową zmianę właściwości owego „organizmu”. Innymi słowy doprowadzą do przekroczenia *tipping point*, punktu przełomu, po którym stabilny do tego momentu system ulega gwałtownej zmianie, np. rozpadowi.

Naukowcy już wielokrotnie alarmowali, że Amazonia może się do takiego punktu zbliżyć. W marcu ubiegłego roku w piśmie „Nature Climate Change” ukazał się artykuł pokazujący, że lasy deszczowe Amazonii tracą odporność na obszarze 76 proc. pokrywy i od dekad maleje ich produktywność biologiczna. Autorzy zwrócili uwagę, że grozi utrata ich funkcji jako rezerwuaru wychwytyjącego dwutlenek węgla z atmosfery – kluczowego elementu stabilizującego klimat w wymiarze globalnym.

Członkowie Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatycznych ONZ uważają, że zagrożenie dotyczy horyzontu końca wieku. Pod koniec czerwca w „Nature” ukazał się jednak artykuł pokazujący, że do przekroczenia punktu przełomu może dojść wcześniej.

Badacze przeprowadzili symulacje komputerowe, uwzględniając np. długotrwałe i powtarzające się susze lub inne zjawiska pogodowe o szczególnej intensywności. I jak gorzko skomentował swoje badania jeden ze współautorów artykułu Simon Willcock z Rothamsted Research, możemy być ostatnimi pokoleniami, które oglądają Amazonię.

A jej ewentualne zniknięcie wywołałoby kaskadę przemian w funkcjonowaniu innych systemów, jak pokrywa lodowa Arktyki, cyrkulacja północnoatlantycka, lasy borealne, pokrywa lodowa Grenlandii, wieczna zmarzlina, pokrywa lodowa zachodniej Antarktyki i basen Wilkesa, rafa koralowa. Do przekroczenia punktu przełomu może dojść w każdym z tych ekosystemów – ostrzegali już we wrześniu 2022 r. autorzy artykułu w „Science”.

### Granice planetarne: 2/3 przekroczenia

Stawkę, o jaką toczy się gra, pierwszy raz z pełną mocą przedstawili w 2019 r. w „Science” wybitni badacze klimatu i ekosystemów Timothy M. Lenton i Johan Rockström oraz inni naukowcy. Ich analiza nosiła znamienity tytuł: „Klimatyczne punkty przełomowe – zbyt wielkie ryzyko, żeby je zlekceważyć”. W jej podsumowaniu napisali: „twierdzimy, że czas interwencji, który pozostał, aby zapobiec przekroczeniu punktu przełomu, mógł już skurczyć się do zera, podczas gdy czas ▶

wydawać się może ograniczona. Problem w tym, że ubytek w 2022 r. był o 10 proc. większy niż rok wcześniej, co oznacza, że zobowiązania przyjęte podczas Szczytu Klimatycznego ONZ w Glasgow w 2021 r. nie są respektowane. A miały one doprowadzić do zahamowania utraty lasów tropikalnych do 2030 r.

Cóż, planowane na międzynarodowych forach działania zapobiegające narastaniu kryzysu klimatycznego nagminnie pozostają jedynie deklaracjami. Emisje gazów cieplarnianych rosną, dynamika wzrostu temperatury atmosfery

► reakcji na osiągnięcie zerowej emisji netto wynosi w najlepszym przypadku 30 lat.

Czy planetarnego kryzysu można jeszcze uniknąć? Owszem, potrzebny jest jednak do tego punkt przełomu innego typu – radykalna zmiana społeczna, której skutkiem byłoby masowe poparcie dla celów polityki klimatycznej zgodnej z rekomendacjami naukowców. I nie chodzi jedynie o poparcie deklaratywne, tylko rzeczywistą zmianę sposobu działania gospodarki, jak i przemiany osobistych stylów życia. Jedną z najciekawszych syntez różnych propozycji z pola nauk o klimacie, nauk społecznych i ekonomii jest propozycja łącząca ideę sprawiedliwości w wymiarze globalnym z koncepcją biofizycznych granic planetarnych.

Tę drugą przedstawił w 2009 r. Johan Rockström, który kierował wówczas Stockholm Resilience Centre. Wraz z zespołem 28 uczonych postanowił – biorąc pod uwagę fakt, że ziemski ekosystem ma ograniczoną odporność na eksploatację – opisać bezpieczną ekologiczną przestrzeń dla funkcjonowania człowieka. Wyznacza ją dziewięć parametrów: stan klimatu, zakwaszenie oceanów, integralność biosfery, bilans fosforu i azotu – pierwiastków niezbędnych do odtwarzania życia, zawartość ozonu w atmosferze, zawartość aerozoli, wykorzystanie wody pitnej, poziom wykorzystania łądów oraz obecność w przyrodzie nowych organizmów.

Przekroczenie poziomu uznanego za bezpieczny w każdym z tych obszarów oznacza przekroczenie planetarnej granicy bezpieczeństwa, za którą rośnie ryzyko utraty kontroli nad rozwojem systemu i możliwość punktu przełomu oraz nieodwracalnych, katastrofalnych zmian. A zgodnie z najnowszymi ocenami z 2022 r. stało się tak już w przypadku sześciu. W miarę bezpieczne są jeszcze poziomy zakwaszenia oceanów i zawartości ozonu, a poziom aerozoli w skali globalnej uczeni dopiero ustalają.

### Strategia obwarzanka: potrzeba obudowy

Granice planetarne są twardymi, wynikającymi z praw natury ograniczeniami dla rozwoju. A człowiek niewiele sobie z ograniczeń robi i beztrąsko hasa po drugiej stronie wielu z nich. Mimo że ta świadomość powinna wystarczyć, by granice biofizyczne uwzględnić w zarządzaniu politycznym i określić granice dla rozwoju gospodarki. Takie próby są podejmowane w ramach globalnych negocjacji klimatycznych prowadzonych pod auspicjami ONZ. To z nich wynikają rekomendacje ograniczenia emisji gazów cieplarnianych i osiągnięcie neutralności klimatycznej do 2050 r.

Konkretnym ich wyrazem jest Europejski Zielony Ład przekładający wytyczne globalne na strategię związku państw tworzących UE. To wszystko jednak nie wystarcza, bo cele transformacji gospodarczej muszą być sprzężone z rozwojem społecznym. Nowa „zielona” gospodarka musi zapewnić, że zostaną zaspokojone co najmniej podstawowe potrzeby wszystkich ludzi na świecie. Oznacza to, że trzeba ją mocno oprzeć na zasadzie globalnej sprawiedliwości społecznej uwzględniającej dwa podstawowe ograniczenia: zewnętrzne – biofizyczne, wynikające z istnienia granic planetarnych, i wewnętrzne – społeczne, wynikające z potrzeb ludzkich.

Próbę ich połączenia w system ekonomiczny zaproponowała brytyjska ekonomistka Kate Raworth, twórczyni „ekonomii obwarzanka” (jej propozycja została opisana w książce pod takim tytułem wydanej w Polsce przez Krytykę Polityczną w 2021 r. W 2023 r. ukazała się „Ekonomia obwarzanka po polsku” umieszczająca pomysły Raworth w naszym kontekście). Brytyjka stwierdza, że właśnie między

granicy zewnętrzną i wewnętrzną powstaje „obwarzanek życia”, przestrzeń bezpiecznego funkcjonowania wszystkich ludzi na Ziemi. Bezpiecznego, o ile nie zużyjemy nadmiaru zasobów środowiskowych, doprowadzając do katastrofy. Lub jeśli nie doprowadzimy do zbyt wielkich nierówności powodujących, że część ludzi wypadnie poza granice bezpieczeństwa egzystencjalnego.

Ekonomia obwarzanka stała się bestsellerem, próby wdrażania jej zaleceń podjął się m.in. Amsterdam, przygotowując nową strategię rozwoju. W rzeczywistości jednak pozostała chwytną metaforą czekającą na wzmocnienie solidniejszą obudową.

### Granice systemu ziemskiego: nowa nadzieja

Zarys takiej propozycji ukazał się w maju w „Nature”. Jej autorzy (wśród nich Johan Rockström) nawiązują bezpośrednio do stwierdzeń Raworth i do koncepcji granic planetarnych. Proponują jednak rewolucyjną zmianę w spojrzeniu, łącząc kategorię bezpieczeństwa biofizycznego z kategorią sprawiedliwości.

Wydawać by się mogło, że są to kategorie całkowicie niewspółmierne. Ale to właśnie destrukcja środowiska jest dziś w coraz większym stopniu źródłem cierpień ludzi i nowych form niesprawiedliwości, polegających na braku dostępu do fundamentalnych zasobów, jak woda i żywność, energia i podstawowa infrastruktura. Wzrost średniej temperatury atmosfery o 0,1 st. C to nie abstrakcyjna średnia, tylko konkret dla dziesiątków milionów ludzi w Afryce i Azji, którzy cierpieć będą temperatury przekraczające bezpieczny dla życia poziom. I dla mieszkańców wyspiarskiego Tuwalu, których ojczyznę i miejsce do życia zabiera podnoszący się ocean.

Okazuje się, że uwzględnienie kategorii globalnej sprawiedliwości przesuwając granicę klimatyczną z w miarę bezpiecznego zdaniem naukowców prognozy wzrostu średniej temperatury o 1,5 st. C do poziomu 1 st. C. Niestety, próg ten został już przekroczony.

Twórcy idei granic systemu ziemskiego – podobnie jak Kate Raworth – wyznaczają wewnętrzną granicę minimum egzystencjalnego, jakie musi być zapewnione każdemu mieszkańcowi Ziemi. Przestrzeń między tymi dwiema barierami tworzy bezpieczny i sprawiedliwy korytarz dla ludzkiej społeczności i przyrody.

Koncepcja jest niezwykle wyrafinowana, posługuje się wieloma kategoriami sprawiedliwości. Jej autorzy mówią więc o tej międzygeneracyjnej, zgodnie z którą korzystanie z zasobów środowiska dziś nie może ograniczać możliwości życia przyszłym pokoleniom. I mówią o tej wewnątrzgeneracyjnej zakładającej, że życie pewnych społeczności kosztem innych (np. nadmierna konsumpcja mieszkańców krajów globalnej Północy, za którą mieszkańcy globalnego Południa płacą, doznając niezawinionych przez siebie konsekwencji zmian klimatycznych) jest wyrazem niedopuszczalnej nierówności. Uwzględniają także sprawiedliwość międzygatunkową, uznając, że system Ziemi to całość, której człowiek jest integralną częścią, a nie wyodrębnionych szczególnym bytem.

Mimo swej złożoności pomysł granic systemu ziemskiego i leżącej u jego podstaw „ziemskiej sprawiedliwości” jest bardzo konkretny. Jest także wyrazem niezwykłego przełomu. Przedstawiciele nauk przyrodniczych mówiący językiem faktów naukowych uznali, że same fakty nie zmieniają rzeczywistości społecznej i potrzebują przekładu na język wartości, etyki – i oczywiście polityki.

EDWIN BENDYK

# Z MYŚLĄ O PACJENTACH

PONAD 955 TYS. ZŁ PRZEZNACZY NAUKOWA FUNDACJA POLPHARMY NA REALIZACJĘ DWÓCH PROJEKTÓW BADAWCZYCH WYŁONIONYCH W XXI EDYCJI KONKURSU, KTÓREGO TEMATEM BYŁA „CYFRYZACJA DLA POPRAWY WYNIKÓW LECZENIA”.

Od 22 lat działalności Naukowa Fundacja Polpharmy stawia na nowe technologie i bliższą współpracę pacjentów, lekarzy i przemysłu. Na realizację projektów naukowych i badawczych przeznaczyła do tej pory prawie 30 mln zł, wspierając różne ośrodki badawcze w kraju, którym dodatkowe fundusze pozwoliły na kontynuację i realizację ich badań.

– *Nasza Fundacja ma ambicję, żeby w niedalekiej przyszłości stać się inkubatorem innowacyjności* – mówił Jerzy Starak, pomysłodawca i fundator Fundacji, przewodniczący rady nadzorczej Polpharma SA, podczas uroczystej Gali wręczenia grantów, która odbyła się w Warszawie 29 czerwca br.

Wybór tematu zakończonej XXI edycji konkursu nie był przypadkowy. Jego celem było doskonalenie współpracy lekarza z pacjentem w profilaktyce, leczeniu i rehabilitacji poprzez zastosowanie metod i narzędzi informatycznych. Bez cyfryzacji trudno będzie sobie poradzić. To zagadnienie, które łączy problem niestosowania się pacjentów do zaleceń lekarzy z nowoczesnymi technologiami pozwalającymi na lepszą interakcję na linii pacjent–lekarz–rodzina pacjenta. Dzięki nowoczesnym rozwiązaniom pacjenci mogą otrzymywać bardziej spójną opiekę, a lekarze mogą łatwo dzielić się informacjami i współpracować nad poszczególnymi przypadkami. Poza tym elektroniczne



Od lewej: Jerzy Starak, przewodniczący Rady Nadzorczej Polpharma SA, uhonorował dr. Bogusza Aksaka-Wąsa (z prawej) oraz dr. Pawła Uruskiego, w imieniu którego nagrodę odebrał dr Dawid Lipski, reprezentujący 15-osobowy zespół grantowy.

zapisy pacjentów i cyfrowe obrazy medyczne zwiększają precyzję w diagnostyce i leczeniu, minimalizując ryzyko popełniania błędów.

## WYBÓR NAJLEPSZYCH PROJEKTÓW

– *Na konkurs wpłynęło 180 wniosków. Rada Naukowa – o czym mówiła prof. Janina Stępińska, przewodnicząca Rady – na podstawie recenzji i oceny własnej obejmującej dotychczasowy dorobek autora, oryginalność oraz innowacyjność projektu, ustaliła listę rankingową i przedstawiła ją zarządowi Fundacji, który zdecydował o przyznaniu dwóch grantów.*

Otrzymali je: dr n. med. Bogusz Aksak-Wąs z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie oraz dr n. med. Paweł Uruski z Uniwersytetu Medycznego im. Karola

Marcinkowskiego w Poznaniu, w którego imieniu statuetkę i wyróżnienie odbierał dr Dawid Lipski, członek zespołu naukowego.

– *Oba zwycięskie granty będą ułatwiać leczenie, ale też poprawią komfort pacjentów w dwóch niezwykle istotnych obszarach terapeutycznych: nadciśnienia tętniczego i AIDS* – mówiła podczas uroczystości Agata Łapińska-Kołodzińska, prezeska Naukowej Fundacji Polpharmy. – *Szukaliśmy takich projektów, które wykorzystywałyby nowoczesne technologie dla dobra pacjentów. I dzisiaj nagradzamy te, które koncentrują się na cyfryzacji w leczeniu, kluczowym elementem ewolucji medycyny. Cyfryzacja zwiększa efektywność, poprawia koordynację między specjalistami oraz umożliwia personalizację terapii. Wpływa też na poprawę zarówno edukacji medycznej, jak i dostępu*

do opieki, szczególnie dzięki rozwojowi telemedycyny, co jest ważne dla pacjentów z małych miejscowości – dodała Łapińska-Kołodzińska.

## WSPARCIE DLA ZDOLNYCH

Uroczystość była także okazją do zaprezentowania nowego projektu Fundacji dla młodych, zdolnych i obiecujących studentów uczelni medycznych. Jest nim Med School of Your Future – Inwestuj w siebie. Będzie to elitarna, letnia szkoła Naukowej Fundacji Polpharmy, która ma nie tylko merytorycznie, ale i praktycznie pomóc najzdolniejszym studentom z kół naukowych. Pierwsze zajęcia i wykłady odbędą się już we wrześniu tego roku.

Zaproszeni na Galę goście wysłuchali wykładu dr hab. n. med. Joanny Petryki-Mazurkiewicz na temat nowoczesnej diagnostyki w chorobach serca u dorosłych i dzieci: „Rezonans magnetyczny serca – innowacja i wyzwanie w kardiologii”. Choć to bardzo precyzyjna i potrzebna forma diagnostyki, to niestety nadal wykorzystywana jest tylko w kilku dużych ośrodkach medycznych.

Pasjonujące było też wystąpienie prof. Macieja Banacha z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi oraz Johns Hopkins University School of Medicine, Baltimore, na temat: „Roli rejestrów w rozwoju współczesnej medycyny”. Nawiązywało do tematu kolejnej XXII edycji konkursu, czyli projektów badawczych związanych z „wykorzystaniem baz danych do poprawy profilaktyki, diagnostyki i terapii”. W ocenie prof. Banacha takie zbiory, aby spełniały swoją rolę, muszą być dobrze ustrukturyzowane i dobrze nadzorowane. Bez tego rozwój współczesnej medycyny nie będzie skuteczny.

OPR. ZOFIA LEŚNIEWSKA

## Laureaci XXI edycji konkursu Naukowej Fundacji Polpharmy

1. Dr n. med. **Bogusz Aksak-Wąs** z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, nagrodzony za projekt: „Aplikacja do opieki nad pacjentami zakażonymi HIV”. Wysokość grantu to **235 872 zł**.

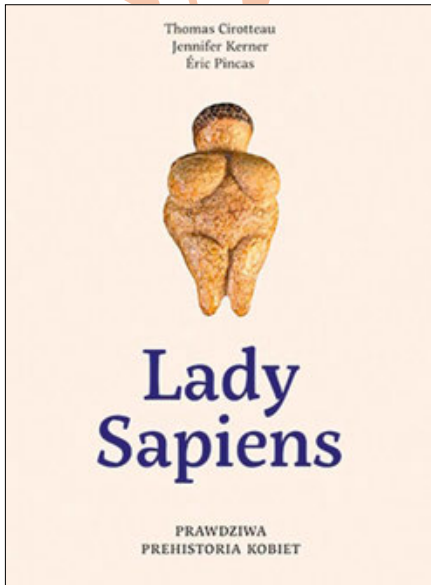
2. Dr n. med. **Paweł Uruski** z Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, nagrodzony za temat: „System opieki telemedycznej w zakresie leczenia nadciśnienia tętniczego z zastosowaniem algorytmów rekomendacyjnych wspierających decyzje diagnostyczne i terapeutyczne”. Wysokość grantu: **719 340 zł**.

Materiał powstał w współpracy komercyjnej z Naukową Fundacją Polpharmy



# Natura na wakacje

Wiedza naukowa tylko zwiększa podekscytowanie, wrażenie tajemniczości i podziw dla przyrody, mawiał genialny fizyk Richard Feynman. Autorzy POLITYKI i portalu pulsar polecają książki i aplikacje, które z pewnością pogłębią to odczucie.



**Thomas Crotteau, Jennifer Kerner, Eric Pincas „Lady Sapiens”,** przekład Aleksandra Weksej, Znak Koncept, Kraków 2023

Dopóki badaniami przeszłości zajmowali się sami mężczyźni, tworzona przez nich wizja pradziejów była zmaskulinizowana i nudna. Dziś wiemy, że już w paleolicie matki, żony i córki wcale nie były jedynie tłem dla działań mężczyzn, tylko samodzielnymi i aktywnymi uczestniczkami wszelkich ważnych czynności i procesów.

W lekko napisanej „Lady Sapiens” zebrane są najświeższe odkrycia i analizy pozostałości materialnych, które ukazują kobiece oblicze epoki kamienia łupanego. Okazuje się, że żyjące przed ponad 10 tys. lat łowczynie-zbieraczki były silne, mobilne i bystre. Rodziły i wychowywały dzieci, ale rzadziej niż w późniejszych epokach, bo jednocześnie polowały, zbierały jadalne rośliny, eksperymentowały z rolnictwem, gotowały, leczyły, produkowały ubrania, biżuterię i zajmowały się sztuką.

Założenie, że wszystko, co zostało w przeszłości wytworzone lub wymyślone, to dzieło męskich rąk lub umysłu, należy włożyć między bajki. Crotteau, Kerner i Pincas przywracają równowagę w wizji głębokich pradziejów. Nareszcie.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

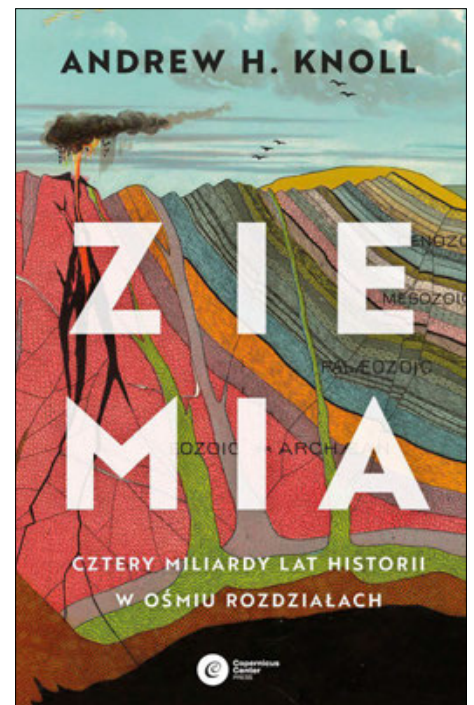
**Andrew H. Knoll „Ziemia. Cztery miliardy lat historii w ośmiu rozdziałach”,** przekład Dariusz Rossowski, Copernicus Center Press, Kraków 2022

Zachwyt nad rozgwieżdżonym niebem przychodzi mi łatwo, ale po ziemi stąpałem do tej pory dość lekkomyślnie. Nawet góry, najbardziej spektakularny dowód przeobrażania się planety, nigdy nie wzbudziły we mnie głębszej refleksji nad jej głęboką historią. A przecież to obraz Ziemi dynamicznej, zmieniającej się nieustannie w skali milionów lat.

Zrozumiawszy własną ignorancję, zacząłem szukać wiedzy. Doskonałym źródłem okazała się książka Knolla, geologa z Harvard University. W ośmiu rozdziałach przemierza on dzieje od rozgrzanej kuli lawy do zazielenionej życiem oazy. Podróż przez cykle rozkwitu i wymierania życia na Ziemi pozwala zrozumieć, jak krucha bywa równowaga warunków sprzyjających życiu.

Książka inspiruje do poszukiwań: opowiada o odkryciach skamielin najstarszych ziemskich roślin w przydrożnym murku szkockiej wioski, dowodząc, że historia Ziemi zakłętą jest nawet w najbardziej niepozornych elementach przyrody. Skrobie teraz po skałach w czasie zwykłych wycieczek, zachwycając się znalezionym łupkiem. Nauka, której można dotknąć, to ciekawa odmiana dla badań kosmosu.

ŁUKASZ TYCHONIEC, ASTRONOM,  
EUROPEAN SOUTHERN OBSERVATORY



**Merlin Bird ID, The Cornell Lab**

Miłośnicy ptaków podziwiają obserwatorów znających ptasie głosy. Ta umiejętność jest pochodną nasłuchiwania piosenek czy dźwięków ostrzegawczych i porównywania ich z nagraniami, kiedyś dostępnymi na kasetach i płytach, dziś głównie w internecie. Potrzeba także hartu ducha. Najczęściej bywa bowiem tak, że nieznaną ptak jest słyszalny, ale pozostaje poza polem widzenia, odzywa się cicho, czasem w locie, tylko przez chwilę i zbyt szybko się ewakuuje. W beznadziejnych okolicznościach (czyli w większości przypadków) pomocne mogą okazać się aplikacje dekodujące ptasie radio.



Znakomite recenzje zbiera Merlin (to angielska nazwa drzemlika, małego sokoła), przygotowany przez Cornell Lab of Ornithology. Placówka jest co prawda częścią amerykańskiego uniwersytetu, ale jej narzędzie obsługuje cały świat. Nie jest doskonałe, nie zawsze sobie poradzi, ale gdy już ptaki wykryje, rozbija ich chór na pojedyncze głosy. Pracuje na nagraniach,

ignorując nieptasie tło, da się je wykrywać offline, co przydaje się zwłaszcza w głębi lasu. I chyba nie doprowadzi do zaniku kompetencji rozpoznawania głosów – przeciwnie, podobne aplikacje są znakomitymi przewodnikami w podслушивaniu pierzastego towarzystwa.

JĘDRZEJ WINIECKI

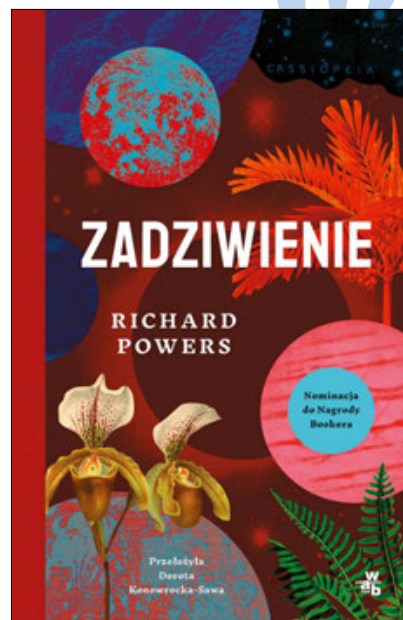
**Richard Powers, „Zadziwienie”,** przekład Dorota Konowrocka-Sawa, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2023

„Ludzie są samotni, bo są pierdolnięci” – krzyczy do swego ojca 9-letni Robin. To wokół ich relacji osnuta jest powieść. Choć przepełniona smutkiem, ma w sobie załączki nadziei na odrodzenie. Chłopiec – niedopasowany społecznie, prawdopodobnie z powodu spektrum autyzmu – ma szansę lepiej odnaleźć się w świecie poprzez eksperymentalną metodę neurologiczną. Zyskuje związek ze swą nieobecną matką, obrończynią praw zwierząt, gdyż to pozostawione przez nią dane pozwalają na sukces terapii. Ojciec, astrobiolog, poszukuje kontaktu z życiem pozaziemskim. Bliskość z synem podtrzymuje, wymyślając inne światy na prawdopodobnych planetach.

To kolejna książka, w której Powers obficie korzysta z dorobku nauk przyrodniczych i podkreśla wartość relacji ze światem natury. Po jej przeczytaniu pogłębiło się we mnie przekonanie, że dokoła nas, nawet w nas samych, na Ziemi, a zapewne i poza nią, jest tyle życia, tyle możliwości do kontaktów, interakcji, porozumienia, tyle szans na przekroczenie naszej samotności, nawiązanie relacji z innymi istotami – ludzkimi i pozaludzkimi. Dlaczego tak uparcie z tego nie korzystamy?

PS. Angielski tytuł książki „Bewilderment” znaczy „zadziwienie, konsternacja, zdumienie”, ale sam autor podkreśla, że chodzi też o „to head back into the wild” („wracać w dziką przyrodę”). Ta wieloznaczność znika w polskim wydaniu. Znacznie lepiej poradził sobie tłumacz poprzedniej książki Powersa „The Overstory”, przekładając jej tytuł jako „Listowieść”.

WOJCIECH MIKOŁUSZKO



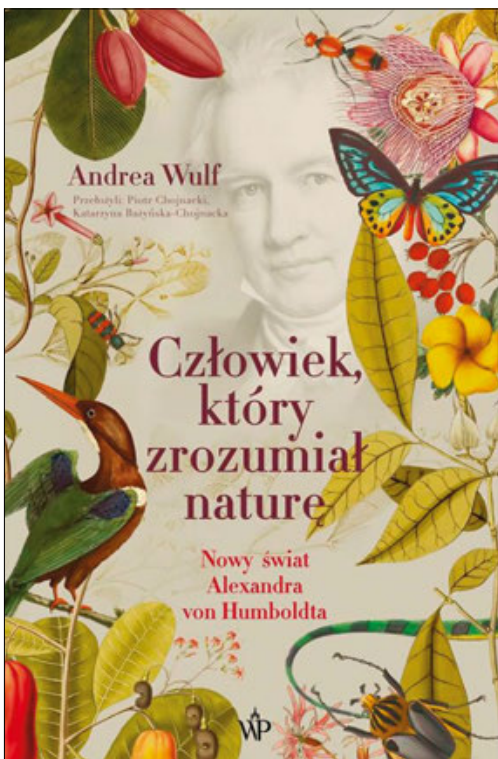
**Andrea Wulf, „Człowiek, który rozumiał naturę”,** przekład Katarzyna Bażyńska-Chojnacka i Piotr Chojnacki, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023 (wydanie 2)

Przyznam: sam bym po tę książkę nie sięgnął. Postać Alexandra von Humboldta, niemieckiego przyrodnika z przełomu XVIII i XIX w., nie interesowała mnie na tyle, by chciało mi się przebijać przez jego opasłą biografię. „Człowieka, który rozumiał naturę” kupiła mi w prezencie córka (bo „przecież tata lubi przyrodę”), nie mogłem więc odmówić lektury. A zaraz potem nie mogłem się od niej oderwać. Rozumiałem, że postać Humboldta nie interesowała mnie jedynie dlatego, że jej nie znałem.

Na swoją obronę mam jedynie fakt, że także i w kręgach akademickich

– jak twierdzi autorka biografii – idee tego przyrodnika zostały zapomniane. A przecież to on „zrewolucjonizował sposób postrzegania świata naturalnego”. To on dostrzegł tysiące powiązań między organizmami oraz między nimi a ich środowiskiem. To on zrozumiał, że w tej sieci natury każdy element ma znaczenie, a człowiek, naruszając tę strukturę, doprowadza do katastrofalnych zmian. Humboldt odkrył to podczas pełnej niebezpieczeństw kilkuletniej podróży po Ameryce Południowej. W książce Wulf dostałem w pakiecie i wiedzę o przyrodzie, i opowieść przygodową, i kawałek historii nauki, i jakże aktualne przesłanie ekologiczne. Córka sprawiła mi lepszy prezent, niż się spodziewała.

WOJCIECH MIKOŁUSZKO



**Rock Identifier, Next Vision Limited**

Aplikacja ta pozwala za pomocą smartfona w kilka sekund zidentyfikować skały i minerały – poznać ich pochodzenie i skład. Urozmaici niejedną wycieczkę, wyjaśniając, że kamień znaleziony po drodze to przetworzona głęboko wewnątrz planety skała, topiona w rozgrzanym płaszczu lub powstała przez miliony lat pod naciskiem skorupy ziemskiej. Kto wie, może wśród znalezisk znajdą się też przybysze z kosmosu: meteoryty, które w swym wnętrzu skrywają materiał nieprzetworzony od samego początku istnienia Układu Słonecznego?

ŁUKASZ TYCHONIEC



**Vanessa Woods, Brian Hare, „Przetrwają najzyczliwsi. Jak ewolucja wyjaśnia istotę człowieczeństwa?”,** przekład Kasper Kalinowski, Copernicus Center Press, Kraków 2022



Autorska spółka (a prywatnie małżeństwo) Vanessa Woods i Brian Hare to niemal gwarancja, że nie dostaniemy książki działającej jak środek nasenny. Przypuszczalnie to zasługa przede wszystkim Vanessy Woods, m.in. cenionej australijskiej dziennikarki i pisarki, która potrafi ułożyć suche naukowe fakty w ciekawą opowieść. Ale to Brian Hare, profesor antropologii ewolucyjnej w Duke University, jest głównym dostarczycielem fascynujących wyników badań i ich interpretacji.

To on wybrał się m.in. na Syberię, by testować hipotezę pojawienia się wyjątkowych zdolności psów na skutek ich domestykacji. A właściwie samoudomowienia, ponieważ Hare uważa, że „to ludzie postanowili udomowić wilki – wilki udomowiły się same” (o czym pisał obszernie, też z pomocą Woods, w książce „Psi geniusz”). O to samo Hare podejrzewa także bonobo (szympansy karłowate) oraz ludzi.

W przypadku *Homo sapiens* ten niezwykły proces miałyby wyjaśniać naszą wyjątkową zdolność do kooperacji i altruizmu. To tylko hipoteza, aczkolwiek bardzo ciekawa i świetnie zaprezentowana, wraz z odniesieniami m.in. do współczesnej polityki (choć głównie amerykańskiej).

MARCIN ROTKIEWICZ

**Sarah Blaffer Hrdy, „Matki i inni. Emocjonalna ewolucja człowieka”,** przekład Jowita Maksymowicz-Hamann, Mamania, Warszawa 2023

My, ludzie, jesteśmy najbardziej empatycznym gatunkiem naczelnym. Opanowaliśmy niemal do perfekcji teorię umysłu: od najmłodszych lat poświęcamy mnóstwo uwagi temu, co ktoś inny czuje lub myśli. Jesteśmy też skłonni do dzielenia się dobrami i wiedzą. Te umiejętności stały się filarami naszego sukcesu ewolucyjnego i cywilizacyjnego. Potrafimy bowiem uczyć się od siebie na bezprecedensową w przyrodzie skalę.

A co, jeśli to nasze powodzenia zawdzięczamy własnej bezradności? Ludzkie niemowlę jest niewspółmiernie bardziej niż u innych naczelnym niesamodzielne. Opieka nad nim jest tak energochłonna, że niemal niemożliwa do zrealizowania przez jedną tylko osobę – matkę. Korzystanie z pomocy tzw. allomatek, czyli ojca, ciotek, rodzeństwa, babć, a współcześnie



również żłobków czy niań, było kluczem do przetrwania naszego gatunku. Tak uważa Sarah Blaffer Hrdy, amerykańska antropolożka i prymatolożka. Stawia tezę, że niemowlęta pragnące przeżyć, musiały opanować umiejętność nawiązywania kontaktu i więzi z licznymi opiekunami. Ci z kolei, chcąc zapewnić przetrwanie własnego gatunku, nauczyli się rozumieć i zaspokajać potrzeby innych. Tezy Hrdy z pewnością nie są uniwersalnym kluczem do zrozumienia historii ludzkości, ale stanowią ciekawy wgląd w jeden z aspektów jej rozwoju.

MARTA ALICJA TRZECIAK

**iNaturalist**, California Academy of Sciences

Przy naszym domu w Puszczy Knyszyńskiej spotykamy sporo chrząszczy. Niestety się nie przedstawiają, a laikiem trudno się połapać, z którym z 6 tys. gatunków występujących w Polsce ma się przyjemność. Dzięki cierpliwości znajomych biologów dowiedzieliśmy się, że natknęliśmy się m.in. na pachnicę próchniczkę (jej samce wydzielają zapach przypominający ciasto ze śliwkami) i pawężnika kniejaka. Oba są entomologicznymi rarytasami.

Obiecujące początki zaostrzyły ciekawość, a ta nakazywała dalsze patrzenie na chrząszcze i maltretowanie pytaniami specjalistów. Wreszcie jeden z nich podpowiedział aplikację iNaturalist.

To globalny bank danych przyrodniczych, także roślin, grzybów, ptaków itd., szeroko wykorzystywany przez profesjonalną naukę, która robi użytek ze zgromadzonych tu informacji o milionach spotkań, również kompletnych amatorów, z gatunkami najbardziej pospolitymi.

Aplikacja pozwala określić koordynaty obserwacji (i przeglądać mapy dotychczas zgromadzonych) oraz dołączyć zdjęcia lub nagrania. Na ich podstawie sam iNaturalist całkiem sprawnie zasugeruje, co się widziało. Także inni użytkownicy weryfikują oznaczenie lub pomagają z rozpoznaniem. Bo można zamieścić zdjęcie jakiegokolwiek organizmu i podpisać je po prostu „życie”, oddając resztę technologii i ludzkiej społeczności.

JĘDRZEJ WINIECKI



# NOWE WYDANIE JUŻ W SPRZEDAŻY! DWIE OKŁADKI DO WYBORU



95%  
składników  
pochodzenia  
naturalnego



SIERPNIOWE ZWIERCIADŁO DOSTĘPNE TAKŻE  
Z NATURALNYM KOSEMETYKIEM NA LATO VIANEK

WYDANIE Z KOSMETYKIEM DOSTĘPNE  
W WYBRANYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY.

WYDAWNICTWO ZWIERCIADŁO POLECA



# Dwie historie Phineasa

Wypadek przy pracy zmienia sympatycznego człowieka w psychopatę? Opowiedziana na nowo historia Phineasa Gage'a dowodzi, jak łatwo może powstać naukowy mit.

MARCIN ROTKIEWICZ

**W**arren Anatomical Museum, część szacownej Harvard Medical School w Bostonie, reklamuje się jako „jeden z ostatnich zachowanych w USA zbiorów medycznych dotyczących anatomii i patologii”. W rzeczywistości nie prezentuje się jednak imponująco. To dwa rzędy wysokich szafek na piątym piętrze budynku uczelnianej biblioteki. I być może już dawno przestałoby istnieć, gdyby nie dwa cenne i zarazem makabryczne eksponaty, które przyciągają przybyszów z całego świata.

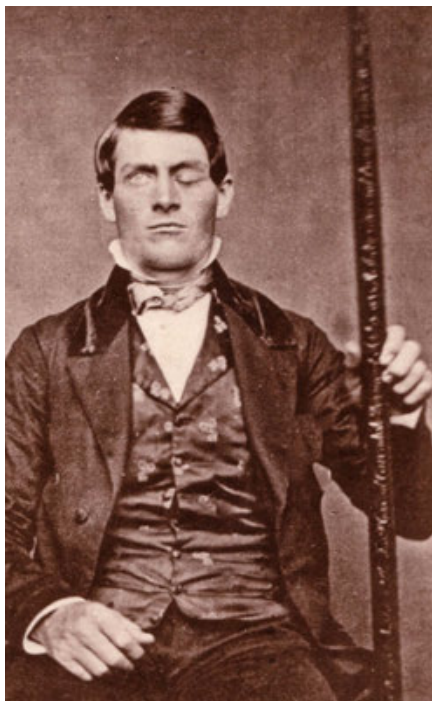
Pierwszy to ludzka czaszka z pęknięciem na czole i otworem znajdującym się nieco powyżej. Drugi to metalowy pręt przypominający oszczep. Obydwa pochodzą z XIX w. i należały do Phineasa Gage'a. Amerykańskiego robotnika urodzonego 200 lat temu, 9 lipca 1823 r., w Grafton County w stanie New Hampshire.

## Fatalna pomyłka

Mając 25 lat, Gage pracował jako brygadzysta na budowie kolei w Vermont. Zadaniem jego ekipy było wysadzanie skał tam, gdzie miano układać tory. Robotnicy wiercili otwory, wkładali do nich proch strzelniczy i sponkę, zasypywali je piaskiem lub gliną i ubijali. Gage robił to metrowej długości prętem o średnicy ponad 3 cm, ważącym ponad 6 kg i zaostrzonym na jednym końcu. Sam go zaprojektował i zamówił u miejscowego kowala.

Nie wiadomo, czy 13 września 1848 r. błąd popełnił Gage, czy jeden z jego pomocników. Dość, że zapomniano o zasypaniu prochu. Pręt, trąc o skałę wytworzył iskry i doprowadził do eksplozji. Ona wyrzuciła narzędzie z taką siłą, że wbiło się ostrym końcem pod lewym łukiem jarzmowym (w policzku) Gage'a, przeszło mózg i wyszło przez kość czołową, po czym wyładowało ponad 20 metrów dalej.

Phineas nawet na chwilę – jak twierdził – nie stracił przytomności. Sam wszedł na wóz i normalnie siedział podczas ponadkilometrowej jazdy do Cavendish, gdzie był zakwaterowany. Pierwszego



lekarza, Edwarda H. Williamsa przywitał słowami: „Jest tu sporo roboty dla pana”.

Kilka godzin później wstępnie opatrzonym Phineasem zajął się bardziej doświadczony medyk John Harlow. Choć przedstawiał się jako „mało znany wiejski lekarz”, a później twierdził, że tylko „zaopiekował się ofiarą wypadku, a to Bóg ją wyleczył”, dobrze wykonał swoją pracę m.in. zatrzymując krwawienie. Nie dał tylko rady uchronić pacjenta przed infekcją grzybiczną, która zaatakowała jego mózg i wywołała śpiączkę. Stolarz zmierzył nawet ciało, by przygotować trumnę – ale i z tej sytuacji Gage wyszedł obronną ręką. Przeżył też przeprowadzoną przez Harlowa dwa tygodnie po wypadku operację, dzięki której udało się udrozić i osuszyć ranę, ale stracił wzrok w lewym oku. W końcu jego stan na tyle się poprawił, że w listopadzie pojechał do swojej rodziny w New Hampshire.

## Rozpad inteligencji

Jeszcze w 1848 r. Harlow sporządził pierwszy opis niezwykłego przypadku Gage'a i opublikował go w „Boston Medical and Surgical Journal”. Zainteresował się

nim Henry J. Bigelow, profesor chirurgii z Harvard Medical School i w 1849 r. zaprosił robotnika do siebie. Dokładnie go przebadał, a swoje spostrzeżenia opisał rok później na łamach „American Journal of the Medical Sciences”. W 1868 r., osiem lat po śmierci brygadzysty, do tematu wrócił Harlow. I właśnie za sprawą jego dwudziestostrońnicowego artykułu w „Publications of the Massachusetts Medical Society” cała sprawa nie pozostała jedynie ciekawym przypadkiem dla lekarzy, szczególnie neurochirurgów. Zainteresowali się nią psycholodzy i neuronaukowcy. Harlow tym razem poświęcił bowiem trochę miejsca zmianom osobowości Gage'a po wypadku.

„[Stał się] kapryśny, folgujący sobie w największych bezceństwach – pisał medyk. – Wobec swych kompanów przejawiał najwyższą obojętność i ze zniecierpliwieniem reagował na wszelkie narzucane mu ograniczenia lub rady, jeśli nie były w zgodzie z jego oczekiwaniami. Często zawzięcie uparty, choć jednocześnie kapryśny i niezdecydowany, tworzył niezliczone plany na przyszłość, które jednak porzucał, nim zdążyły się w pełni wyklarować. Stał się człowiekiem o zdolnościach intelektualnych dziecka i zwierzęcej zapalczywości silnego mężczyzny”. Miało to kontrastować z tym, jaki był przed wydarzeniami z września 1848 r.: „Zrównoważony umysł i przez znajomych postrzegany jako bystry i sprytny fachowiec, osoba pełna energii i zdecydowanie dążąca do wyznaczonych celów”.

## Moralna degeneracja

Z czasem taki obraz metamorfozy Gage'a zaczął utrwalac się w literaturze naukowej. Trafił też do publikacji popularnych. W bestsellerze „Kruchy dom duszy” z 1986 r. Jürgen Thorwald – powołując się na Harlowa – pisze o „psychopatologicznych zachowaniach” pacjenta, objawiających się „pobudliwością aż po ataki szału”.

Nikt jednak chyba nie przyszużył się bardziej do spopularyzowania przypadku brygadzysty niż prof. Antonio Damasio, słynny portugalski neuronaukowiec z University of Southern California. W głośnej książce „Błąd Kartezjusza. Emocje, rozum i ludzki mózg” z 1994 r., poświęcił mu aż trzy rozdziały. Był bowiem jedną z ważnych

ilustracji hipotezy Damasio, postulującej istnienie „markerów somatycznych” w mózgu. Są to, w dużym skrócie, sygnały alarmowe, które organ ten wytwarza na podstawie poprzednich doświadczeń i przechowuje w korze przedczołowej, czyli obszarze uszkodzonym podczas wypadku Gage’a. Damasio znalazł też podobieństwa między swoimi współczesnymi pacjentami a Phineasem z opisu doktora Harlowa.

W „Błędzie Kartezjusza” kluczowym momentem historii Gage’a jest jego spektakularny moralny upadek, będący następstwem uszkodzenia określonego rejonu mózgu, przy jednoczesnym niezakłóconym funkcjonowaniu jego uwagi, percepcji, pamięci, języka oraz inteligencji. Damasio to specjalnie nie dziwiło, gdyż zgodnie z koncepcją markerów somatycznych zdobyta wcześniej wiedza na skutek uszkodzeń w minimalnym stopniu wpływała na procesy podejmowania decyzji.

Naukowiec pisze i o tym, że ta niekorzystna metamorfoza utrwaliła się, czego początkowo nie chciał przyznać nawet Harlow, a co – jego zdaniem – potwierdzają dalsze losy Gage’a. Albo sam rezygnował z pracy za sprawą swoich fanaberii, albo był zwalniany za brak dyscypliny. Zaczął występować w Barnum’s Museum w Nowym Jorku, które bardziej przypominało cyrk połączony z gabinetem osobliwości – prezentował swoje rany oraz pręt, który przeszył jego czaszkę. W końcu wyjechał do Ameryki Południowej, gdzie był m.in. woźnicą dylizansów. W 1859 r. jego stan zdrowia zaczął się pogarszać, więc wrócił do rodziny, która przeniosła się do Kalifornii. Próbował pracować tam na farmach, ale znów nie mógł znaleźć sobie miejsca. 28 maja 1860 r. – po serii napadów padaczkowych i utracie przytomności – zmarł.

Wiść o śmierci Gage’a dotarła do Harlowa po kilku latach. Lekarz żałował, że mózg jego dawnego pacjenta nie został zachowany dla potomności. Udało mu się jednak doprowadzić do ekshumacji. Wydobytą w 1867 r. czaszkę oraz żelazny pręt, z którym Phineas podobno został pochowany, trafiły do Warren Anatomical Museum. (Phineas już rok po wypadku podarował narzędzie tej placówce, ale później zażądał zwrotu i już się z nim nie rozstawał).

## Pośmiertna rehabilitacja

Kanoniczna wersja życiorysu Gage’a zapewne nadal by obowiązywała, gdyby nie docieklivość Malcolma MacMillana. Dziś 94-letni emerytowany psycholog i historyk z University of Melbourne, zainteresował się nią jeszcze w latach 70. Cierpliwie weryfikował wszelkie materiały źródłowe i szukał nowych. Swoją benedyktyńską pracę

podsumował w liczącej ponad 540 stron książce „An Odd Kind of Fame. Stories of Phineas Gage” („Dziwna sława. Historie Phineasa Gage’a”) z 2000 r. Przypadek brygadzysty opisywał także w artykułach naukowych – jeden z ostatnich („Neuropsychological Rehabilitation”, 2010) nosi znamienity tytuł „Rehabilitating Phineas Gage” („Rehabilitacja Phineasa Gage’a”). Prace MacMillana przywracają bowiem dobre imię Gage’owi i są oskarżeniem środowiska naukowego o wyciąganie zdecydowanie za daleko idących wniosków na podstawie nielicznych danych.

Australijskiego naukowca najbardziej zaskoczyła skąpość dostępnych faktów z życia Gage’a. Nawet dzień jego urodzin, 9 lipca, nie jest datą pewną. Nie wiadomo również, jakie miał wykształcenie, poza tym, że był piśmienny. I tylko dwóch lekarzy bezpośrednio badających Gage’a pozostawiło opisy jego przypadku. Co więcej, jedynie w swojej drugiej publikacji, przygotowanej już po śmierci brygadzysty, Harlow poświęca kilkaset słów zmianom jego charakteru. Bigelow zaś w 1849 r. relacjonował, że Gage „całkowicie odzyskał sprawność ciała i umysłu”. Do tego stwierdzenia należy jednak podchodzić z ostrożnością. Harvardzki chirurg prawdopodobnie diagnozował zgodnie z ówczesną praktyką badań neurologicznych, czyli wyłącznie pod kątem deficytów sensorycznych i motorycznych. A ponieważ pacjent mógł nadal chodzić, mówić, widzieć i słyszeć, lekarz doszedł do wniosku, że z jego mózgiem jest wszystko w porządku.

Na pewno jednak nie było. Ponad dekadę temu prof. Jack Van Horn, neurobiolog z University of Virginia, przeprowadził liczne symulacje komputerowe przechodzenia metalowego pręta przez czaszkę i mózg Gage’a. I oszacował, że uszkodzeniu mogło ulec aż 4 proc. istoty szarej i 11 proc. istoty białej. Ta pierwsza to skupisko ciał komórek nerwowych. Druga to wypustki neuronów (dendryty i aksony), czyli „okablowanie” mózgu. Dlatego Van Horn podejrzewa, że Gage mógł nawet wykazywać objawy podobne jak w chorobie Alzheimera – m.in. wpadanie w zły nastrój i niemożność wykonywania zadań.

W tym momencie dochodzimy do najistotniejszej kwestii dotyczącej historii Phineasa Gage’a: radykalnej metamorfozy osobowości. Otóż nie ma żadnych dowodów na to, by zmieniła on pracę jak rękawiczki lub był z niej wyrzucany. Na pewno zaś występował gościnnie w Barnum’s Museum, sam też organizował spotkania ze sobą w miastach Nowej Anglii. I pracował jako woźnica w przeżywającym gorączkę złota Chile na trasie Santiago

– Valparaiso. Czy ktoś rozsądny powiedziałby osobie niestabilnej psychicznie powozem przez 160 km pojazdem zaprzężonym w sześć koni? Można to porównać – zwraca uwagę MacMillan – do kierowania samochodem, w którym trzeba sterować każdym z sześciu kół osobno. Taka podróż trwała 12–13 godzin, a do obowiązków Gage’a należało również pobieranie opłat, zajmowanie się pasażerami i ich bagażem. W dodatku musiał porozumiewać się po hiszpańsku. Udało się także znaleźć krótką relację pewnego lekarza, który spotkał Phineasa w Chile w 1858 r. i ocenił jego stan jako całkiem dobry.

Skąpe dane biograficzne Gage’a nie wskazują także na moralny upadek. MacMillan wprowadzie nie wyklucza, że po 1848 r. mógł on mieć problemy w relacjach społecznych, ale jego dalsze losy sugerują udaną rehabilitację i powrót do w miarę normalnego funkcjonowania. Oraz przeczą obrazowi upadłego moralnie człowieka, wręcz psychopaty.

## Naukowa mitologizacja

MacMillan uważa, że nigdy nie będzie pewności, jaki naprawdę był Phineas Gage przed wypadkiem i kim stał się po nim. Podobnie jak nie da się ustalić szczegółów uszkodzeń jego mózgu.

W XIX w. na historię brygadzysty powoływali się zwolennicy frenologii, pseudonauki głoszącej, że poszczególne części kory mózgowej odpowiadają za różne funkcje psychiczne, których rozwój wpływa na kształt czaszki. Twierdzili, że u Gage’a pręt przeszył okolice Życzliwości oraz przednią część Szacunku. Z kolei wielu naukowców i lekarzy twierdziło wówczas – powołując się na pierwsze raporty na temat Gage’a – że płaty czołowe nie odgrywają żadnej ważnej roli dla umysłu człowieka.

Naukowcy mają do dyspozycji czaszkę Phineasa, ale sam odlew jej wnętrza nie wystarczy, gdyż mózgi ludzi różnią się między sobą, analogicznie jak odmienne są twarze. Symulacje komputerowe wypadku dają zaś różne wyniki. Pierwsze wskazywały na uszkodzenia płatów czołowych obydwu półkul. W 2004 r. zespół neuroanatomów i lekarza Petera Ratiu jako pierwszy wykazał zaś, że pręt raczej nie mógł naruszyć prawej półkuli mózgu Gage’a, a w momencie wypadku miał on otwarte usta, dlatego nienaruszona pozostała żuchwa.

Badacz postuluje, by neuropsychologowie w ogóle zaprzestali nauczania o tym przypadku. Znacznie więcej mówi on bowiem o pasjach i obsesjach danej epoki niż o tajnikach funkcjonowania mózgu. I pokazuje, jak łatwo garść faktów może zostać przekształcona w naukowy mit. ■

# Wołyń. Bez optymizmu

11 lipca mija 80 lat od tzw. krwawej niedzieli, którą uznaje się za apogeum rzezi wołyńskiej. Rosyjska agresja na Ukrainę bardzo zbliżyła Polaków i Ukraińców i zepchnęła na dalszy plan historyczne rozrachunki. Ale widocznych gestów pojednania nie będzie. Ukraina ma u siebie krwawą wojnę, a Polska wybory.



Wiosną 1943 roku kilku miejscowościach na Wołyniu miały miejsce zdarzenia



Pod osłoną nocy bandy ukraińskich nacjonalistów okrażyli i wyrzneli



We wsi Lipniki banda UPA wyrznęła 179 osób, w tym 51 dzieci



idei, które były sformułowane jeszcze przed wojną

Kadry z propagandowego filmu rosyjskiego porównującego rzeź wołyńską do zbrodni nazistów, wyemitowanego na Międzynarodowym Forum Ekonomicznym w Petersburgu w czerwcu tego roku na żądanie Władimira Putina. Polskie napisy zostały dodane przez youtubera, który udostępnił materiał w sieci.

KATARZYNA KACZOROWSKA

# W

2027 r. ma zostać otwarte w Chełmie Centrum Prawdy i Pojednania oraz Muzeum Ofiar Rzezi Wołyńskiej im. Lecha Kaczyńskiego. Za kilka dni w tutejszej bibliotece publicznej, na otwarcie obchodów 80.

rocznicy rzezi wołyńskiej, zostanie zaprezentowana wstępna wizualizacja zamiany pocarskich obiektów przy ul. Hrubieszowskiej kupionych w 2022 r. na muzeum. Samorząd wyłożył ze swojego budżetu 980 tys. zł, ale premier Mateusz Morawiecki z rezerwy celowej dodał 4 mln zł. Całość inwestycji szacowana jest na 250–300 mln zł. Nie ma jeszcze rady programowej

placówki, a Grzegorz Zarzycki z biura prezydenta Chełma przyznaje, że jej pomysłodawcy mają świadomość, że projekt dotyka bolesnej, trudnej przeszłości w relacjach polsko-ukraińskich. – *Dlatego staramy się, aby był transparentny i tworzony w atmosferze dialogu. Głównym celem jest przecież upamiętnienie bezimiennych ofiar oraz tych, którzy nieśli wówczas pomoc przśladowanym. Od początku zależy nam na współpracy nie tylko z polskimi specjalistami, ale także ze stroną ukraińską. Stąd też o koncepcji budowy Centrum Prawdy i Pojednania poinformowany został sam prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, a także ambasada ukraińska* – wyjaśnia Zarzycki i dodaje, że chełmskie muzeum ma być krokiem ku pojednaniu poprzez prawdę, tym bardziej że inwazja Rosji na terytorium Ukrainy pokazała,

że pomimo trudnej historii narodów polskiego i ukraińskiego Polacy i Ukraińcy potrafią ze sobą współpracować.

Tegorocznym obchodom będzie towarzyszyć list duchownych polskich i ukraińskich – podobny zresztą powstał 10 lat temu. – *Wtedy ten głos w duchu pojednania został bardzo dobrze odebrany. Obecnie, jeśli powstanie, zapewne będzie podobnie, ale raczej nie wpłynie to na rzeczywiste pojednanie, dla którego, prawdę mówiąc, nie widzę optymistycznego scenariusza. Na pewno nie w tym roku ani nie w perspektywie najbliższych lat* – tłumaczy prof. Tomasz Stryjek z Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, historyk i politolog zajmujący się m.in. polityką pamięci. – *Przede wszystkim w Ukrainie trwa wojna i dla tamtejszej opinii publicznej kwestia wołyńska w stosunkach z Polską, przeciwnie do tego, co można bytoby wnioskować z doniesień w polskich mediach, naprawdę nie jest kluczowa.*

## Wymiana ciosów

W maju, dwa miesiące przed 80. rocznicą krwawej niedzieli uznawanej przez historyków za apogeum konfliktu etnicznego na dawnych polskich Kresach między Ukraińcami i Polakami, rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych Łukasz Jasina udzielił wywiadu portalowi Onet.pl. Powiedział m.in., że prezydent Zełenski „powinien wziąć (...) większą odpowiedzialność”. I powiedzieć „Przepraszam i proszę, prosimy o wybaczenie”. Jasina stwierdził, że tych przeprosin za Wołyń ze strony ukraińskiej jest za mało. Na ten wywiad zareagował ambasador Ukrainy – Wasyl Zwarycz na Twitterze skomentował wypowiedź rzecznika MSZ wpisem: „jakiegokolwiek próby narzucania prezydentowi Ukrainy czy Ukrainie, co musimy w sprawie wspólnej przeszłości, są nieakceptowane”. Po czym ten wpis skasował, a krótko potem Łukasz Jasina udał się na urlop, po czym w ogóle pożegnał się z MSZ. W prawniczych mediach społecznościowych wybuchło oburzenie, że Ukraińcy „robią” Polakom politykę personalną.

Krótkie, bo szybko, emocje rozpałił wywiad szefa ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej Antona Drobowycza, który dziennikarzom portalu glacom.ua powiedział, że Kijów nie może się zgodzić na ekshumacje Polaków w Ukrainie, „ponieważ groby ukraińskie w Polsce są nadal zagrożone”. I przypomniał, że jednym z warunków zgody na ekshumacje polskich ofiar, jakie stawia strona ukraińska, jest przywrócenie tablicy upamiętniającej żołnierzy UPA zabitych przez Sowieców w Monasterzu. Reakcja była natychmiastowa – oświadczenie wydał polski IPN.

„Odnosząc się do stwierdzenia Antona Drobowycza wskazującego na zagrożenie dla ukraińskich grobów w Polsce, należy stanowczo stwierdzić, że zarzut ten jest całkowicie fałszywy. Nigdy żadna instytucja państwa polskiego, w tym IPN, nie podejmowała działań skutkujących likwidacją ukraińskich grobów. W przypadku Werchraty – wzgórza Monasterza, zastrzeżenia budziły dane umieszczone na pamiątkowej tablicy, a nie sama mogiła. Nikt też nie podejmował prób jej likwidacji. Tego typu nieprawdziwe stwierdzenia mają na celu stworzenie wrażenia, jakoby to strona polska była winna zaistniałej sytuacji. Po zniszczeniu w styczniu 2020 r. tablicy z nazwiskami 62 członków UPA strona polska odtworzyła tablicę z napisem w językach polskim i ukraińskim. Jest to obiektywny, zgodny z faktami tekst. Pominęto natomiast listę nazwisk, bowiem budzi ona poważne zastrzeżenia strony polskiej i wymaga weryfikacji. Te zastrzeżenia zostały przedstawione stronie ukraińskiej” – pisał IPN.

## O co chodzi z Monasterzem

Ekshumacje ofiar rzezi na Wołyniu zostały zatrzymane w 2015 r. – jako odpowiedź na zniszczenie na górze Monasterz tablicy na legalnym ukraińskim upamiętnieniu partyzantów UPA,

pochowanych w zbiorowej mogile. Do wandalizmu – namalowania na tablicy znaku Polski walczącej i wylania białej i czerwonej farby – przyznali się członkowie Obozu Wielkiej Polski. Kilka lat obie strony, polska i ukraińska, uzgadniały nowy napis. Tablica miała się pojawić przed wizytą prezydenta Andrzeja Dudy w Kijowie i jego spotkaniem z prezydentem Zełenskim w 2020 r. Miało ono dotyczyć również uregulowania kwestii upamiętnień, ekshumacji i poszukiwań na Wołyniu oraz upamiętnień ukraińskich w Polsce. Na krótko przed tą wizytą naprawioną po uprzedniej dewastacji tablicę ponownie zniszczono. Środowiska nacjonalistyczne nie kryły, że powodem wandalizmu jest rzekomo pochówek w grobie w Monasterzu „Borysa”, przywódcy bojówki SB OUN, która zamordowała polskich pasażerów pociągu pod Zatyłem 16 czerwca 1944 r. W archiwach ukraińskich znajdują się jednak informacje, że „Borys” został zlikwidowany przez sowieckie NKWD i pochowany w innym miejscu.

W 2020 r. podczas spotkania szefów IPN polskiego i ukraińskiego Ukraińcy postawili jeden warunek: tablica w Monasterzu ma wrócić w pierwotnej wersji. Z wymienionymi nazwiskami kilkudziesięciu partyzantów i napisem „Polegli za wolną Ukrainę”. I tablica wróciła. Bez nazwisk, bez napisu, z enigmatyczną informacją, że w zbiorowej mogile pochowani są Ukraińcy zamordowani przez sowieckie NKWD.

– *I o te cztery słowa chodzi. Zgodnie z ustawą z 2016 r. żadna taka tablica upamiętniająca kogokolwiek i cokolwiek nie może się pojawić w przestrzeni publicznej bez zgody IPN. Ekshumacje, na których środowiskom kresowym, czy też raczej kresowo-nacjonalistycznym, zależy najbardziej, mówiąc kolokwialnie, te środowiska wysadziły w kosmos, bo uwierają je słowa „zginęli za wolną Ukrainę” i nazwiska pochowanych w tym grobie ludzi* – mówi historyk zajmujący się badaniem polsko-ukraińskiego konfliktu etnicznego, zastrzegając nazwisko. Jednocześnie dodaje, że pojednanie polsko-ukraińskie jest możliwe, jeśli trwa dialog. Polscy i ukraińscy badacze mają tuż przed 80. rocznicą tragicznych wydarzeń na Wołyniu podpisać wspólny komunikat. To nawiązanie do komunikatu, który z inicjatywy Ośrodka KARTA został podpisany przez jedenastu badaczy ukraińskich i jedenastu polskich w czerwcu 1994 r. i obejmował wspólne badania nad historią polsko-ukraińską w latach 1918–48. Kolejne porozumienie zostanie podpisane 29 lat po tamtym, pierwszym, jak zapowiadał w połowie czerwca prezes KARTY Zbigniew Guza, zaangażowani w tę inicjatywę historycy i badacze chcą, by ta rocznica była okazją do wyrażenia braterstwa, a nie jak dotąd głównie wrogości.

## Pojednanie i polityka

Prof. Tomasz Stryjek podkreśla, że choć byłoby to pożądane, pojednania polsko-ukraińskiego nie da się osiągnąć bez udziału polityki. – *Istotą sporu jest w tej chwili ponowne wznowienie ekshumacji w Ukrainie. Wprawdzie można by sobie wyobrazić porozumienie między strażnikami pamięci z obu krajów, ale przy organizacji miejsc upamiętnienia ofiar zaraz pojawi się problem napisów na pomnikach, dotyczący winnych zbrodni. I tu bez udziału polityków do porozumienia nie dojdzie, tym bardziej że przekonanie o tym, kto był wyłącznym sprawcą mordów na Wołyniu, jest po stronie środowisk kresowych w Polsce jednoznaczne* – mówi prof. Stryjek i przypomina, że te środowiska najbardziej boli etos UPA, który w czasie trwającej obecnie wojny jest wykorzystywany pozytywnie w budowaniu morale ukraińskiej armii i społeczeństwa. – *Rzeczywiście nie mówi się o zbrodniach UPA, ale Polska nie może nie dostrzegać, że wojna z Rosją nie sprzyja dyskusji o tej kwestii w Ukrainie. Władze Polski nie mają instrumentów, aby skłonić Ukrainę do zmiany obrazu UPA. Władze Ukrainy nie bez racji zakładają, że strategiczne poparcie* ▶

► ze strony Polski jest nienaruszalne, a przynajmniej nie zostanie naruszone z takiego powodu jak spór o upamiętnienie ofiar sprzed 80 lat – podkreśla Stryjek, przypominając majowe wystąpienie w Sejmie przewodniczącego Najwyższej Rady Ukrainy Rusłana Stefanczuka apelującego o „pamięć, która nie wzywa do zemsty ani nienawiści, ale wzywa do odpowiedzialności, że nigdy więcej nic takiego nie powtórzy się między naszymi narodami. Musimy zdać ten niełatwy, ale ważny egzamin. Wspólnie odnajdziemy prawdę i dokonamy sprawiedliwej oceny. Chwała Ukrainie, chwała Polsce!” – powiedział do parlamentarzystów Stefanczuk.

Wystąpienie przewodniczącego Najwyższej Rady Ukrainy z tej samej sejmowej mównicy komentował wpływy poseł Konfederacji Grzegorz Braun, mówiąc: „Jaki jest kontekst tej sytuacji?



Od góry: zniszczona przez członków Obozu Wielkiej Polski tablica upamiętniająca partyzantów UPA w Monasterzu na Podkarpaciu. I po renowacji, bez wymienionych nazwisk.

Ten kontekst to notowana już przez nawet mainstreamowe, gadzinowe, warszawskie media reorientacja Kijowa na Berlin. To jest komentowane w waszym mainstreamie. Po drugie, butne, agresywne, kłamliwe wypowiedzi przedstawicieli państwa ukraińskiego negujące ludobójstwo ukraińskie na Polakach w XX w. Szef ukraińskiego analogonu IPN po raz kolejny dał popis swoich możliwości w tej dziedzinie. Ambasador państwa ukraińskiego w Warszawie to również, jak się zdaje, negacjonista polskiego Holokaustu z rąk ukraińskich. Jakże w tej sytuacji mają posłowie na Sejm słuchać przedstawiciela państwa, które formuje się na kulcie ludobójców?”

## Jak gra Rosja

W dniach 14–17 czerwca w Petersburgu odbyło się Międzynarodowe Forum Ekonomiczne, na które oprócz rosyjskich oligarchów zaproszeni byli goście z państw współpracujących

z Rosją mimo embarga nałożonego na nią przez Stany Zjednoczone i kraje Unii Europejskiej po zaatakowaniu Ukrainy w lutym 2022 r. Władimir Putin wystąpił w jednym z paneli. Dimitri Simes, amerykańsko-rosyjski analityk polityczny, były prezes i dyrektor generalny The Center for the National Interest, spytał go o to, dlaczego Rosja mówi o konieczności denazyfikacji Ukrainy i walce z ukraińskimi neonazistami. Putin najpierw stwierdził, że ma wielu kolegów Żydów od dzieciństwa i oni mówią mu, że Żelenski to wstyd dla narodu żydowskiego. Poprosił, by puszczono przygotowany wcześniej materiał z archiwalnymi zdjęciami, m.in. z masakry w Babim Jarze, gdzie Niemcy wymordowali 29 września 1941 r. ok. 40 tys. Żydów. Potem kilkusetosobowa publiczność usłyszała głos narratora: „Wiosną 1943 r. w kilku miejscowościach na Wołyniu miały miejsce zdarzenia, które zszokowały całą polską ludność zachodniej Ukrainy. Pod osłoną nocy bandy ukraińskie okrzyki i wyrżnęły od razu kilka większych polskich wsi. Do dokonania zbrodni wykorzystano między innymi siekiery, widły, sierpy i kosy. We wsi Lipniki banda UPA wyrżnęła 179 osób, w tym 51 dzieci w wieku od 1 do 14 lat. Rzeź wołyńska była logiczną konsekwencją rozwoju ukraińskiego nacjonalizmu, idei, które były sformułowane jeszcze przed wojną przez Andrija Melnyka i Stepana Bandere. Zgodnie z ich poglądami przyszła Ukraina powinna być etnicznie czystym państwem zbudowanym wedle zasady: jeden naród, jedna partia, jeden wódz”.

– *To nie jest przypadkowe nawiązanie do hasła nazistów „Ein Volk, ein Reich, ein Führer”. I to tyle w temacie, jak Rosja zajmująca się mordowaniem Ukraińców traktuje kwestię wołyńską* – stwierdził historyk zaangażowany w pojednanie polsko-ukraińskie.

## Bez przebaczenia

W sobotę 24 czerwca na antenie RMF FM wyemitowano nagrany wcześniej wywiad z prezesem Prawa i Sprawiedliwości, nowym i jedynym wicepremierem. Prowadzący rozmowę Krzysztof Ziemięcki zapytał Jarosława Kaczyńskiego, czy widzi możliwość pojednania polsko-ukraińskiego. Kaczyński przyznał, że jest to bardzo trudne i powiedział: „Kiedy przyjdzie ta rocznica, a to już bardzo niedługo, trzeba powiedzieć, że to było ludobójstwo wyjątkowo wręcz brutalne, okrutne, jeszcze gorsze niż te niemieckie ludobójstwa. Trzeba się z tym rozliczyć. Trzeba powiedzieć tutaj właściwe słowa i trzeba jednocześnie odnaleźć tam, gdzie to się da, miejsca pochówku. Trzeba tych ludzi właściwie pochować, tak jak na to ludzie po prostu zasługują”.

Powiedział też, że nie podziela zdania Ukraińców, którzy twierdzą, że nie mogą się teraz zajmować sprawą Wołynia ze względu na wojnę. „Oni giną na frontach, oni są bombardowani, niszczeni na różne sposoby. Wobec nich też zaplanowano, bo przecież taki był plan, ludobójstwo. Tak to trzeba określić” – stwierdził Kaczyński.

– *Dzisiaj Polska Ukrainę wspiera, ale nie wykluczam, że jeśli przyjdzie PiS-owi tworzyć rząd z Konfederacją, to sytuacja może się zmienić. Jak się raz podpisze mefistofelesowski pakt, by zdobyć władzę, to trudno się z niego wyplątać* – mówi polityk zaangażowany w dialog polsko-ukraiński, zastrzegając anonimowość.

A prof. Tomasz Stryjek dodaje: – *Sprawa wznowienia ekshumacji nie jest przegrana, ale dziś zasadniczą przeszkodą jest brak zaufania między kierownictwami obu instytucji pamięci narodowych. Ukraina zmieniła kierownictwo swojego instytutu na bardziej otwarte na porozumienie z Polską w końcu 2019 r. Niestety, kierownictwo IPN w Polsce od dwóch lat jest w rękach ludzi nieprzejednanych w relacjach z Ukrainą.*

KATARZYNA KACZOROWSKA

Samochód na promie rzeczny pod Zatorem, 1933 r.



# Z nurtem i pod prąd

O kobiecości Wisły, jej znaczeniu dla dziejów ziem polskich, jej niesforności, niezbędności i dzikości opowiada prof. Andrzej Chwalba.

**AGNIESZKA KRZEMIŃSKA: – Wisła w pana księżce jawi się jako kobieta – piękna, kapryśna, dająca życie, ale i je zabierająca. Skąd pomysł zrobienia rzeki bohaterką opowieści o historii?**

ANDRZEJ CHWALBA: – Po pierwsze, wielokrotnie rozmawiałem ze studentami w ramach zajęć z antropologii historycznej o interakcji ludzi z otaczającą ich przyrodą i Wisła była najlepszym przykładem. Jest wiele świadectw tego, jak ją traktowaliśmy, czym, a nawet kim, dla nas była. Po drugie, nie ma mapy i historii Polski bez tej królowej naszych rzek, do której zawsze podchodzono z nabożeństwem, przypisując jej cechy opiekuńcze. Do dziś zachowało się kilkanaście pomników młodej kobiety z urokliwymi warkoczami, symbolizującymi dopływy, która łączy wszystkich osadników – Polaków, Niemców, mennonitów, Szkotów, Żydów.

**Kobieca jest ta jej kapryśność, objawiająca się skłonnością do meandrowania,**

**podmywania lub wysychania. To nie czyniło jej łatwą partnerką.**

I prowadziło do sporów. Po pierwszym rozbiorze Austria chyba zawarła jakiś tajemny układ z Wisłą, bo ta regularnie zabierała Rzeczpospolitej tereny i przyklejała je do Galicji. To samo dotyczyło waśni między właścicielami ziem, których granice biegły środkiem rzeki, więc gdy wylewała, jednemu z nich ją przydawała, a drugiemu zabierała. Pokrzywdzony kwestionował zapis prawny, co kończyło się zajazdami i ciągnącymi się latami sprawami sądowymi. Rzeka spokojnie przyglądała się, jakie spustoszenie czyni w relacjach między ludźmi i państwami.

**Może była zła, że wszyscy ją wykorzystywali?**

Raczej to akceptowała, pod warunkiem że pozwalano jej zachować swój charakter. Do XVI w. ta symbioza była udana i przyjazna, bo oprócz Gdańska wszystkie nadrzeczne miasta, łącznie z Krakowem

i Toruniem, liczyły z górą kilkanaście tysięcy mieszkańców.

**Co więcej – wszystkie te miasta zwrócone były plecami do rzeki, w tym sensie, że ich centra, czyli rynki, lokowano z dala od portu i wybrzeża.**

Ludzi bali się gniewu rzeki i wylewów, które w każdej chwili mogły zabrać im domy, dlatego poczynając od pierwszych lokacji w XIII w., miasta sytuowano na skarpach. Nad samą wodą mieszkał proletariát – cieszący się złą sławą rybacy czy piaskarze – więc nie zapuszczano się w te rejony. Zamożni mieszczenie aż do XIX w. traktowali cuchnące rybami nadbrzeża i porty jako źródło zarobkowania, nie miejsce, które zdobi czy służy rekreacji.

**Dlaczego rybacy cieszyli się złą sławą?**

Bo uważano, że zabijali niewinne ryby m.in. za pomocą haczyków. Rybakami gardzono, a ich cechy miały najniższy status, więc nie było szans, by rajcą miejskim ►

► został rybak. Paradoksalnie, bo łowił przez nich ryby, zwłaszcza wpływające do Wisły z morza jesiotry i łososie, były drogie i pożądane ze względu na długie posty. Dziś może to się wydać dziwne, ale gdy rybacy wręczali je ludziom władzy, ci odbierali je jako cenny podarunek.

#### Nie każdy mógł korzystać z zasobów rzeki. Kto był jej właścicielem?

W okresie wczesnopiastowskim panujący, ale na mocy immunitetu książęta i królowie przekazywali prawo do eksploatacji rzeki klasztorom, możnym, rycerzom, a w końcu miastom. W przypadku tych ostatnich przywilej ten dostawali przede wszystkim ich zasadnicy, czyli wójtowie – oni mieli prawo zakładania młynów, spichlerzy czy połowów. To wójt zatrudniał rybaków, którzy mogli łowić w określonych miejscach i warunkach. Zawsze dbano o zasoby rzeki, stąd te wszystkie obostrzenia. Nie chodziło o ekologię, tylko o biznes – zbyt duża ilość ryb na rynku obniżała ich cenę i zarobki. Mało kto wie, że właścicielami fragmentów rzeki bywali też chłopci (np. młynarze), ale w XVI–XVIII w. prawa te szlachta im odebrała.

#### Czy przewożenie towarów rzeką też było reglamentowane?

Zacznijmy od tego, że Wisła zaczęła pełnić funkcje transportowo-handlowe, dopiero gdy państwo krzyżackie rozkręciło gospodarkę towarowo-pieniężną, a w Europie pojawiła się koniunktura na produkty drzewne i zboże. Ale tak, w średniowieczu i nowożytności w zasadzie wszystko było reglamentowane i straż królewska czy miejskie egzekwowały nadane przywileje, np. przymus drogowy czy prawo składu, polegające na tym, że kupcy przybywający do danego miasta mieli obowiązek wystawić towary po narzuconych cenach.

Odkąd w XIV w. Wisła stała się szlakiem handlowym, dyskusja wokół wolności przepływu rzeką wracała regularnie, bo niby wszyscy chcieli jej wolności, ale do momentu, gdy nie łączyło się to z rezygnacją z korzyści wynikających z praw własności. Kolejni królowie i sejmy wydawali prawa, które definiowały wolność żeglugi na Wiśle i jej dopływach, jednak nagminnie je obchodzono. A ponieważ w państwie szlacheckim miasta były dyskryminowane, choć najpierw szlachcice wozili swoje zboże statkami mieszczan do Gdańska, to gdy zostali zwolnieni z podatków, role się odwróciły i mieszczanie zaczęli wozić swoje towary na statkach szlachty, żeby nie płacić cel.

#### Miasta też ze sobą konkurowały?

Oczywiście, najsłynniejszy konflikt był między Toruniem a mniejszymi miastami



Robotnicy przy umacnianiu brzegów Wisły faszyną, 1927 r.

leżącymi od niego w górę rzeki, jak Płock, Wyszogród czy Warszawa, które stworzyły rodzaj federacji i zaskarżyły nadane Toruniowi przez Ulricha von Jungingena prawo składu i przymusu drogowego. Po latach starań Jan Olbracht w 1498 r. pozbawił miasto tego przywileju, jednak to wielokrotnie odwoływało się od decyzji króla i jej nie respektowało. Federacji udało się w końcu wygrać spór w 1537 r. i Toruń utracił ważny przywilej. Z kolei prawo wolności żeglugi kwestionowali ci szlachcice, którzy na tym tracili.

**Symbolem wiślanej wolności byli flisacy, którzy stworzyli własną kulturę opiewaną przez literatów, a teraz odtworzaną przez zafascynowanych nią naśladowców, płynących po Wiśle na replikach starych szkut.**

Kulturę środkowoeuropejskich flisaków doceniła w grudniu zeszłego roku komisja UNESCO. Na pomysł, by wpisać ją na światową listę niematerialnego dziedzictwa, wpadli mieszkańcy Ulanowa nad Sanem, gdzie przez kilkaset lat angażowano flisaków. Współcześni flisacy nie kultuwają jednak ich wszystkich tradycji, bo w przeszłości wolni ludzie rzeki byli bitni, głośni i swawolni tak bardzo, że na wieść o pojawieniu się holowanego przez nich w górę rzeki statku chłopci ukrywali córki i żony. Flisacy mieli silne poczucie wspólnoty, a ich godność brała się też z tego, że całkiem nieźle zarabiali.

**Mawiano, że aby być flisakiem, trzeba mieć „rozum i wrodzenie”.**

Na pewno, bo gdy armatorzy – szlachta i magnaci – zatrudniali chłopów pańszczyźnianych, aby obniżyć koszty transportu, dochodziło do wypadków i utopień. Flisak był z tego znany, że nie tylko potrafił

żeglować, ale i pływać, co było rzadkością. Wisła zaczęła służyć sportowcom i rekreacji dopiero w drugiej połowie XIX w., wtedy pojawili się wiosłarze, kajakerze, pływacy, oczywiście sami mężczyźni. Kontakt pań z wodą ograniczał się do siedzenia na miejskich plażach i wizyt w montowanych latem na brzegach łaźniach rzecznych. Ubrane w halki, buty i czepki zanurzały się w wodzie dla higieny i ochłody.

**Panuje przekonanie, że Wisłą płynęło głównie zboże, tymczasem równie ważnym towarem było drewno. Według prof. Henryka Samsonowicza nie można wykluczyć, że maszt, z którego na statku Krzysztofa Kolumba jakiś majtek jako pierwszy ujrzał Amerykę, był zrobiony z polskiego dębu.**

To prawdopodobne. Większość statków wypływająca z portów Europy w dobie odkryć geograficznych wysmołowana – też była naszym dziegiem, bo w końcu XV w. byliśmy potentatami nie tylko w sprzedaży drewna, ale i dziegiu, potażu czy popiołu. Nawet gdy Rzeczpospolita postawiła głównie na handel zbożem w XVI–XVII w., spławiający drewno oryłowicie pracowali pełną parą.

**Wisła płynęła przez trzy zabory. Jaki to miało na nią wpływ?**

Zabiło to jej znaczenie handlowe, bo każdy z zaborców wprowadzał własne bariery celne. Poza tym Wisła była periferyjna dla wszystkich państw zaborczych, więc odgrywała dla nich głównie rolę obronną, co wykluczało inwestycje. Z tym że podczas gdy Rosjanie nie regulowali rzeki, Prusacy ją „prostowali”, by ułatwić żeglugę, a Austriacy budowali wały. Gdy Jakub Bojko, pisarz i przyjaciel



Spyw tratwą z flisakiem, 1940 r.

Wincentego Witosa, popłynął raz w rejs z flisakami, czuł się niepewnie na odcinku rosyjskim, a był zachwycony pruskim, „którym można pływać z zamkniętymi oczami”. Fakt, że Wisła „przegapiła” czasy wielkiej industrializacji, ma też dobrą stronę – dzięki temu nie stała się kanałem przemysłowo-transportowym jak większość rzek Europy Zachodniej.

**Z tym cywilizowaniem Wisły od początku było pod górkę. Nie dotarły do nas rzymskie legiony, więc długo nie przeciął jej żaden murowany most, a drewniane przeprawy wznoszone przez polskich królów lub mieszczan stały zazwyczaj tylko do pierwszej większej powodzi lub kry.**

Wyjątkiem był stale naprawiany most w Toruniu, który stał ponad 350 lat, a drugi rekordzista to most łączący Kraków ze znajdującym się na wyspie wiślanej Kazimierzem, który stale naprawiano aż do osuszenia starorzecza. Jednak najbardziej znanym i opiewanym przez samego Jana z Czarnolasu był warszawski most elekcyjny, którego budowę zlecił Zygmunt August, a odebrała już po jego śmierci Anna Jagiellonka

w 1573 r. Konstrukcję chwalili obco-krajowcy, zwłaszcza imponującą wieżę bramną na lewym brzegu rzeki, z której pilnowano, by nikt nie zaproszył ognia. Budując tę przeprawę, wierzono, że będzie służyć do kolejnej elekcji, ale Wisła na to nie pozwoliła. Pierwszy stalowy most na rzece wzniesli Prusacy w latach 50. XIX w. na trasie linii kolejowej łączącej Berlin z Królewcem.

**Wisła mówiła wieloma językami, nie tylko osadnicy, którzy mieszkali w jej pobliżu, ale i ludzie rzeki byli wielojęzyczni.**

Korona zaakceptowała niemieckojęzyczne prawa wiślane krzyżaków, dlatego wszystkie najważniejsze nazwy związane z Wisłą, jak chociażby szyper, retman czy flisak, są pochodzenia niemieckiego, z naleciałościami niderlandzkimi i angielskimi. Nazwy te polonizowano, ale ludzie pływający do Gdańska musieli znać gwary niemieckie i niderlandzkie, bo na rzece i w portach stale dochodziło do spotkań kultur, języków, religii.

**Nam się Wisła wydaje czysto polska, tymczasem sama jej nazwa pojawiła się na długo przed przyjściem Słowian. Co więcej, w XIX w. Niemcy zaczęli podkreślać swoje narodowe prawa do rzeki, powołując się na żyjące nad nią plemiona germańskie oraz średnio-wieczne osadnictwo niemieckie. Nie mieli racji?**

Wojna o charakter etniczny rzeki jest typowym sporem rodzących się nacjonalizmów końca XIX w., bo i wcześniej rzeka przepływała przez różne kraje i żaden z nich nie uważał, że ma ją na wyłączność.

Znany wiersz Edmunda Wasilewskiego, że „półki Wisła płynie, Polska nie zaginie”, powstał w 1840 r., kiedy Niemcy prowadzili bój o Ren z Francuzami i zaczęli mówić o niemieckich Dunaju i Wiśle. Spór ten definitywnie zakończyła druga wojna światowa. Przyznam jednak, że natura Wisły bardzo przypomina charakter narodowy Polaków, co trafnie opisał Karol Zbyszewski słowami „Rozmach nieoparty na środkach to bezsensowna szerokość

Wisły przy chronicznym braku wody. Zmienność, niekonsekwencja, histeria, Wisła wciąż zmienia swoje koryto, rzuca się tu, tam. Dzisiaj groźna, jutro bezsilna. Te zrywy wspaniałe i sromotne upadki. Wisła przybiera, szumi potęgą, po tygodniu ledwo szemrze, utyka co krok w miedziach. Ta kapryśność, ta ciągła, irtujująca poza na wielkość, ten brak stateczności, ten wdzięk, ta melancholia, ta nieobliczalność (...) to cechy polskie i Wisły”.

**Niby geograficzną granicą Europy i Azji jest Ural, ale według niektórych tą kulturowo-cywilizacyjną granicą jest właśnie linia Wisły.**

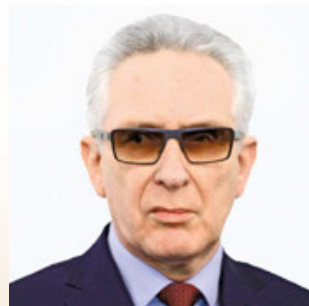
Pisali o niej już podróżnicy w XVII w. Można długo rozmawiać, co było powodem tego, że ziemie leżące na zachód od Wisły były bogatsze niż te na wschodzie. Kluczową rolę odgrywali ludzie, którzy potrafili się lepiej zorganizować i stworzyć sprawniej działające instytucje. Faktem też jest, że podział na Polskę „A” i „B” również przebiega na granicy zaborów, czyli mniej więcej na linii Wisły.

**Rzeka w całości znalazła się w granicach Polski dopiero po drugiej wojnie światowej, co rozpoczęło najgorszy dla niej czas.**

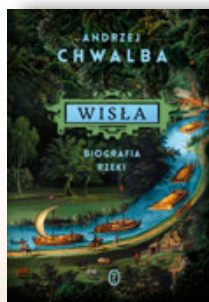
Niestety, pomimo że dzika Wisła ma zdolność samooczyszczania, postawiliśmy jej zbyt duże wyzwania, bo budowa nowego ustroju wymagała rozbudowy przemysłu. W latach 50. zakłady chemiczne w Oświęcimiu wypuściły do wody tak duże ilości odpadów chemicznych, że Wisła do Gdańska płynęły ławice martwych ryb. Negatywnie na stan środowiska wpłynęły też elektrownie nadwiślańskie i huta im. Lenina. Elektrownie w Kozienicach i Połańcu nadal zrzucają do rzeki ciepłą wodę, co podnosi jej temperaturę, szkodząc jej ekosystemowi. Jednocześnie świadomość potrzeb rzeki wzrasta i podejmowane są różne udane próby jej ratowania i renaturalizacji. Na przykład udało się reintrodukacja łososia, a fakt, że 10 czerwca pod Wawelem ktoś złowił ważącego 80 kg i mierzącego 230 cm suma, dowodzi, że może wracają lepsze czasy dla Wisły. Co prawda cały czas wisi nad nią zawieszona na czas pandemii decyzja władz Unii Europejskiej, które chcą ją wyprostować i połączyć ze śródlądowymi kanałami żegludowymi.

Motywacja jest słuszna – transport rzeczny jest bardziej ekologiczny i ekonomiczny, ale to rykoszetem uderzy w jedną z ostatnich dzikich rzek Europy. Jeśli mogę jako obywatel Polski zabrać w tej sprawie głos, to apeluję, by zachować Wisłę taką, jaka jest.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA KRZEMIŃSKA



**Prof. Andrzej Chwalba** jest historykiem zajmującym się XIX w., historią najnowszą i dziejami Krakowa. Autor wielu książek, w tym uhonorowanej Nagrodą Historyczną POLITYKI: „III Rzeczpospolita. Raport specjalny” i nominowanego do niej „Krakowa w latach 1945–1989”. Jego najnowsza książka „**Wisła: biografia rzeki**” właśnie ukazała się w Wydawnictwie Literackim.





na ekranie

## Chory na przeszłość 4/6

**Nostalgia**, reż. Mario Martone, prod. Włochy, Francja, 117 min

**T**ęsknota za utraconą przeszłością to żelazny temat wielu niezapomnianych dzieł sztuki. W szczególności kino upodobało sobie ten rodzaj gry z wyobraźnią. Sprawdza się w opowieściach o romantycznej miłości, emigracji. Czasami pojawia się w ujęciu religijnym, np. w twórczości Terrence'a Malicka albo mitycznym – jak w „Dawno temu w Ameryce”. W dramacie psychologicznym Włocha Mario Martone nostalgia stanowi wielką, destrukcyjną siłę, swego rodzaju chorobę umysłową – zaburzenie niepozwalające widzieć rzeczywistości we właściwych proporcjach. Zakłócające prawidłową ocenę wydarzeń, odsuwające w cień zagrożenia wywołane konsekwencjami dawnych czynów. Najważniejszy okazuje się idealizm, przywiązanie do miejsca, miłość do siebie i wiernych przyjaciół sprzed lat, które w oczach protagonisty trwają niezależnie od upływu czasu.

Dramat psychologiczno-rozliczeniowy Martone opatrzone jest mottem zaczerpniętym

z Pasoliniego: „Poznanie bierze się z nostalgii”, co w tym wypadku należy odczytywać raczej jako ironię. Ślepotą 55-letniego bohatera – oczywiście niedostłowna – powracającego po 40 latach do rodzinnego Neapolu, polega na jego uporczywym trzymaniu się naiwnej wersji świata, jak gdyby nic się nie zmieniło od momentu jego tragicznej młodości, gdy jako 15-latek, zamieszany w kradzież i zabójstwo, podjął decyzję o ucieczce za granicę. Zafiksowanego na punkcie lojalności, więzów krwi i braterskiej przyjaźni mężczyźni gra **Pierfrancesco Favino**, gwiazda „Zdrajcy” Marca Bellocchia, gdzie wcielił się w postać o zgoła odmiennym usposobieniu: gwałtownika donoszącego na mafię, by ratować własną skórę. W „Nostalgii” nie tylko jego kreacja zasługuje na podziw, świetnie są też zdjęcia obrazujące złudne nadzieje przypisane dzielnicy Rione Sanità, obszarowi nękanemu biedą, strachem przed kamorą i systemowymi zaniedbaniami włoskiego rządu.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

w telewizji

## Wróg czy przyjaciel? 4/6

**Tajna inwazja** (Secret Invasion), twórca serialu: Kyle Bradstreet, Disney+, 6 odc.

**K**ino superbohaterkie coraz częściej łapie zadyszkę, lecz przynajmniej seriale wciąż pozwalają na gatunkowe i formalne eksperymenty. W „Tajnej inwazji” osi fabuły jest plan przejścia Ziemi przez kosmiczną rasę zmiennokształtnych Skrullów: serią prowokacyjnych zamachów obcy chcą doprowadzić do wojny między Stanami Zjednoczonymi a Rosją, a w konsekwencji do zagłady ludzkości. Jedyną osobą, która może powstrzymać konflikt, jest Nick Fury (**Samuel L. Jackson**), który nie chce angażować do walki Avengersów, bo sam ma ze Skrullami rachunki do wyrównania.

Scenariusz nie przypomina typowej superbohaterkiej awantury: nie ma tu walczących ze sobą herosów w pelerynach, zaś akcja przypomina raczej posępny i chwilami zaskakująco brutalny kryminał szpiegowski – twórcy za wzór stawiali zresztą nie tyle oryginalny komiks, ile powieści Johna le Carrégo i serial „Homeland”, mocno wymieszane z licznymi teoriami spiskowymi. „Tajna inwazja”, gorzka i niemal całkowicie wyprana z humoru, jest zatem odbiciem niespokojnych czasów, metaforą opartej na insynuacjach, półprawdach i terrorze polityki międzynarodowej, zanurzonym w mroku obrazem świata, w którym często trudno odróżnić przyjaciół od wrogów. Trudno jednoznacznie ocenić całość po dwóch dostępnych jak dotąd odcinkach, lecz wydaje się jedną z najciekawszych wśród ekranizacji komiksów Marvela. Nie zwiastuje raczej zmiany w całym filmowym uniwersum, lecz przynajmniej próbuje uciec od powtarzanych do znudzenia schematów.

JAKUB DEMIAŃCZUK

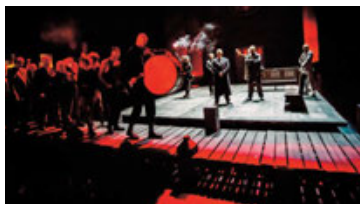


## Morskie opowieści 4/6

Benjamin Britten, **Peter Grimes**, reż. Mariusz Treliński,  
Teatr Wielki – Opera Narodowa

Premiera pierwszej opery Brittena jest zarazem ostatnią wspólną realizacją Mariusza Trelińskiego i Borisa Kudlički – scenograf, współautor wszystkich spektakli dyrektora artystycznego Opery Narodowej (poza debiutem) i współpracownik innych znanych reżyserów zamierza teraz zająć się przede wszystkim architekturą. Współpraca z Trelińskim trwała niemal ćwierć wieku i rozpoczęła się pamiętną „Madame Butterfly” Giacomo Pucciniego, grywaną do dziś. „Peter Grimes” ma wiele wspólnego z nią, są tu wręcz ukryte aluzje do tamtego spektaklu. Chociaż zarówno tematyka, jak i muzyka obu dzieł są całkowicie od siebie odmienne, jedno je łączy: morze. W „Butterfly” domyślnie płynące w tle, co widać było w przesuwających się okrętach, w „Grimesie” również tło jest w ciągłym ruchu, ale z wodą tym razem intensywnie obecna na dużej urody filmach Bartka Maciasa robionych z drona, wyświetlanych na dużych ekranach. Pierwsze dwa akty, nietypowo jak na tego reżysera, są realistyczne, z dekoracjami minimalistycznie prostymi. Dopiero w trzecim akcie mamy parę obrazów, o których szybko chcemy zapomnieć; finał jednak wraca do wcześniejszej poetyki. Pod względem muzycznym spektakl jest znakomity. Michał Klauza już po raz kolejny, po „Billym Buddzie”, pokazuje, że Britten to jego żywioł. Świetny jest też chór, a obsada solistyczna wyrównana, choć wyróżnia się Peter Wedd w roli tytułowej. Jego bohater jest zarazem figurą Innego i zwyczajnym członkiem społeczności, który może postąpić źle, a może po prostu miał pecha.

DOROTA SZWARCMAN



## Rodzinny teatr 5/6

**Pewnego długiego dnia**, na podstawie „Zmierzchu długiego dnia”  
Eugene’a O’Neilla, reż. Luk Perceval, Stary Teatr w Krakowie

Luk Perceval, pochodząca z Belgii gwiazda europejskiego teatru, wraca do sztuki O’Neilla, którą wystawił w 2019 r. w Schauspiel Köln, i do Krakowa, gdzie (w koprodukcji z TR Warszawa) dwa lata temu wyreżyserował „3Siostry”. Klimat obu polskich spektakli jest melancholijny, scenografia minimalistyczna, w centrum stoi nieszczęśliwa rodzina i życie złudzeniami. W obu też mamy zewnętrzną perspektywę, różnica polega na tym, że wynajęta do zarządzania domem Tyrone’ów Cathleen (Paulina Kondrak) jest znacznie bardziej wyrozumiała dla słabości bohaterów niż Ukrainka Natasza w „3Siostrach”. Zapisana u O’Neilla rodzina psychodrama, w której miłość łączy się z przeroszonymi z pokolenia na pokolenie traumami, z pretensjami i poczuciem winy, zagłuszonym używkami, samooszukiwaniem się i (auto)agresją – daje aktorom duże pole do popisu. Co krakowski kwintet, na czele z grającymi rodziców **Małgorzatą Zawadzką** (na zdj. z Łukaszem Stawarczykiem) i Romanem Gancarczykiem, wykorzystuje z nawiązką. Z drugiej strony napisana w 1956 r. sztuka mocno się zestarzała, Perceval to widzi i ratunku szuka w minimalizmie. Scenografia to biały ekran, aktorzy wychodzą z za niego na scenę, na której znajduje się jedynie fotel. Aktorstwo też jest oszczędne – psychologiczne, ale z lekkim dystansem, jakby podkreślającym, że rodzina to na pewnym poziomie teatr, w którym odgrywamy stałe, nierzadko męczące role.

ANETA KYZIOŁ



## w galerii

### Historyczny hit 4/6

**Matejko. Malarz i historia**, Muzeum Narodowe w Krakowie,  
do 7 stycznia 2024 r.

Otwarta niedawno we Wrocławiu wystawa „Pocztu królów polskich” Matejki okazała się ledwie supportem przed hitem sezonu: ekspozycją, którą przygotowano w rodzinnym mieście artysty. Skazaną na sukces, bo trzyma się starej i sprawdzonej zasady inżyniera Mamonia: „Mnie się podobają melodie, które już raz słyszałem”. Wróżę więc hit. Tym bardziej że zrezygnowano z jakichkolwiek eksperymentów, decydując się na ekspozycję godną Mistrza Jana: dostojną, poważną, tradycyjną w każdym calu. A przede wszystkim mającą uwieść widza skalą, co zapewni ponad 300 zgromadzonych eksponatów. Są wśród nich te najbardziej znane i lubiane, jak „Kazanie Skargi”, „Rejtan” czy „Stańczyk”. Ale też mnóstwo nieopatrzonych, często pochodzących z prywatnych zbiorów. A poza tym cała ta monograficzna otoczka: listy, szkice, rysunki, dokumenty, fotografie. I ciekawostka: kolekcja historycznych obiektów ze zbiorów Matejki, służących mu też za życia jako rekwizyty przy tworzeniu. Czy dzięki wystawie da się powiedzieć coś nowego o dorobku artysty? Poza tym, że był najwybitniejszym w naszej historii reprezentantem malarstwa historycznego,



Jan Matejko, „Stańczyk w czasie balu na dworze królowej Bony wobec straconego Smoleńska”, 1862 r. Twarz błazna jest autoportretem malarza.

ze świetnym warsztatem, zafascynowanym przeszłością, o której opowiadał za pomocą pędzla? Raczej niewiele. Ale przecież nie chodzi o to, by dokonywać teraz rewizji dawno ustalonych ocen, ale raz jeszcze pozachwycać się epickim rozmachem jego wizji.

PIOTR SARZYŃSKI

książki Fragmenty książek na stronie: [www.polityka.pl/czytelnia](http://www.polityka.pl/czytelnia)

## Windą na szafot 5/6

Colson Whitehead, *Intuicjonistka*, przeł. Rafał Lisowski, wyd. Albatros, Warszawa 2023, s. 350

**S**ukces nagrodzonej Pulitzerem i National Book Award „Kolei podziemnej” przyćmił nieco wczesny dorobek Colsona Whiteheada, tymczasem w Stanach Zjednoczonych już jego debiutancka powieść przyniosła mu spore uznanie. „Intuicjonistka” – alternatywna wizja rzeczywistości, w której rozwój cywilizacji umożliwiło wynalezienie nowoczesnych mechanizmów windowych – rzeczywiście była zwiastunem literackiego talentu. W zabudowanym drapaczami chmur bezimiennym mieście najważniejszym wydarzeniem są wybory prezesa Gildii Inspektorów Dźwigów: pole starcia przywiązanych do tradycji empirystów oraz nowoczesnych intuicjonistów, którzy zamiast badać mechanizmy wind, starają się je wyczuć i nawiązać psychiczną więź z maszynami. Wyborcza



## Cena maskowania 4/6

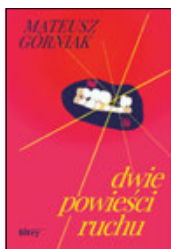
Ewa Furgał, *Autentyczna w spektrum*. Jak odnalazłam siebie w spektrum autyzmu, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2023, s. 240

**E**wa Furgał pisze książkę o ze-spole Aspergera tylko dla dziewczyn i dorosłych kobiet – oraz ich rodziców, opiekunów, partnerów i przyjaciół. Opowiada o diagnozie, o tym, jak samej z aspergerem sobie poradzić. Wszystkie fragmenty naukowe, obiektywne, rekapitulujące stan badań czy kierunki zmian w diagnozowaniu, uzupełnia o przyjemne przykłady, odnosi do własnego życia, wspiera osobistym doświadczeniem. Tę książkę, poradnikową i autobiograficzną zarazem, odróżnia od innych publikacji niesłychanie łagodny i intymny ton, jakim operuje autorka – badaczka, historyczka, feministka. Własne doświadczenia, kolejne terapie związane ze źle postawionymi wcześniej wskazaniami, późna diagnoza w wieku 36 lat, stopniowe oswajanie się z aspergerem, sprawy, że Furgał ma misję niesienia pomocy innym kobietom. Ta perspektywa feministyczna jest szczególnie ważna przy spektrum, bo jednym z głównych objawów u kobiet jest maskowanie, przystosowywanie poprzez obserwację otoczenia, którego ceną jest olbrzymi wysiłek psychiczny, depresja, wypalenie, zespół stresu pourazowego. Furgał przytacza historie kobiet zdiagnozowanych w dojrzałym już wieku, to często osoby spełnione, prowadzące udane życie – matki, pracowniczki, osoby wykształcone, aktywne i zaangażowane w życie zbiorowości. Służą tu za przykłady dla innych, dają wsparcie. Ale te ich historie mają też pokazać szkodę wyrażaną przez krzywdzące epitety – że są głupie, leniwe, niezdarne, nieogarnięte. I właśnie Furgał swoją książką pozwala te wszystkie łąty odrzucić.

PAULINA MAŁOCHLEB

walka zaostrza się po upadku jednej z wind – oskarżenia o tragedię padają w kierunku intuicjonistów, a zwłaszcza Lili Mae, nie tylko jednej z nielicznych inspektorek w Gildii, lecz również jedynej czarnej kobiety na tak wysokim stanowisku. Whitehead od początku chętnie flirtował z literaturą gatunkową. „Intuicjonistka” jest intrygującym, nawet jeśli czasami nieco hermetycznym, połączeniem fantastyki bliskiego zasięgu, czarnego kryminału i zjadliwej satyry politycznej. Lecz przede wszystkim to inteligentna metafora współczesnej Ameryki, filozoficzna refleksja na temat rasy, konfliktów klasowych i awansu społecznego. Choć w oryginale była wydana blisko ćwierć wieku temu, teraz, w czasach ruchu Black Lives Matter, jedynie zyskuje na aktualności.

JAKUB DEMIAŃCZUK



## Tarapaty i piratki 4/6

Mateusz Górniak, *Dwie powieści ruchu*, wyd. Filtry, Warszawa 2023, s. 190

**J**estem człowiekiem tarapatów i podążam drogą usłaną tarapatami” – mówi o sobie bohater pierwszej opowieści z książki Mateusza Górniaka. W głośnym debiucie, książce „Trash Story” oddał głos sprzętom domowym i kreskówkom. Podobne zrównanie głosów odbywa się w „Chacie takiej z drewna”, pierwszej z dwu opowieści, w której głos mają Bohater, piratki Mucha i Mała, ale też Fura, którą jadą w podróż

i którą karmią na stacjach benzynowych. Bohater wypisuje się ze świata „normalnych”, wybiera tarapaty, przygody i bezcelowość. Istotą tej podróży jest sam ruch. Wszystko to dzieje się w języku aluzyjnym, zaczepnym, w którym poezja Andrzeja Sosnowskiego łączy się z kinem Nowej Fali. Zdania układają się w poemat drogi kontestujący rzeczywistość. „Nomadka” to z kolei opowieść o dziewczynie, która wędruje po mieście ze wzmacniaczem pod pachą. Obserwuje ludzi w kawiarni, rozmawia z koleżankami, wszystko w tonacji tak pozytywnej, że aż staje się to podejrzanym. Górniak lepi tę przewrotną opowieść z pustki, nudy życia i pozoru komunikacji. Dwie opowieści przeglądają się w sobie: pierwsza, pełna śmierci, ma w sobie jednak energię ruchu, a w drugiej, z pozoru pełnej entuzjazmu, jest jakaś podszywka grozy. Górniak pisze brawurowo, ale miejscami można też mieć wrażenie, że opowieść staje się workiem na wszystko. Chociaż są tu fragmenty kapitalne, więc kiedy Bohater mówi „wstaję rano i rzeczywistość się do mnie łąsi”, to mu wierzymy.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

## do słuchania

### Na wakacyjne odjazdy

**K**onwencja westernu, gwiazdorska obsada oraz muzyka tria rodu Waglewskich – oto czym wabi słuchaczy „Miasteczko Brighthope”,



nowe słuchowisko serwisu Storytel. Tytułowa mięścina miała być azylem dla szukających drugiej szansy i spokojnego życia w chaosie Dzikiego Zachodu, a stała się areną wojny agentów Pinkertona pod wodzą bezwzględnego łowcy głów i groźnego przywódcy gangu, pomiędzy którymi stanął lokalny, prawy i sprawiedliwy szeryf. Główne role wokalnie kreują Bartosz Bielenia, Wojciech Meczaldowski, Borys Szczygiła i Osi Ugonoh, jako barman Duży Ben partneruje im aktor Teatru 21 Michał Pężyński, a narratorem tej historii jest Jan Frycz.

Audioteka, Publio oraz podcasty autora). Oba z wyczuciem czyta Maciej Stuhr.

### Dział zagraniczny,

świetny podcast z ironicznym podtytułem „Polskiego czytelnika to nie interesuje”, nawiązującym do popularnej w mediach teorii, za chwilę dobieje do 190. odcinka. Jego twórca, dziennikarz Maciej Okraszewski, w kolejnych, cotygodniowych odsłonach swojej audycji rozmawia z ekspertkami i ekspertami o sprawach politycznych, społecznych i kulturowych, pokazując świat z mniej znanych perspektyw. Z najnowszych odcinków można się m.in. dowiedzieć, jak wielkie wycieczkowiec wpływają na nowokaledońską Wyspę Sosen, jak soja zmieniła Paragwaj, a wprowadzenie urlopów menstruacyjnych – Hiszpanię.



**M**irosław Mini-szewski w ostatnim czasie był przede wszystkim jednym z aktywistów społecznych ratujących od śmierci imigrantów na granicy polsko-białoruskiej. Ale ten doktor filozofii i wykładowca akademicki, który zamienił miasto na podlaską wieś, jest też autorem opowiadań. W satyrycznej, humorystycznej, zaskakującej i nierzadko dosadnej formie od reagowuje w nich rzeczywistość, od kilku lat tyleż opresyjną, co groteskową. Cykl „Różnia i inne opowieści ze wsi obok” to kontynuacja „Opowieści ze wsi obok” (m.in.



### Arrival” Abby

z 1976 r., „Cała jesteś w skowronkach” Skaldów z 1969 r., „The Miseducation of Lauryn Hill” z 1998 r., debiutancki krążek Oddziału Zamkniętego z 1983 r., czy „Justified” Justina Timberlake’a z 2002 r. – autorzy podcastu **Płytkast**, Kuba Ambrożewski, Borys Dejnarowicz i Michał Hoffmann, każdy odcinek poświęcają omówieniu jednego ważnego albumu, utwór po utworze, z tekstami, odwołaniami, cytatami i zaproszonymi gośćmi. Odcinki ostatnio dobijają do 3 godzin, więc sprawdzą się jako ścieżka dźwiękowa do wakacyjnych podróży. AK



## na płycie

### Łabędzi krzyk 5/6

Swans, **The Beggar**, Young God Records

**N**owa płyta Swans zawsze jest potencjalnie ostatnia – zespół kierowany jest od lat jednoosobowo przez Michaela Girę i trudno przewidzieć, kiedy zawiesi lub zakończy działalność. Niby krzepiący może być ostatni wywiad Giry dla polskiego magazynu „Lizard”, w którym lider przyznawał, że na powrót do malowania domów (którym się jakiś czas zajmował) jest już za stary. Ale pożegnalny i rozliczeniowy charakter płyty – w warstwie instrumentalnej tradycyjnie transowej i podniosłej, choć paradoksalnie pogodniejszej w brzmieniu – podkreślają teksty. Od „Michael Is Done” („Michael już skończył”) po „No More Of This” („Koniec z tym”), gorzkich, z perspektywą pogodzenia się z mniejszą czy większą apokalipsą. „The Beggar” łączy zalety ostatnich albumów Swans i bardziej akustycznej, folkowej twórczości Giry w Angels Of Light. Zaletą tej muzyki jest jak zwykle to, że do nikogo się nie zaleca. W swoim chłodzie i brutalnej sile jest szczerą. Uwaga dla kupujących fizyczne wersje płyt: 43-minutowa (!) kompozycja „The Beggar Lover (Three)” jest tylko w wersji CD. A to najdziwniejszy i najbardziej złożony utwór w całej dyskografii Swans – przynajmniej jak na razie. Choć oczywiście wszystko wskazuje na to, że na zawsze.



BARTEK CHACIŃSKI

© DAVID LEVENSON/GETTY IMAGES, MPF (8)

REKLAMA

Jazz  
Around  
Festival

21-22.07.2023

MCK/NO SPR / Katowice



CORY WONG

JACOB BANKS

BENJAMIN CLEMENTINE



THE COMET IS COMING

21.07

INCOGNITO · THE COMET IS COMING · STEPHEN DAY  
DOROTA MIŚKIEWICZ FEAT. HENRYK MIŚKIEWICZ  
MABASO & KUBA BADACH · OLE BØRUD  
MAREK NAPIÓRKOWSKI OKTET STRING THEORY  
KŁAWO · AFTER 'OURS · MYCHELLE · US09001

22.07

JACOB BANKS · CORY WONG · BENJAMIN CLEMENTINE  
BROOKLYN FUNK ESSENTIALS · THEO CROKER  
MONIKA BORZYM · MONONEON · MÖRK  
TERTIA MAY · CANDLELIGHT FICUS  
KASIA PIETRZKO TRIO / MACIEJ KĄDZIĘLA  
/ ANDRZEJ CHYRA „NORWIÐ”

WWW.JAZZAROUND.PL

@f /JAZZAROUNDFESTIVAL



• Tadeusz Boruta „Ecce Homo”, 1986 r.

## Pan bez zmian

W Kielcach przed zwierciadłem sztuki stanął polski mężczyzna ostatnich stu lat. Ale to lustro słabo odbija rzeczywistość, a doskonale – stereotypy.

PIOTR SARZYŃSKI

**W**

ramach nadrabiania błędów przeszłości masowo proponuje się dziś raczej wystawy kobiet i poświęcone kobietom, więc pewną odwagą jest odwołanie się do narracji z męczyzną jako bohaterem. Ale też takie wyzwanie niesie spore ryzyko utrwalania konwencji, sztanc i historycznie ukształtowanych wizerunków. I tej pułapki nie

uniknęli także kuratorzy kieleckiej ekspozycji „Polski mężczyzna 1910–2010” w Muzeum Narodowym w Kielcach. Trzeba jednak przyznać, że mieli wyjątkowo trudne zadanie, bo lustra mocno

zmaskulinizowanej sztuki ostatniego wieku raczej nie sprzyjały obrazom wiernie odbijającym rzeczywistość.

Zacznijmy od czegoś może marginalnego, ale charakterystycznego: autoportretów. Ich niedoścignionym mistrzem był Jacek Malczewski, który malował samego siebie nie tylko bardzo często, ale zawsze w pozach dumnych, strojach szlachetnych (często w zbrojach), minach poważnych. I w Kielcach nie zabrakło takiego konterfektu, podobnie zresztą jak i wielu innych, w których nie ma miejsca na słabości i niedoskonałości. Stanisław Janowski, który sportretował siebie w okopach, wygląda, jakby wybierał się na bal, a nie do ataku: mundur wyprasowany, włosy uczesane, białe mankiety aż lśnią, między palcami niedbale nonszalancko papieros. Wizerunek przede wszystkim.



- Roman Kramsztyk, „Autoportret” lata 20. XX w.
- Władysław Lam, „Bojki przy wódce”, 1932 r.,
- Maria Papa Rostkowska, „Portret traktorzysty Jana Jarosza przodownika pracy PGR Kolibki”, ok. 1951 r.

### Salonowcy międzywojnia

Podobnie na tej wystawie prezentują się niemal wszyscy mężczyźni międzywojnia. Wędrując z sali do sali, można odnieść wrażenie, że męska część społeczeństwa polskiego składała się wówczas z profesorów, pisarzy, ziemian, arystokratów, przedsiębiorców i artystów. Zadbanych, o starannie przystrzyżonych włosach, a niekiedy i brodach, z głębią Rowu Mariańskiego w spojrzeniach i mądrością rozlewającą się po wypielęgnowanych twarzach. Ich atrybuty to fajki, książki, czasem strzelby, konie i cylindry. Chłopi pojawiają się nieczęsto, jako element folkloru. A to rozczochrany wieśniak pozuje z kogutem (Eliasz Kanarek), a trzej inni chleją wódkę (Władysław Lam). Brak tych wszystkich, może czasem nieco uładzonych, wizerunków mężczyzn na wsi z obrazów Jana Rembowskiego, Kazimierza Sichulskiego, Włodzimierza Tetmajera czy Wlastimila Hofmana. Klasy robotniczej trudno uświadczyc, podobnie mieszczaństwa. Międzywojnie mężczyźni to zdecydowanie salony i niekiedy artystyczne pracownie.

A później przychodzi wojna i wszystko, w co mężczyźni wniknęli: emigracje, podziemie, walkę o przetrwanie, ale też denuncjowanie ukrywających się Żydów. W życiu niekiedy heroiczne, niekiedy podłe. Jakież ślady na wystawie? Jedyne estetyzujący portret pary bosych Żydów zebranych ulicznym graniem autorstwa Jerzego Krawczyka. Nawiasem mówiąc, pierwsza wojna światowa także została na wystawie ledwie zaznaczona: patriotycznym obrazkiem wielkopolskich powstańców przed gmachem Bazaru w Poznaniu (Leon Wróblewski). W kraju, w którym walka (wojny, powstania) od stuleci kształtowała wizerunek mężczyzny, nagle w XX w. staje się marginalna, przynajmniej w narracji wystawy.

Po 1945 r. mężczyźni polski ma – dość to przewidywalne, a nawet niebezpiecznie stereotypowe – twarz robotnika, traktorzysty, brukarza, kamieniarza. Słowem, budujemy socjalizm i wydaje się, że poza sojuszem robotniczo-chłopskim, wspartym niekiedy autorytetem działacza partyjnego („Portret Towarzysza O” Alfonsa Karpińskiego, tego samego, który przed wojną malował ▶



- Eugeniusz Mucha, „Ojciec”, 1987 r.
- Łukasz Korolkiewicz, „Zbawienna nicość”, 1981 r.



• Jerzy Duda-Grac, „Portret aktora Kazimierza Rudzkiego”, 1978 r. • Edward Dwurnik, „Odpoczynek na moło”, 1972 r.

► piękne kobiety i kwiaty). Nie ma miejsca nawet na – tak modnych w ostatniej dekadzie – żołnierzy wyklętych, których przecież seriami upamiętnia związany z Kielcami (!) Ignacy Czwartos. A później mamy skok w lata 70. i wysyp mężczyzn delikatnych, smutnych, wrażliwych, może nawet wewnętrznie rozderganych, znajdujących się na przeciwnym końcu wobec ich ojców sprzed dwóch dekad, którzy bez powątpiewania budowali socjalizm.

Pokazywanym w Kielcach obrazem, który uchodzić może za symbol owej specyficznej, bo ciągle bardzo delikatnej, dekonstrukcji tradycyjnych wizerunków mężczyzny, jest „Blues egzystencjalny” Olgerda Bierwiazonka przedstawiający zamyślonego barda z gitarą. Ale ów nastrój nostalgii odnajdziemy w wielu innych obrazach, jak choćby u Andrzeja Macieja Łubowskiego („Kładka”), Teresy Miszkin („Alienacja”), Zbysława Marka Maciejewskiego, Łukasza Korolkiewicza czy Andrzeja Okińczyca. Niekiedy ów portret psychologicznego wycofania podkolorowany zostaje symbolicznym maźnięciem polityki, jak u Zbysława Grzywacza w pracach „Między niebem a ziemią rozpięty” oraz „Zygmuntowska”.

### Męskość jako problem

Wydawało się, że kuratorka wystawy Iwona Rajkowska złapała właściwy trop realnego życia, włączając do ekspozycji obrazy Edwarda Dwurnika i Jerzego Duda-Gracza – artystów, którzy jak nikt inny potrafili brutalnie ukazać prawdziwą naturę



• Andrzej Okińczyk „Autoportret za szybą dymną”, 1983 r.

polskości-męskości w jej prowincjonalnej, podmiejskiej, mało wzniosłej, powszechnej odsłonie. Niestety, na nazwiskach dobry pomysł się skończył, bo już dobór prac okazał się nietrafiony. Duda-Gracz prezentowany jest portretem wytwornego i będącego zawsze symbolem dobrych manier aktora Kazimierza Rudzkiego oraz lekko autoironicznym autoportretem. A przecież pozostawił po sobie całe mnóstwo prac (serie „Motywy i portrety polskie” czy „Obrazy prowincjonalno-gminne”) będących karykaturalnymi scenkami obyczajowymi z życia społeczeństwa polskiego czasów PRL, groteskowymi obrazami narodowej głupoty, lenistwa, chamstwa, cwaniactwa.

Podobnie Dwurnik z rewelacyjnym, przenikliwym cyklem „Sportowcy” (nazwa nie dotyczy sportu, ale najtańszych niegdyś papierosów marki Sport), którego choćby skromnej reprezentacji na wystawie nie uświadczymy.

Czego na tej wystawie brakuje najbardziej? Chyba namysłu nad rzeczywistą ewolucją męskości w XX w. Po części wynikającą z naszych narodowych, specyficznych uwarunkowań, po części z tego, jak zmieniały się standardy cywilizacji. Arthur Schlesinger w książce „The Crisis of American Masculinity” pisał: „Dzisiaj mężczyźni są coraz bardziej świadomi męskości nie jako faktu, ale jako problemu”. A zatem przede wszystkim powolne, ale nieustanne kruszenie się tradycyjnych wzorców męskości, owych modeli macho, bojownika, łowczego, playboya, ale też głowy rodziny, rozjemcy,

niemal wyłącznego dysponenta pojęcia „kariera” itd. Dwie światowe wojny sprawiły, że ze względu na brak mężczyzna kobiety stały się bardziej samodzielne. Stąd już prosta droga do tego, by dawny etos i mit został wypchnięty przez feminizm, postępującą równość płci, upowszechnienie się przekonania, że bez mężczyzn też można sobie radzić.

Kobiety stały się bardziej „męskie” (dostęp do zawodów, moda, spędzanie wolnego czasu), a mężczyźni bardziej „kobiecy” (udział w wychowaniu dzieci, podążanie za modą). Kultura masowa jest dziś suflerem wzorców płci, raz orbitujących w stronę androgynizmu, kiedy indziej brodatego drwala. Coraz śmielej upubliczniane są postawy nieheteroseksualne. Gorączkowo walczą się również o społeczną rangę, co przybiera choćby postać dbałości o fizyczną tężyznę czy seksualną sprawność. A przecież do tego dochodzi całe spektrum problemów obyczajowych i kulturowych, jak przemoc w rodzinie, zmiany mechanizmów robienia kariery, zmiana ról społecznych ojca i dziadka. W Polsce można by jeszcze dorzucić tradycyjne zderzenie kultur: z jednej strony tradycyjnej, sygnowanej przez Kościół, z drugiej nowoczesnej, czerpiącej ze współczesnej cywilizacji Zachodu. Słowem, byłoby co pokazywać.

### Płytką jak brodzik

Niestety, w Kielcach owe rewolucje, które przeorały męskość, niemal się nie pojawiają. Wystawione lustro jest tak ustawione, że ich nie odbija, nie dostrzega. Pytanie, które może więc nurtować odbiorcę, dotyczy tego, czy to kuratorce można zarzucić grzech zaniechania i powierzchowności, czy też taka po prostu była ta polska sztuka minionego stulecia, pozbawiona umiejętności diagnozowania przemian i rzeczywistych problemów, płytka jak brodzik? O ile z dorobku przedwojennego w kwestii wizerunku męskości niewiele dałoby się wycisnąć, o tyle w sztuce czasów powojennych można znaleźć o wiele więcej dzieł świadczących, że twórcy dobrze diagnozowali, a przynajmniej sygnalizowali ową nową męskość.

Przykłady? Proszę bardzo. Zabrakło świata łączącego metafizykę z brutalną rzeczywistością polskich przedmieść w malarstwie Tercetu Nadętego (Janusz Szpyt, Piotr Naliwajko, Leszek Żegałski). Przydałaby się reprezentacja Grupy, w której praktycznie każdy z artystów interesująco odnosił się do pola minowego

męskości, by wspomnieć choćby „Chleb, masło i marmelada, to molekule naszego człowieczeństwa” Ryszarda Grzyba czy „Samotność Arnolfinich albo okrutne kobiety i łagodni mężczyźni” Pawła Kowalewskiego. Zabrakło mi bezradnej polskiej starości w obrazach Józefa Panfila czy tłumionego wątku gejowskiego (a powstała przecież wyśmienita książka „Art pride. Polska sztuka gejowska” Pawła Leszkowicza, stanowiąca świetną ściągawkę, po czyje prace sięgnąć).

Jednak najbardziej chyba brakuje uwzględnienia perspektywy, jaką swego czasu wprowadziła sztuka krytyczna. Wprawdzie związani z nią artyści starali się prześwietlać uniwersalne reguły budowania tożsamości płciowej i mechanizmy ról społecznych, ale wiele z nich jak ulał pasowało także do tego polskiego mężczyzny. Myślę o pracach Katarzyny Kozyry („Łaźnia męska”), Artura Żmijewskiego („Kompania Reprezentacyjna Wojska Polskiego”), Zbigniewa Libery („Urządzenia korekcyjne”) i wielu innych. Zabrakło też świadomości, że męskość to problem kontekstowy wobec kobiecości, ale też polityki, ekonomii, historii, tradycji itd.

Lustra sztuki można było poustawiać na tej wystawie lepiej, tak by odbijały męską rzeczywistość pod różnym kątem, w różnych konstelacjach. Ale jakkolwiek by się trudziła kuratorka wystawy, trudno nie odnieść wrażenia, że sztuka przegrywa tu z innymi polami twórczości. Ot, choćby z filmem, który potrafił (fakt, że niekiedy z pomocą literatury) wykreować i – co najważniejsze – utrwalić w powszechnej świadomości społeczeństwa całą męską galerię osobowości. Od postaci skomplikowanych twardzieli, jak Henryk Kwinta czy Franz Maurer, przez wszelkiej maści cwaniaczków, jak Nikodem Dyzma czy Ryszard Ochódzki, po pechowców, niedorajdy, zagubionych w rzeczywistości, jak Jan Piszczek czy Adaś Miauczyński. A przecież byli jeszcze Franek Dolas, Maciej Chelmiński, inżynier Karwowski i wielu innych.

To jest dopiero zbiorowy portret polskiej męskości minionego stulecia. Sztuki piękne mogą tylko pozazdrościć. Co nie zwalnia ich z obowiązku, by się starać.

PIOTR SARZYŃSKI

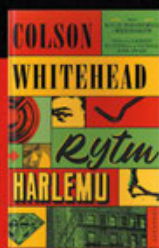
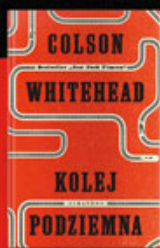
### Polski mężczyzna 1910–2010,

Muzeum Narodowe w Kielcach, wystawa czynna do 15 października.

REKLAMA

## Pierwsza powieść dwukrotnego laureata Nagrody Pulitzera, zdobywcy National Book Award oraz Nagrody im. Arthura C. Clarke'a.

Paraboliczna przypowieść w duchu dystopijnej science fiction, która po raz pierwszy zwróciła uwagę na cenionego dziś pisarza.



WYDAWNICTWO ALBATROS



# Czarny scenariusz

Trwa największy od lat strajk scenarzystów. O co w tym proteście chodzi, jakie są jego skutki i dlaczego ma tak silne poparcie środowiska, także w Polsce?

JANUSZ WRÓBLEWSKI



Strajk scenarzystów przed wytwórnią Paramount Pictures, Los Angeles.

**O**dwołane produkcje, zmniejszona liczba realizowanych programów, straty liczone w miliardach dolarów to tylko niektóre konsekwencje trwającego od 2 maja strajku amerykańskich scenarzystów. Wiele emitowanych na żywo popularnych show zostało na czas strajku zawieszonych lub wraca w formie powtórek. Związki zawodowe zabraniają autorom nie tylko pisać w trakcie protestu, ale także przychodzić na plan i udzielać ustnych konsultacji. Zorganizowana w połowie czerwca gala wręczenia Tony, corocznych nagród przyznawanych gwiazdom Broadwayu, pierwszy raz w historii odbyła się bez scenariusza. Jeśli do końca wakacji nie uda się rozwiązać sporów pracowniczych, pod znakiem zapytania stanie również zaplanowana na 18 września ceremonia

przyznania telewizyjnych Oscarów, czyli nagród Emmy, transmitowana przez kanał Fox. Jak poinformował „New York Times”, przesunięcie grozi też datom premier niektórych oczekiwanych blockbusterów czy nowych sezonów popularnych seriali zatrzymanych obecnie na etapie prac scenariuszowych, np. „Stranger Things”.

**Bunt scenarzystów nikogo nie dziwi ani nie zaskakuje.** Był zapowiadany już sześć lat temu, lecz wciąż go odkładano, licząc na polubowne rozstrzygnięcie sporu między WGA (amerykańskim stowarzyszeniem zrzeszającym piszących na potrzeby przemysłu audiowizualnego) a AMPTP (pracodawcami, czyli hollywoodzkimi producentami reprezentującymi ponad 350 studiów i streamerów, w tym Netflix, Disney i Amazon). Cierpliwość skończyła

się w okresie pandemii. Wielu scenarzystów i scenarzystek straciło wtedy posady oraz środki do życia. Wzbogacili się natomiast właściciele platform streamingowych. Garstka hollywoodzkich prezesów zarabia obecnie łącznie prawie 800 mln dol. rocznie. A w krótkim czasie od 2017 do 2021 r. zarządzane przez nich firmy zarobiły na czysto 30 mld dol.

Koncerny odmawiały równocześnie płacenia godziwych wynagrodzeń swoim pracownikom. Kontrakty uwzględniające m.in. składki zdrowotne i emerytalne zastępowano umowami śmieciowymi. W ramach cięcia kosztów zredukowano specjalistów zatrudnionych w tzw. writer's roomach. Do ich obowiązków należy opracowanie zarysu fabuły, przebiegów wątków, zbudowanie charakterów głównych postaci, czyli stworzenie matrycy

rozpisemywanych później odcinków albo poprowadzonych fabułą.

Za nadgodziny, kolejne rundy rozmów, poprawianie czy udział dodatkowych osób – nie płacono. W rezultacie scenarzyści zaczęli wykonywać więcej pracy za minimalne wynagrodzenie przy znacząco obniżonym poczuciu bezpieczeństwa. Luki w finansach teoretycznie mogli zapłacić, odbierając tantiemy. Jednak w Stanach tantiemy ze streamingu nie są duże i luźno związane z tzw. oglądalnością, gdyż serwisy niechętnie dzielą się wiedzą na jej temat. Do tego należy dodać rosnące koszty utrzymania oraz szalejącą inflację, pogarszającą i tak już niełatwą sytuację.

„To walka o przyszłość Hollywood” – tłumaczy scenarzyści, którzy pierwszy raz od momentu zakończenia poprzedniego strajku mającego miejsce na przełomie 2007 i 2008 r. zdecydowali się upomnieć o swoje interesy. Wiadomo, że bez ich twórczego wkładu cały przemysł rozrywkowy, traktujący ich jak niskopłatną siłę roboczą napędzającą maszynę mającą pomnażać zyski giełdowych akcjonariuszy, nie miałby żadnej historii do opowiedzenia. W proteście bierze udział 11,5 tys. autorów zrzeszonych w WGA (więcej niż połowa wszystkich członków). Domagają się w pierwszej kolejności wyższych płac oraz zmiany warunków zatrudnienia. Postulaty finansowe obejmują żądanie wzrostu stawek minimalnych o 6 proc. w pierwszym roku, a w dwóch następnych po 5 proc. Jest też cała lista konkretnych propozycji mających na celu poprawę warunków pracy czy zwiększenia wielkości wypłacanych tantiem za eksploatację filmów w internecie, również z pomijanych do tej pory rynków zagranicznych.

**Kluczową, a zarazem najpilniejszą kwestię stanowi jednak ochrona praw związana z ekspansją sztucznej inteligencji.** Scenarzyści, podobnie jak ilustratorzy książek, muzycy, programiści, księgowi, lekarze i dziennikarze, obawiają się, że zostaną wkrótce zastąpieni przez generatywną AI. Do czasu wypuszczenia ChatGPT wielu artystów uważało to za abstrakcyjną ideę rodem z science fiction. Uświadomienie sobie konkretnych możliwości, jakie stwarzają tego typu aplikacje, wywołało szok i panikę.

Powszechna praktyka dziś jest taka, że każdy może wykorzystać AI do wyprodukowania dowolnego tekstu – i to bezpłatnie, czerpiąc z kreatywnej pracy innych. Algorytm działa tak, że w zależności od wrzuconych do systemu danych oraz dzięki nieustannemu samodoskonaleniu

jest w stanie wygenerować całkiem interesującą treść. Np. bazując na wszystkich dostępnych w domenie publicznej dziełach Jana Sebastiana Bacha, sztuczna inteligencja bez trudu potrafi skomponować doskonały utwór w stylu genialnego kompozytora, śmiało mogący uchodzić np. za jego zaginioną kantatę.

Napisanie powieści bazującej na pomysłach i dorobku uznanych twórców też nie powinno stanowić dla niej problemu. Wszystko zależy od ilości, a także jakości dostępnych danych, którymi algorytm mógłby się inspirować. W przypadku scenarzystów istnieje szczególnie obawa, że udostępnione teksty posłużą do trenowania sztucznej inteligencji, która następnie sprawi, że określony rodzaj pisania będzie dla nich nieopłacalny.

Sytuację, z którą borykają się teraz scenarzyści, przewidział „Joan is Awful”, pierwszy odcinek szóstej serii „Czarnego lustra” (Netflix), w którym firma medialna zajmująca się transmisją strumieniową wykorzystuje sztuczną inteligencję do tworzenia na żywo serialu na podstawie danych dotyczących intymnych szczegółów życia pewnej kobiety. Scenarzysta jest tu niepotrzebny, bo akcja filmu jest dosłowną kopią jej biografii. Zmieniona została tylko twarz bohaterki, którą odgrywa znana aktorka, ale też tylko używając twarzy – zastosowano bowiem technikę deepfake.

Fabułę „Joan is Awful” napisano i zrealizowano jeszcze przed uruchomieniem ChatGPT oraz przed Aktem o Sztucznej Inteligencji – przyjętymi w połowie czerwca przez Parlament Europejski pierwszymi na świecie regulacjami zabraniającymi wykorzystywania AI do szpiegowania i do praktyk o charakterze inwazyjnym prowadzących do dyskryminacji czy zwiększenia ryzyka bezpieczeństwa. Chodzi tu m.in. o identyfikację biometryczną w czasie rzeczywistym. Europa nie ogranicza rozwoju sztucznej inteligencji, dąży jedynie do tego, by wszelkie tworzone przez nią obrazy lub treści musiały być ujawnione jako takie. Zanim jednak regulacje o AI staną się obowiązującym prawem, euro-parlamentarzyści będą musieli je teraz dopracować w swoich krajach, a to może trochę potrwać.

W Stanach na razie się tylko o takich regulacjach dyskutuje. Tymczasem dla producentów, czyli wytwórni i platform streamingowych, AI stała się bezcennym narzędziem, dzięki któremu mogą oni wejść w posiadanie skryptu, nie ponosząc w zasadzie istotnych kosztów. Sztucznej inteligencji nie trzeba za nic płacić. Nie

można jej zarzucić plagiatu. Wszak to nie człowiek, to maszyna zrobiła.

**Technologia zdemolowała też sferę praw autorskich.** Mimo szlachetnych intencji Parlamentu Europejskiego, próbującego narzucić jasne i wyraźne ramy prawne, bardzo trudno znaleźć równowagę między ochroną praw a innowacyjnością. Internetu nie da się na nowo zbudować i ucywilizować. Wszystko, co zostało kiedyś w nim umieszczone, wciąż gdzieś istnieje i może być wykorzystane w dowolnym ►

REKLAMA



**AFRICAN BEATS FESTIVAL 2023**

FESTIWAL MUZYKI I KULTURY AFRYKAŃSKIEJ

WYSTĄPIA:

**ORCHESTRA BAOBAB  
SEUN KUTI & EGYPT 80  
NEWEN AFROBEAT  
TARWA N-TINIRI  
TIKOUBAOUINE  
ABLAYE BADJI BAND  
THE AFRONAUTS  
THE OVERVIEW EFFECT  
I WIELE INNYCH**

KINO AFRYKAMERY  
SPOTKANIA PODRÓŻNICZE  
WARSZTATY DJEMBE I TANECZNE  
I WIELE INNYCH

**11-13.08.2023**  
DWOREK POD WIECHA  
KAWĘCZYN K. WARSZAWY

[www.africanbeats.pl](http://www.africanbeats.pl)

► celu. Nie ma żadnych realnych przepisów pozwalających pociągać do odpowiedzialności tych, którzy łamią zasady i za pośrednictwem technologii uprawiają plagiat. Tak samo nie obowiązują regulacje mówiące, czy tekst w całości lub w części napisany przez maszynę może być sklasyfikowany jako materiał literacki lub materiał źródłowy. Jeśli przypadkowo AI stworzy coś, co zostanie uznane przez człowieka za wartościowe, nie wiadomo, komu należałoby przypisać prawa.

To walka na śmierć i życie o przyszłość scenariopisarstwa – słusznie alarmują scenarzyści, domagając się zakazu wykorzystywania archiwów do szkolenia sztucznej inteligencji i zabronienia używania jej do pisania lub korygowania tekstów, na co z kolei nie chce się zgodzić AMPTP.

„Z niepokojem przyglądamy się tym procesom, eksperymentom i postawom, które mogą zmusić scenarzystów do odejścia z zawodu” – dzielą się obawami autorzy. Jak podała amerykańska firma

Za amerykańskimi autorami murem stanęli scenarzyści z całego świata. W Londynie i w Paryżu odbyły się masowe wiece poparcia. „WGA walczy o to, aby scenarzyści utrzymali swój zawodowy prestiż i byli sensownie wynagradzani za to, co robią, także jeśli w grę wchodzi współpraca ze sztuczną inteligencją. O to samo będziemy walczyć we Francji. Nie chcemy, aby zaczęli nam oferować tysiąc euro za pracę sześciu odcinków napisanych przez aplikację AI” – mówiła jedna z manifestantek na ulicach Paryża cytowana przez „The Hollywood Reporter”.

Spór nie sprowadza się do pytania, czy komputer może być artystą, tylko jakiej sztuki chcą ludzie. Czy my, odbiorcy, godzimy się na to, żeby w zastępstwie człowieka algorytm pisał wiersze, komponował muzykę, tworzył obrazy albo produkował scenariusze? Odpowiedź nie wydaje się oczywista, gdyż pewnej części konsumentów będzie to zupełnie obojętne – pod warunkiem że otrzymają

natomiast jest to, że sztuczna inteligencja już teraz zmienia sposób, w jaki pracujemy, i tak już pozostanie. Powrotu do czasów sprzed AI nie ma. Tylko czy my to wytrzymamy?

### Jeśli scenarzyści przegrają, zabolą to wszystkich filmowców, także polskich.

Ci zresztą rozumieją i oczywiście popierają słuszne postulaty amerykańskich kolegów. 14 czerwca przed gmachem KPRM w Warszawie wzięli udział w manifestacji solidarnościowej, ale imperatywem było zwrócenie uwagi na krajowy problem. Czyli brak tantiem z internetu. Rynek VOD w Polsce osiąga przychody w wysokości 2,3 mld zł, z czego na tantiemy dla twórców nie są przeznaczane żadne pieniądze. Nasi scenarzyści domagają się nowelizacji prawa autorskiego, polegającej na wpisaniu internetu jako jeszcze jednego pola eksploatacji dzieł – na tej samej zasadzie co wcześniej kasety VHS czy płyty DVD. W Hiszpanii, Włoszech, Francji czy Estonii już od lat płaci się wynagrodzenia ze streamingu. W 2019 r. Unia Europejska wydała w tej sprawie specjalną dyrektywę, przyjętą m.in. w Słowenii, Belgii, Holandii, Szwajcarii i na Litwie.

Dyrektywa obliguje kraje członkowskie do zapewnienia twórcom systemowych tantiem z internetu. Nasz kraj ma dwuletnie opóźnienie, a sprawę blokuje rząd, tłumacząc, że Polska podpisała międzynarodową umowę o nieopodatkowaniu treści cyfrowych. Tymczasem tantiemy to nie podatek na rzecz Skarbu Państwa. Projekt ustawy powstał, jednak do tej pory nie weszła w życie. Komisja Europejska skierowała z tego powodu przeciwko Polsce kolejną skargę do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

„Polscy twórcy otrzymują wynagrodzenie za wyświetlanie ich filmów przykładowo na hiszpańskim Netflixie. Dlaczego nie mogą zarabiać z tytułu wyświetleń na polskim rynku, gdzie rodzime filmy tak chętnie są oglądane?” – dziwi się Adam Cioczek, scenarzysta m.in. serialu „Ojciec Mateusz”, w wywiadzie udzielonym jednemu z portali. Choć w tej sprawie nie chodzi tylko o scenarzystów – także reżyserów, kompozytorów, operatorów i aktorów. Bo podobnie jak w USA bitwą o nowe warunki umów toczą u nas wszystkie te środowiska. 30 czerwca upłynęła ważność starych kontraktów z producentami skupionymi w AMPTP. Żyjemy więc już w nowej rzeczywistości, choć nie do końca wiemy jakiej – tu scenariusz ciągle jeszcze powstaje.

JANUSZ WRÓBLEWSKI



„Czarne lustro” (6. sezon) – serial, który przewidział dzisiejsze kłopoty scenarzystów.

analityczna Challenger, Gray&Christmas w samym tylko maju br. w Stanach Zjednoczonych zostało zlikwidowanych 3,9 tys. miejsc pracy na rzecz sztucznej inteligencji. „Bild”, najlepiej sprzedający się niemiecki dziennik, zwolnił ponad setkę pracowników i zastąpił redaktorów sztuczną inteligencją. Według Światowego Forum Ekonomicznego w ciągu najbliższych pięciu lat zniknie 83 mln miejsc pracy. Zastąpi je 69 mln stanowisk stworzonych przez AI. Zdaniem raportu Goldman Sachs AI będzie mogła zlikwidować docelowo 300 mln pełnoetatowych miejsc pracy na świecie. „To jest osłupiające” – oświadczył prezydent USA Joe Biden, komentując perspektywę utraty kontroli nad tym, co architekturą tej technologii nam stworzyli.

dokładnie to, czego oczekują. „Sztuka ma na celu refleksję nad życiem. A jeśli jest to robione przez jakąś pralkę z dziwnym algorytmem, nie jestem zainteresowany” – kpią scenarzyści. I trudno im nie przyznać racji, gdy mówią, że rozstrzygnięcie jest proste: albo AI będzie pracowała dla nas, albo my dla niej. Zastanawianie się nad przyszłością sztucznej inteligencji jest jednak jak pytanie psa o wynik rachunku różniczkowego. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, co nas czeka. Naukowcy twierdzą, że znajdujemy się w najbardziej radykalnym punkcie zwrotnym historii ludzkości, daleko bardziej rewolucyjnym niż pojawienie się elektryczności, pojazdów silnikowych, a nawet internetu. Pewne

# Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna  
**Kuby Wojewódzkiego**

„Nie będą nas uczyć historii Niemcy ani Żydzi. Nie będą naszych dzieci wychowywać dewianci. Precz z WHO. Stop ukrainizacji Polski”. To Grzegorz Braun, przyszedł minister kultury. Cieszę się, że jest z nami. Bo gdyby był gdzie indziej, mógłby stanowić zagrożenie dla innych pacjentów.

Prokuratura w Warszawie przedłużyła areszt dla byłego męża Dody Emila Sępnia, który usłyszał ponad 90 zarzutów. To niesamowite. Nawet ona nie miała tyłu przebojów.

Omenaa Mensah, prezenterka pogody w TVN, pozwała autora książki „Dziewczyny z Dubaju 2” Piotra Krysiaka za naruszenie dóbr osobistych. Autor dwuznacznie sugeruje, że nie przebywała tam wyłącznie turystycznie. Pewne jest jedno. Wezwanie doręczy mu kurier InPost.

Zmiany w porannym programie „Dzień Dobry TVN”. Z funkcją prowadzących pożegnali się Agnieszka Szulim, Małgosia Rozenek, Anna Kalczyńska, Małgorzata Ohme i Andrzej Sołtyś. Jeśli zasnęła już w trakcie czytania nazwisk, to wiesz, skąd te zmiany.

Poziom dziennikarstwa brukowego dogonił poziom polskiej piłki nożnej. U Żurnalisty futbolista Jakub Rzeźniczak ujawnił, które żony zdradzał przed, a które po ślubie oraz która z matek jego dzieci była dziewczyną na telefon. Z dziewczyną na telefon może wygrać tylko głupek na żetony.

Po 13 latach z programu „Pytanie na śniadanie” odchodzi Łukasz Nowicki. Pracownik TVP i syn Wielkiego Szu musi znać cytat: „Graliśmy uczciwie. Ty oszukiwałeś, ja oszukiwałem. Wygrał lepszy”.

„Pan Samochodzik i Templariusze” zadebiutują 12 lipca na Netflixie. Każdy fan książki wie, że auto pana Tomasza zbudowane było na modelu Ferrari 410 Superamerica. Fiat 125p z chłodnicą ciągnika Ursus najlepiej dowodzi tezy, że arcydzieło zrozumie nawet idiota. Ale jakże inaczej.

Dziennikarz, didżej, animator kultury oraz restaurator Piotr Kędziński dołączył do ekipy prowadzącej poranną audycję „KS Poranek” w Kanale Sportowym. Znam Piotra od lat. Sport to jego życie. Szczególnie jak może wyjść z fazy grupowej do pojedynku sam na sam.

W ostatnim wydaniu dwutygodnika „Viva!” Magda Gessler krzyczy z okładki: „Żyję tak, jak chcę!”. W sieci szybko ruszyło śledztwo, od kogo Magda na zdjęciu porzuciła nogi. I kiedy to do niego dojdzie.



© MATEUSZ GROCHOCKI/DZIEŃ DOBRY TVN/EAST NEWS

Sylwester Latkowski po raz kolejny nie pojawił się w sądzie, gdzie oczekiwali na niego główni bohaterowie dokumentu „Nic się nie stało”. Policja poszukuje Sylwka pod wszystkimi możliwymi adresami. A to kupa roboty. Mamy w Polsce 103 zakłady karne.

Były mistrz świata w boksie Tomasz Adamek wystartował w Wyścigu Górskim Limanowa. Jako kierowca Subaru Impreza. To wstęp do udziału w eliminacjach mistrzostw Europy w przyszłym sezonie. Tomek. Boks i rajdy mają coś wspólnego. Moja prawa to twoja lewa.

Skoro już jesteśmy przy boksie. Jaś Kapela, kontrowersyjny poeta, wegański komunistą miłości oraz publicysta „Krytyki Politycznej”, został pobity przez nietrzeźwego obrońcę papieża, który wszystko nagrał telefonem. Na szczęście i telefon, i papież mają swój numer.

Krzysztof Stanowski nie odpuszcza Natalii Janoszek. Dziennikarz poleciał do Indii, gdzie w Bombaju próbował znaleźć kogoś, kto by znał aktorkę lub jej filmy. Bombaj ma w sobie coś z kariery Natalii. Naprawdę nazywa się Mumbaj.

Najbardziej płodny krajowy artysta Michał Wiśniewski wyznał, że był kiedyś w związku z mężczyzną, gdyż nie dostał miłości od kobiety. Profesor Zdzisław Krasnodębski też znał kilku homoseksualistów, którzy nie byli gejami.

Czesław Michniewicz został najbogatszym polskim trenerem. Abha Club z Arabii Saudyjskiej będzie mu płacić 1,5 mln dol. rocznie. Gratulacje. Czesław musi jednak uważać. Arabia zakazała książek o Harrym Potterze i nie lubi, jak ktoś przesadnie czaruje.

Naczelny Wirtualnej Polski ujawnił naciski ze strony władzy: „Propozycje przecięcia, sugestie kogo zwolnić”. Oczywiście literówka. Co robi serwis Wirtualnemedi? Przepisuje bezmyślnie: „Propozycje przecięcia, sugestie kogo zwolnić”. No to teraz już wiecie kogo.

**Kuba Sienkiewicz** tłumaczy artystom, którzy twierdzą, że współpracując z TVP, nie angażują się w politykę: „Są w samym centrum polityki. Ta obecność legitymizuje wszystkie podłości TVP, cały ten brud”.  
Jak przystało na neurologa, zrobiło się nerwowo.



# Ekscentryczna introwertyczka

Intensywnie, dramatycznie przeżywała świat – mówi o **Wisławie Szymborskiej** w 100-lecie urodzin poetki współautorka jej biografii Anna Bikont.

**ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA: – Czy czegoś jeszcze o Wisławie Szymborskiej nie wiemy? A może należałoby spytać: co my właściwie wiemy?**

**ANNA BIKONT:** – O Szymborskiej, co pokazujemy w biografii napisanej z Joanną Szczęsną, prawie wszystkiego można się dowiedzieć z jej wierszy i „Lektur nadobowiązkowych”. Ale trzeba wnikliwie się przypatrywać, bo Szymborska dobrze się ukrywa, lubi maski. Pisze np. o książce na temat majsterkowania i nagle coś o sobie wspomni – w jednej linijce. To jest praca dla detektywa. I my tę robotę detektywistyczną wykonaliśmy za czytelnika. Aż w końcu po dobrze wykonanej pracy

miałymy poczucie, że dużo o Szymborskiej już wiemy. Ona chyba też tak sądziła. Kiedy trwały zawirowania wokół niej po Noblu, zgłaszało się do niej mnóstwo dziennikarzy. Miała zwyczaj odpowiadać, że mało o sobie wie, ale „pani Bikont i pani Szczęsna wiedzą wszystko, proszę je zapytać”. A jednak przygotowując kolejne wydania, znów dużo się dowiadywałam. Drugie ukazało się co prawda tuż po jej śmierci w 2012 r., ale przygotowywałyśmy je, gdy jeszcze żyła. Szymborska nie zgadzała się na cytowanie czegokolwiek, co napisała prywatnie. Wszyscy znamy jej słynne kolaże, ale nie to, co było napisane na ich odwrotach, najczęściej uroczę,

dowcipne, kilkudzaniowe teksty. I chociaż były to niewinne, małe prozy, absolutnie się nie zgadzała, żeby to publikować. Ale dodawała, że po jej śmierci, skoro już i tak jej nie będzie, można zacytować. Niczego nie spaliła: ani karteczek, ani korespondencji. Zdaniem Joasi Szczęsnej może dlatego, że nie miała w mieszkaniu kominka (śmiech). Część tej korespondencji już się ukazała, w tym wspaniałe listy wymieniane z Kornelem Filipowiczem, Zbigniewem Herbertem, Stanisławem Barańczakiem, któremu poświęcamy nowy rozdział w trzecim wydaniu.

**W książce jest też dużo więcej o relacjach z Adamem Włodkiem, pierwszym mężem Szymborskiej.**

Fascynującą korespondencję z Adamem Włodkiem przeczytałyśmy w Bibliotece Jagiellońskiej za zgodą Fundacji im. Wisławy Szymborskiej. To fantastyczne źródło informacji o poetce i jej silnym przekonaniu, że przyjaźń jest nawet więcej warta niż miłość. Ta miłość się skończyła, rozwiedli się szybko, ale przyjaźń trwała do ostatnich chwil życia Włodka, który odszedł w 1986 r. Mam nadzieję, że ktoś kiedyś napisze doktorat o przyjaźni na podstawie tych listów.

**Wykorzystały panie wszystkie dostępne materiały o Szymborskiej?**

Nie zostało nic, o czym byśmy nie wiedziały, ale chętnie damy się zaskoczyć. Nam się wydaje, że wysłałyśmy wszystko do ostatniej kosteczki.

**Szyborska nie słyęła z wylewności. Zastanawiała się, czy jest w awangardzie, bo może w przyszłości ludzie będą o sobie chcieli mówić mniej. Ale chyba nadal jest w awangardzie. Ciekawe, jak by się odnalazła w erze mediów społecznościowych.**

A nużby wysłała jakiś limeryk? I zamieściła w sieci z pomocą swojego sekretarza Michała Rusinka. Ale Szyborska była w awangardzie, na pewno jeśli chodzi o model rodziny. To był model patchworkowy, bardzo na dzisiejsze czasy. Był w jej życiu mąż, długoletni związek, potem relacja z Filipowiczem, z którym nie zawarła formalnego ślubu. Byli jacyś narzeczeni, żony byłych partnerów. Oni wszyscy tworzyli rodzinę i spotykali się co niedziela na obiedzie u mamy Szyborskiej. Nie słyęłam, żeby w tamtych czasach ktoś poza nią uprawiał taki model rodziny.

**Jakie to jest zadanie dla biografów, kiedy trafia się tak mało wylewny bohater czy bohaterka? Pani chyba lubi grzebać w archiwach.**

To prawda. No i trochę tego wygrzebałyśmy. Dziś to wiedza powszechna, ale o tym, że Szyborska pisała pocztę literacką, nikt z jej znajomych nam nie powiedział. Gdzieś to zniknęło w niepamięci dziejów. Natrafiłyśmy na nią, kiedy przeglądałyśmy „Życie Literackie”, gdzie Szyborska przepracowała 15 lat. Odpowiedź na któryś z listów przypominała nam fragment z jej wiersza, inna – fragment z „Lektur nadobowiązkowych”. Nagle stało się jasne, że ona za tym stoi. To było niesamowite: kiedy tekst był mniej dowcipny, okazywało się, że to nie Szyborska. Kiedy stała w nim forma „my” – to była Szyborska, która maskowała w ten sposób i tożsamość, i płeć. Jako autorka, kobieta, od razu zostałaby rozpoznana.

To był dla nas przyjemny etap odkryć. A przy tym bardzo szanowałyśmy jej prywatność i ustaliłyśmy, że kreślimy portret z oddali. Np. w pierwszej wersji biografii miałyśmy problem, czy możemy podać nazwisko Kornela Filipowicza. Był jej długoletnim partnerem, ale nie mężem, więc nie dało się nic oficjalnego wybrać z archiwów. Uznałyśmy, że przy takich barierach intymności Szyborskiej zrobimy wszystko, żeby ich nie przekroczyć. Zdecydowałyśmy się na podanie nazwiska dopiero, kiedy natrafiłyśmy na „Informator Cieszyńskiego Klubu Hobbystów” z 1974 r., który odnotował, że przyjechali razem oglądać kolekcję znaczków i pocztówek, zapisali się do klubu i opłacili stawki z góry. Dziś ta biografia

to już nie jest portret z oddali, ale z bardzo bliska – jak na Szyborską.

**Kornela Filipowicza też odkrywamy na nowo.**

Tak, i słusznie. Szyborska mówiła całkiem serio, że to on powinien dostać Nobla, a nie ona. Filipowicz pisał fantastyczne opowiadania, a już te, które wydała Szyborska – o tematyce żydowskiej – są piękne literacko, przejmujące, pełne empatii do Żydów, z którą rzadko się w Polsce spotykam.

**Jak to się stało, że powstały „Pamiętkowe rupiecie”?**

Najbanalniej: pomysł powstał po Noblu. Zanim poetka go dostała, to byłby projekt nie do zrealizowania. Do Nobla Szyborska udzieliła może siedmiu wywiadów, poza jednym dłuższym dla POLITYKI to było zwykle pół strony przy okazji jakiegoś poetyckiego festiwalu. Była niedostępna. Kiedy dostała Nobla, Adam Michnik – nie wiemy, jakim sposobem, ale wiedział o tym już tamtego ranka – zadzwonił do Joanny Szczęsnej, żeby przygotowała materiał do „Gazety Wyborczej”, a ona zabrała mnie ze sobą do przyjaciół Szyborskiej: małżeństwa Ireny Szymańskiej i Ryszarda Matuszewskiego. Pokazali nam jej cudowne wyklejanki i wtedy nam się objawiła nowa, nieznaną Szyborska. Zamarzyłyśmy o biografii.

**Pytam, bo na tle pani prac biografia Szyborskiej jednak się wyróżnia.**

Pracując teraz nad trzecim wydaniem, miałam poczucie cudownego wytchnienia. Po latach zajmowania się historiami Holokaustu przypominałam sobie, jak dobrze się obcuje z Szyborską i jakie przyjemne było moje życie: czytanie wierszy poetki po raz dziesiąty i pięćdziesiąty, i rozmowy z jej przyjaciółmi. Policzyłyśmy teraz i wyszło nam, że umieściłyśmy w książce 147 fragmentów jej wierszy. Chciałyśmy w tej biografii jak najwięcej cytować, ale było też dla nas jasne, że nie możemy zacytować nawet najukochańszego wiersza, jeżeli nie będzie powodu, jakiejś podpórki biograficznej.

**A jak się z nią obcowało twarzą w twarz?**

Najbardziej zapamiętałam to, jaka była ekscentryczna. Kompletnie niekon-

wencjonalna. To, co umiała zmieszać w jednym wątku rozmowy, żart i powaga – było zachwycające. Była elegancką, piękną panią i nie moge sobie wyobrazić, żeby nawet najbliższych przyjaciół przyjęła w mieszkaniu boso albo w kapturach. Za drzwiami zawsze się słyęzało „tup, tup, tup”, obcasiki. A pisała nieprzyzwoite limeryki już w latach 50., nie wiem, chyba się to nie zdarzało młodym kobietom z dobrych domów.

Szyborska najpierw nie chciała się z nami spotkać. Ale kiedy się już zgodziła, to była ogromnie dla nas szczerą. Zapraszała nas co dwa tygodnie na godz. 10. Przyjeżdżaliśmy pierwszym pociągiem do Krakowa, przygotowywała nam śniadanie. Raz to były banany i becherowka. Była niesłychanie dumna, że przemyciła ze Słowacji dwie butelki, choć można było wwieźć jedną. Innym razem podała nam w plastikowym pudełku pokrojoną w kosteczki szynkę i jajka z majonezem, które – jak mówiła – kupiła specjalnie dla nas, choć obawiałam się, że tydzień wcześniej.

Szyborska łączyła w sobie przeciwieństwa: z jednej strony elegancja, z drugiej te banany z becherowką. Z jednej strony tak bardzo odrębna, z drugiej miałyśmy poczucie, że bardzo dużo nam ofiarowuje. Czytała nasze rozdziały, tu coś skreślała, tam redagowała. Powiedziała: „Pokazałyście mnie jako śmieszkę, ale to w sumie moja wina, bo taka się światu przedstawiam. To opowiem wam coś o wojnie, żeby było poważniej...”. Miała ekscentryczną duszę. Znalazłyśmy zdjęcia jej rodziców, dziadków, zrobiliśmy jej drzewo genealogiczne – rzuciła okiem z umiarkowanym zainteresowaniem. Jeżeli już, zainteresowała ją nasza pracowitość. Joasia twierdzi, że Szyborskiej się to podobało, bo pochodziła z Poznańskiego, a tam każdy ceni pracowitość. Ale żeby samo drzewo genealogiczne ją zaciekało, to chyba nie. Jest tak, jak pisze w wierszach: równie dobrze mogłaby urodzić się w łusce. Tak się sytuowała we wszechświecie.

**Miała ciekawe relacje z rodzicami**

**– ojciec był jej bliższy, „z mamą się rosło, miało czystą szyję i zmieniało skarpetki. Mama nie była barwna. Była dzielna, ▶**



**Anna Bikont**, dziennikarka, reporterka, pisarka. Autorka m.in. książek „My, z Jedwabnego” (2004, drugie wyd. 2012), „Sendlerowa. W ukryciu” (2017), biografii Jacka Kuronia (z Heleną Łuczywo, 2019), „Cena. W poszukiwaniu żydowskich dzieci po wojnie” (2022). Biografia Wisławy Szyborskiej „Pamiętkowe rupiecie” ukazała się po raz pierwszy w 1997 r., w stulecie urodzin poetki nakładem Agory ukazuje się trzeci raz, uzupełniona o nowe wątki.

► **szamotała się z życiem, które zwłaszcza podczas wojny stało się bardzo ciężkie”.**

Poza tymi niezmiernymi obiadami chyba nie były sobie z mamą szczególnie bliskie. Chociaż trudno mi to oceniać, zachowało się dużo ich korespondencji, może nie mam racji. Na pewno była bardzo blisko z siostrą. A tatę – jak sądzę – mitologizowała. Wiemy, jak ojcowie zajmowali się dziećmi w tych czasach, a Wincenty Szymborski dużo pracował, był plenipotentem u hrabiego Zamoyskiego, zmarł, gdy Wisława była mała. Niemniej miała do niego uwielbiający stosunek, dlatego w pierwszym wydaniu biografii pominięłyśmy listy wymieniane z hrabią, które znalazłyśmy w Kórniku – ociekały antysemityzmem. Mówił językiem tamtych czasów, ale z pewnością sprawiłoby to Szymborskiej wielką przykrość.

**No właśnie, zyciorys Szymborskiej to biografia XX w. Ale tej wielkiej historii w jej poezji tak dużo nie ma.**

Nie ma, choć początki jej twórczości oczywiście przypadły na czasy stalinowskie i to było dla niej istotne, bolesne doświadczenie. Jej późniejsze wiersze się do tego odnosiły. Nigdy nie powiedziała, że dała się komuś uwieść, np. mężowi, który był wojującym komunistą, bo i nie miała w zwyczaju szukać cudzych win. Ale uczestniczyła w czymś, co było jej obce duchowo – Szymborska nie była przeciw osobą „zbiorową”. Wiele osób ceniło w komunizmie wspólnotowość, która była zupełnie wbrew jej naturze. Mimo to dała się ponieść czasom i bardzo tego potem żalowała. Szybko rzuciła legitymacją partyjną – dziś trudno sobie nawet wyobrazić, jak wielkiej odwagi to wymagało i jak mało osób zdecydowało się na coś podobnego. Szymborska była przekonana, że wyrzucą ją za to z pracy, i powiedziała znajomemu, że trudno, stać ją jeszcze na utrzymanie przez trzy lata. Nikt z nas nie miał w PRL pieniędzy, żeby przeżyć trzy lata bez pracy, ale Szymborska obliczyła, że będzie jeść codziennie kefir i dwa kartofle i jakoś sobie poradzi. Myślę, że naprawdę była na to gotowa.

Kornel Filipowicz był znaczącą postacią dla opozycji. Szymborska była związana z nim w czasie stanu wojennego i angażowała się w różne działania, podpisywała listy protestacyjne, uczestniczyła w nielegalnych spotkaniach literackich. Bardzo zabawna była jej teckza w Instytucie Pamięci Narodowej – okazało się, że UB przeciw niej knuło, ale ona się z pewnością o tym nigdy nie dowiedziała. Np. były wytyczne, żeby nie zapraszać jej na jakiś festiwal literacki za granicę czy w Polsce, anulować zaproszenie albo

zaszantażować osoby, które takie zaproszenia wystosowały. Tyle że ona i tak się nigdzie nie wybierała, nie lubiła takich imprez, nie lubiła bywać.

**Mówiła o sobie, że wieździe życie motylka, nie ma w jej świecie dramaturgii.**

Myślę, że to kokieteria, bo i trzeba zaznaczyć, że bywała szalenie kokieterijna. Myślę, że intensywność jej przeżywania świata była wielka i została ujęta w wierszach w bardzo stonowany sposób. Jest taki piękny wiersz o błaznie, cieniu królowej:

„(...) Królowa z okna się wychyli, \ a błazen z okna skoczy w dół. \ Tak każdą czynność podzieliłi, \ ale to nie jest pół na pół. \ Ten prostak wziął na siebie gesty, \ patos i cały jego bezwstyd, \ to wszystko, na co nie mam sił \ – koronę, berło, płaszcz królewski. \ Będę, ach, lekka w ruchu ramion, \ ach, lekka w odwróceniu głowy, \ królu, na stacji kolejowej. \ Królu, to błazen o tej porze, \ królu, połóż się na torze”.

Szymborska dramatycznie przeżywała świat i to w jej poezji widać.

**Toczyła się niedawno dyskusja o upupianiu twórczości Szymborskiej, postrzeganej przez pryzmat kolaży, pocztówek, wesolych limeryków, „rupieci”, by tak rzec.**

Dawniej też nie wszyscy rozumieli jej wyklejanki: Jerzy Pilch, Andrzej Wajda, Czesław Miłosz nie byli ich miłośnikami. Ja i Joanna Szczęsna jesteśmy ze szkoły Barańczaka, który uważał, że poezja „niepoważna” to pełnoprawna część literatury. Limeryki Szymborskiej to naprawdę majstersztyki. Ona upowszechniła poezję „niepoważną” w całym kraju. Kiedy Joanna zacytowała w „Gazecie” moskali Szymborskiej, przyszedł w odpowiedzi setki moskali od czytelników. To dobry sposób na wciągnięcie ludzi w zabawę literacką.

**Czym poezja Szymborskiej mogłaby dziś ująć młodego czytelnika? Prócz nowoczesnego modelu rodziny.**

Myślę, że w każdym pokoleniu znajdzie czytelnika. Samą siebie pamiętam z liceum, kiedy wychowywaliśmy się na jej wierszach miłosnych i nie tylko. Jej poezja o kondycji świata, uchodźcach, czułości dla przyrody, cała jej poezja – wciąż jest aktualna.

**Na pewno wraca w muzyce. Przed laty „Nic dwa razy” śpiewała Łucja Prus, później Kora, dziś Sanah, przedstawicielka młodego pokolenia. Choć sama Szymborska podobno twierdziła, że jej wiersze nie nadają się do śpiewania.**

Chyba Grzegorz Turnau nam kiedyś powiedział, że w wierszu musi być jakaś

niedoskonałość, żeby dał się zaśpiewać, jakaś szczelina, w którą wedrze się muzyka i coś doda. Doskonałe wiersze trudno się śpiewa. Szymborską śpiewa się rzadko – może dlatego?

**Ja pamiętam ze szkoły, że uczyliśmy się na pamięć „Można nie kochać cię i żyć...”.**

„...ale nie można owocować”. Też się tego uczyłam w szkole, wiele lat przed panią.

**To chyba niewiele się zmienia. Szymborska wciąż jest obecna w kanonie szkolnych lektur, zresztą obok nowych wieszczów: Wojciecha Wencła i Jana Pawła II. Skoro o nowych wieszczach mowa: ma pani pomysł, dlaczego Szymborska tak w Polsce razi prawicę?**

Cóż, ona dostała Nobla, a nie dostał żaden protegowany prawicy. Akurat wówczas tym wielkim protegowanym był wielki poeta Zbigniew Herbert. Szymborska by wołała, żeby on tę nagrodę dostał. Pisała do niego, że gdyby to ona decydowała, to już by pisał mowę noblowską. Niemniej prawa strona uważa, że zajęła czyjeś miejsce – skoro Czesław Miłosz już odebrał Nobla, to może wystarczy, jakaś równowaga na świecie musi być. Szymborskiej wyciągnięto tych kilka mało znaczących wierszy stalinowskich. Nagonka na nią była bardzo nieprzyzwyczajona. Myślę, że było jej bardzo przykro, bo atakowała ją część krakowskiego środowiska, w którym jeszcze niedawno, przed podziałami, byli jej dobrzy znajomi.

Oczywiście nie dała tego po sobie poznać. Szymborska przeżywała w sobie, miała generalnie dość niski poziom energii. Kiedyś Joasia Szczęsna chciała się z nią umówić, Szymborska otworzyła kalendarz i powiedziała: w tym tygodniu nie mogę, w przyszłym też nie. Miała tam zapisać po jednym spotkaniu. Dla niej to już było wystarczające.

**Dziś byśmy powiedzieli: introwertyczka.**

Tak. Ekscentryczna introwertyczka. **Szymborska mówiła: „Nie wierzę, aby poezja mogła zmienić świat. Oczywiście należy robić wszystko, aby ten cel osiągnąć, ale kosmos rządzi się prawami niemającymi nic wspólnego z twórczością poetów. Prawdziwi twórcy zła, które istnieje i będzie nadal istnieć na ziemi, nie czytają poezji”. Mało optymistyczne.** Zdarzali się polityczni tyranie, którzy byli poetami. Poezja, literatura może zmieniać świat i ludzi na lepsze albo na gorsze. Myślę, że czytanie Szymborskiej zmienia go na lepsze.

ROZMAWIAŁA ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

W tekście cytujemy wiersz „Cień” z tomu „Sól”, 1962 r.

POLITYKA

# SALON

NR 15

WNĘTRZA | ARCHITEKTURA | SZTUKA | STYL ŻYCIA



LOFTY  
DO MIESZKANIA  
I PRACY

WYDANIE SPECJALNE NR 3/2023 CENA 16,99 zł (w tym 8% VAT) INDEKS: 381-055

## KULTURA NA LATO

**GRAND TOUR**  
CZTERY STOLICE  
PIĘCIU MISTRZÓW  
SZEŚĆ STULECI

**TONY CRAGG**  
W CSW TORUŃ  
TEJ WYSTAWY ZAZDROŚCI  
NAM EUROPA

**MIASTA DLA PSZCZÓŁ**  
DZIKIE OGRODY  
I PASIEKI NA DACHACH  
BIUROWCÓW

*Do kupienia w dobrych kioskach i na [sklep.polityka.pl](http://sklep.polityka.pl)*

**SALON** *pismo o tym, co nas tworzy*

# Historia się nie kończy

ILUSTRACJA MIROSLAW GRYN



Smutek po śmierci Cormaca McCarthy'ego oddalają nieco dwie jego ostatnie książki, ale to odejście jednego z najważniejszych pisarzy amerykańskich. Co z jego literackim pokoleniem?

**K**oniec epoki ogłasza się zawsze, kiedy umiera ważny pisarz czy pisarka. Śmierć Cormaca McCarthy'ego (ogłoszona po raz drugi – w 2016 r. pojawiła się fałszywa informacja o jego śmierci) znowu zakończyła epokę, podobnie jak wcześniej odejście Philipa Rotha, J.D. Salingera, Toni Morrison czy Johna Updike'a. Tymczasem ten koniec epoki nastąpił zaraz po nowym początku, bo dopiero co, w grudniu, ukazały się jego dwie nowe książki „Pasażer” i „Stella Maris”. Teraz mają premierę w Polsce w przekładzie Roberta Sudoła.

Prasa światowa powoływała się na słynną czwórkę filarów amerykańskiej literatury według krytyka Harolda Blooma: Rotha, McCarthy'ego, DeLillo, Pynchona. Nie żyje Roth i McCarthy, Pynchon nie pokazuje się od lat, natomiast DeLillo oszczędnie udziela się w życiu literackim, ostatnia jego książka wyszła w 2020 r.

Co ciekawe, o końcu epoki i schyłku wielkich pisała przy okazji śmierci McCarthy'ego prasa światowa, ale nie amerykańska. Bo wszelkie hierarchie bywają tam krytycznie podważane. Tak było z literackim kanonem Blooma i listą najważniejszych dzieł literatury, którą stworzył, żeby bronić estetycznych kryteriów patrzenia na literaturę. Propozycja kanonu wywołała burzę. Przeciw samej idei wielkich dzieł, które mają być ponadczasowe, wystąpiła Toni Morrison (sama znalazła się na tej liście). Według niej kanon jako zbiór nazwisk i dzieł jest produktem historii, utrwała dominację, a tymczasem powinien się otwierać na mniejszości i cały czas przewartościowywać.

Spór Bloom-Morrison w latach 90. był częścią debaty o statusie dzieł literackich, ale też o edukacji, która zdaniem Blooma powinna polegać na konfrontowaniu się z wielkimi dziełami tak, by mogły wpływać na indywidualne życie. Kanoniczne zastępnienie zresztą literaturze amerykańskiej nie grozi, bo cały czas ożywia ją literatura imigrantów. Za pisarzami żydowsko-amerykańskimi, irlandzko-amerykańskimi, afroamerykańskimi i europejsko-amerykańskimi poprzednich pokoleń nadchodzą choćby dominikańsko-amerykańscy (jak Junot Díaz) czy koreańsko-amerykańscy.

**Wielka czwórka Blooma reprezentowała w literaturze amerykańskiej wzniosłość.** Wszyscy należeli do tego samego pokolenia: Roth i McCarthy urodzili się w 1933, DeLillo w 1936 i Pynchon w 1937 r. Wiele razy wypomniano jednak, że w zestawie brakuje wybitnych pisarzy z tej samej generacji – Toni Morrison (1931), Johna Bartha (1930), Sylvii Plath (1932), Roberta Coovera i Johna Updike'a, Susan Sontag (1933), Joan Didion (1934), Raymonda Carvera czy Joyce Carol Oates (1938). Siłą amerykańskiej literatury są bowiem nie tylko te cztery nazwiska, ale całe pokolenie lat 30., które teraz odchodzi. Nie zostawia jednak po sobie pustki, bo w kolejnych latach pojawili się m.in. David Foster Wallace, Jonathan Franzen, Marilynne Robinson, George Saunders, Denis Johnson, David Markson – można długo wymieniać nazwiska.

Nawet wspomniana czwórka gigantów nie miała lekko z krytyką. W pożegnalnym tekście po śmierci McCarthy'ego w „New York Timesie” autor przywołuje Jamesa Wooda, który twierdził, że pisarzowi zdarzało się tworzyć pokretnie zdania na granicy nonsensu, a wszechobecne obrazy przemocy sprawiały wrażenie, jakby się nimi rozkoszował. Z kolei niemal każda książka Rotha była niszczone przez Michiko Kakutani w „NYT”. Pisarz w odpowiedzi sportretował krytyczkę w jednej ze swoich powieści.

Roth zaplanował swoje odejście ze sceny oraz literackie życie pośmiertne. Kiedy już skończył z pisaniem, zajął się

przygotowywaniem materiałów dla swego biografu. Zmarł w 2018 r. i rzeczywiście biografia Blake'a Bailey'a się ukazała, zebrała dobre recenzje, ale już dwa tygodnie po premierze została wycofana z dystrybucji w związku z oskarżeniami biografu o molestowanie i gwałt. Nie udało się więc zaplanować przyszłości, choć pozycja Rotha jako jednego z największych nie jest zachwiana. Jego powieści, takie jak trylogia amerykańska, szczególnie „Amerykańska sielanka”, nadal są najważniejszym portretem tego kraju. Są też ostrzeżeniem – jak „Spisek przeciwko Ameryce”.

„Zostałem nazwany samotnikiem setki razy, a nawet nie zaliczam się do tej kategorii” – powiedział w jednym z wywiadów Don DeLillo, którego do niedawna można było ponoć spotkać na Bronksie, gdzie odwiedzał wiekowych kolegów z dzieciństwa. DeLillo wielokrotnie w powieściach wykraczał poza swój czas, opisał wiele z tego, co przydarzyło się Ameryce później. Prześwietlił historię USA od drugiej wojny światowej, opisał przenikliwe amerykańską paranoję, przemoc, konsumpcjonizm. W „Białym szumie” z 1985 r., niedawno zekranizowanym przez Noaha Baumbacha dla Netflixa, pokazał społeczeństwo obrazu, które zastąpiło wspólnotę tłumu.

Z kolei Thomas Pynchon ukrył się skutecznie na kilkadziesiąt lat – już w latach 70. nagrodę za „Tęczę grawitacji” odbierał wynajęty komik. Dostępnych jest tylko kilka zdjęć pisarza z młodości. A i tak paparazzi tropią go na ulicach. Jednak nawet taki pustelnik zrobił wyjątek i pojawił się jako postać w „Simpsonach” (z torbą na głowie) i przemówił własnym głosem.

**Choć McCarthy aż tak radykalnie nie uciekł od życia literackiego, też starał się w nim nie uczestniczyć.** Od 20 lat mieszkał obok naukowego ośrodka Santa Fe Institute w Nowym Meksyku. I uczestniczył w życiu naukowym, co widać w „Pasażerze” i „Stella Maris”. To ponad tysiąc stron, podzielonych na dwie książki, które można czytać razem albo w dowolnej kolejności. I jest to lektura nieco obłądna, wpadająca czasem w mielizny i dygresje, ale i poruszająca. Wkraczamy zresztą od razu w dobry rytm dialogów. To już nie jest ten styl biblijno-wizyjny, silnie zmetaforyzowany, który kojarzy się z Cormakiem. Porzucenie znanych traktów literackich imponuje. W nowych książkach McCarthy pokazuje też ograniczenie samej literatury, która jest wtórna wobec muzyki czy matematyki. Te dwie dziedziny, jak mówi bohaterka, mają bezpośredni kontakt z prawdą. A sam McCarthy, zgłębiający zagadnienia naukowe w Instytucie, przykładem na tę niewystarczalność literatury.

Obie książki opowiadają historię rodzeństwa Alicii i Bobby'ego, dzieci fizyka jądrowego. „Stella Maris” to szpital psychiatryczny, do którego zgłasza się Alicja, genialna nastolatka, która cierpi na schizofrenię, rozmawia z głosami, przede wszystkim z Dzieciakiem. Cała książka składa się z rozmów z doktorem. Alicja jest geniuszką matematyczną, która porzuciła matematykę. Rodzina odkryła, że jest inna, kiedy miała cztery lata, potrafiła już czytać, u okulisty okazało się, że jej problemy są innej natury niż okulistyczne. Pojawili się jej wymagani przyjaciele, którzy dla niej byli jak najbardziej realni. Wcześniej też odkryła, że kocha swojego brata Bobby'ego nie jak brata. Cieniem na jej dzieciństwie kładła się tragedia ojca, który pracował nad bombą atomową i później nie mógł znieść tej świadomości. „Myślisz, że nad naszą rodziną ciąży klątwa? Podniósł wzrok. Klątwa? Tak. Że niby za grzechy ojców i tak dalej?”

Poczucie winy i rozpacz kierują obojgiem bohaterów. Ciągnie się za nimi też rodzinna tajemnica, dom rodzinny został zniszczony, pamiątki skradzione, i to nie przez złodziei. Są najwyraźniej pod specjalnym nadzorem służb. „Dlaczego ludzie przestali

się interesować nauką? Boją się jej. Nawet ludzie wykształceni częściej wolą wariactwo. Kosmitów. Latające spodki”.

Alicja jest postacią, jakiej wcześniej nie było u McCarthy'ego. Reprezentuje kobiety, które za inteligencją bywały kamienowane. Ją też traktują dziwnie. Dziwi się, że jej nie kamienują. Nie wie, czy chce dalej żyć. Zwłaszcza że jej brat, który był kierowcą rajdowym, leży w śpiączce. Jest sama, jeśli nie liczyć pojawiającego się Dzieciaka. Rozważa różne sposoby popełnienia samobójstwa. „Jeśli nie wiemy, czym jest życie – a nie wiemy – to nie wiem, jak mielibyśmy scharakteryzować jego brak. Wydaje nam się, że wiemy, gdzie jesteśmy, ale to oczywiście nedoręczność. Umrzeć to sprawa niełatwa, ale umrzeć, nie wiedząc, gdzie się było, gdy się żyło? Albo dlaczego? No cóż”. Ani matematyka, ani muzyka (kupuje stare skrzypce) nie dają jej powodu, by żyć dalej.

**Ciemność, która zawsze była u McCarthy'ego, tu pojawia się nie w metaforycznych obrazach, ale w rozmowie.**

A postać Alicii musiała McCarthy'emu sprawiać trudność w konstrukcji. Piękna, eteryczna blondynka jest właściwie bezcielesna, widzimy ją oczami innych. Materializuje się tylko w debatach o ideach albo o złu świata. „Pojęcie nicości to pojęcie niepojęte” – mówi.

Łatwiej było zapewne skonstruować Bobby'ego, który przypomina różnych wcześniejszych bohaterów McCarthy'ego. Takich, którzy musieli dać sobie radę w trudnych warunkach. „Pasażer” rozgrywa się później niż „Stella Maris”. Alicii już nie ma, popełniła samobójstwo, nie doczekała się przebudzenia brata ze śpiączki. Bobby, zdolny fizyk, który uciekł od fizyki i zarabiał jako nurek głębinowy, został pewnego dnia wezwany do zatopionego samolotu, w którym brakowało czarnej skrzynki i jednego pasażera. Być może ten brakujący pasażer dał tytuł całej książce. Zaczynają się dziać rzeczy dziwne, urząd skarbowy zajmuje konto i całe mienie Bobby'ego, ale nie chodzi o to, że nagle się wzbogacił, tylko o to, że jest obserwowany w niewiadomej sprawie.

O ile wątki sensacyjne nie wiadomo, dokąd prowadzą, o tyle opisy życia Bobby'ego, który z dnia na dzień został pozbawiony wszystkiego, robią wrażenie. Jak przeżyć zimę w pustej chacie, poza cywilizacją? Bobby to wie. McCarthy wkracza na znajome tory, ale Bobby nie jest typowym bohaterem jego książek, jest samym cierpieniem. Nie chce zadawać cierpienia innym, nie potrafi sobie poradzić z przeszłością, nie może przeżyć straty Alicii. „Cała rzeczywistość to strata, a strata jest wieczna. Nie ma innego rodzaju rzeczywistości. A rzeczywistość, której dociekamy, musi najpierw zawierać nas samych. Czym jesteśmy? My to dziesięć procent biologii i dziewięćdziesiąt procent koszmaru”. Widzimy dwa istnienia, tragicznie splecione i świadome koszmaru, jakim jest świat oświetlony przez „złe słońce wynalazków nuklearnych”. Nie ma możliwości naprawy, powrotu do zdrowia, nie ma żadnej normalności.

Ciemne przesłanie McCarthy'ego tym razem nie jest przesłonięte przez metaforyczne obrazy i przerysowane figury stylu. Te dwie książki robią wrażenia niedopracowanych – warstwa spiskowo-sensacyjna zawisa w próżni – ale mimo to te dwie historie są poruszające.

Ostatnia książka Philipa Rotha „Nemezis” opowiadała o epidemii polio i o poczuciu winy. Cormac McCarthy też opowiada o poczuciu winy – za to, że nauka przyczyniła się do niszczenia istnień na masową skalę. Ale są też zdania, które oddalają smutek, zanurzają w samym życiu, bo historia się nie kończy i świat też na razie trwa. „Western dopił kawę i wstał. Na Bourbon Street zapaliły się latarnie. Wcześniej padało i księżyc leżał na mokrej ulicy jak platynowa pokrywa wjazdu”.



## Czołg w cyrku

**H**istoria miesza szyki wielkim i maluczkim, nikogo nie pytając o zgodę – na przykład ostatnio popsuła zarówno wagnerowski nowy początek prekampanii wyborczej PiS-u w Bogatyni, jak i moje kameralne felietonowe plany. Upatrzony temat w jednej chwili trafił szlag, bo oto historia gwałtownie przyspieszyła, a konkretnie – Jewgienij Prigożyn z Grupą Wagnera opanował Rostów nad Donem i ruszył na Moskwę niczym Wieniczka z „Moskwy – Pietuszek” Jerofiejewa, który też ruszył na Kreml. I bardzo możliwe, że Prigożyn swoją wyprawę podjął w identycznym stanie, co ów ikoniczny bohater literacki, czyli „spity lub kompletnie skacowany”, skoro rezultat okazał się zadziwiająco podobny: zamiast na Kreml, Prigożyn trafił na dworzec, tyle że nie na Kurski jak Wieniczka, a na Białoruski, nawet jeśli w jego przypadku jest to tylko przenośnia. Dworzec ten, ozdobiony pomnikiem Pożegnanie Słowianki, słynie z pociągów odjeżdżających do Białorusi.

Zawrócony spod Moskwy Prigożyn najpierw przepadł we mgle wojny niczym Jeżyk ze słynnej radzieckiej kreskówki, po czym na trzeci dzień zmartwychwstał: potwierdzone zostało, że niedopuszczysta przebywa w Mińsku, w ekskluzywnym hotelu bez okien, gdzie trudniej będzie o mimowolne samobójstwo, w każdym razie nie przez wypadnięcie na bruk. Służby informacyjne Krempla nazwiskiem Pieskow zdążyły tymczasem zapewnić, że buntownik ma się dobrze, jest tylko zmęczony i nie ma sił rozmawiać, co rzuca na sprawę pewne światło, oślepiające jak, nie przymierzając, lampa do przesłuchań na Łubiance. Choć może Pieskow jedynie blefował, próbując ukryć przed światem upokarzający fakt, że Rosja nie dysponuje jeszcze tym zaawansowanym technicznie urządzeniem, które Andrejowi Dudzie pozwala komunikować się głosowo z Mateuszem Morawieckim na znaczną odległość, być może nawet tak znaczną jak z Królewca do Haishenwai?

Jakkolwiek by było, od dnia moskiewskiej wyprawy z Prigożynem nie ma kontaktu, co stwierdzam z zastrzeżeniem, że stan na dzisiaj nie musi być stanem na jutro czy pojutrze. Sprawa jest bowiem wybitnie rozwojowa. Na przykład Kirył Rogow – rosyjski politolog, ale też historyk idei i kultury – zauważa w komentarzu „Niedokończony bunt”, że marsz wagnerowców to niemal na pewno początek większej zawieruchy. Dzieje Rosji dowodzą, że wojskowe bunty (ros. *mutiny*) często torują drogę gwałtownym zmianom politycznym, nawet jeśli kataklizm nie przychodzi od razu. W mediasferze już teraz pojawiła się doskonała wizualna identyfikacja dla tego historycznego wydarzenia, które

wedle Rogowa dopiero za jakiś czas odsłoni przed nami swoje oblicze: to zdjęcie czołgu, który zaklinował się w bramie cyrku miejskiego w Rostowie w dniu

wymarszu Prigożyna na stolicę. Czołg uwięziony w cyrku na amen – jakże piękny to symbol zawału rosyjskiego systemu władzy, jakże wymowny emblemat rozerwania łańcucha, w którym maskarada i prestidigitatorstwo od wieków splatają się z epicką przemocą.

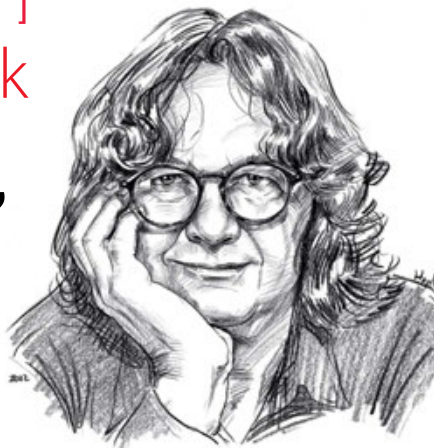
**N**ajprawdopodobniej będzie się więc jeszcze działo i spełnią się pragnienia tych, którzy w pamiętną sobotę kibicowali Prigożynowi, jakby był to nowy Napoleon albo Łzeczarewicz Dymitr ożeniony z „naszą” Maryną Mniszchówną, mimo że on sam nigdy nie twierdził przecież, że maszeruje przeciwko Putinowi. Komunikował co innego – głośnym i wyraźnym rykiem dawał do zrozumienia, jak strasznie nienawidzi tego podłego gnoja Szojgu. Więc bardzo możliwe, że już niedługo Moskwa rzeczywiście zostanie przez kogoś zdobyta, a Putin obalony, sęk jednak w tym, że ani siepacz Prigożyn, ani nikt inny z tego towarzystwa smutnych panów w spektrum alkoholizmu i starości w żadnym wypadku nie nadaje się na jutrenkę nadziei. Cokolwiek zrobią zwalczające się kremlowskie „baszty”, jakiegokolwiek sojusze między sobą zawiążą i w jakiegokolwiek konfiguracji rzucą się w końcu sobie

do gardeł, żeby się pozabijać, będzie to tylko awantura w domu starego Karamazowa i bandy jego toksycznych synalków. W jej wyniku być może ktoś nawet zginie, być może nawet sam *capofamiglia*, ale władza tak czy inaczej pozostanie w rękach tej samej patologicznej rodziny wrogiej Zachodowi, Ukrainie i Polsce. W krótkiej perspektywie zmiana na Kremlu nie przyniesie nam niczego dobrego, co najwyżej inny rodzaj katastrofy. Nie trzeba w końcu wielkiej wyobraźni, żeby wystawić sobie, jak śmiercionośny przebieg może mieć smuta w tak ogromnym państwie naszpikowanym bronią atomową, jeśli cyrkowe frakcje z przełożeniem na struktury siłowe wezmą się za łby, a równocześnie swoje okno czasowe postanowią wykorzystać regionalne separatyzmy, z Japonią i Chinami na czele.

Przy okazji warto może przypomnieć, bo nie wszyscy wiedzą, że rosyjskie słowo „smuta” nie oznacza smutku, tylko zamęt i niepewność, a wyrażenie „smutnoje wriemia” – czas wojny domowej i obcych interwencji w państwie wielkoruskim w latach 1605–13. Nikt nie przeczy, że dla dobra ludzkości Wielki Cyrk Moskiewski powinien się wreszcie zawalić, ale niebezpiecznych konsekwencji, jakie to za sobą pociągnie, nie unikniemy, dlatego nie kibicujmy klaunom.

RENATA LIS

# Życie gdzie indziej, być kimś innym



**P**ani gra? – zapytałem sąsiadkę, która skreślała numery przed kioskiem. – Znowu zaczęłam – odparła, nie podnosząc głowy znad kuponu.

– Grałam za komuny, potem przestałam. – Wygrała pani kiedyś? – Nigdy. Ale przestałam, kiedy pieniądze zrobiły się prawdziwe. No i nie chciałam już być kimś innym niż Polką. – No a teraz, na co pani tyle pieniędzy? – Zawsze na to samo. Żeby w razie czego uciec od wojny lub złej polityki. Z plusem mi pani da – zwróciła się do kioskarki, podając kartonik.

Chciałem też poprosić, ale było mi trochę wstyd, więc życząc szczęśliwego trafienia, poszedłem do piekarni.

Z zasady nie gram w gry, w które nie można wygrać. Kiedy prawdziwością jest chybienie, a nie trafienie, wówczas nie ma mowy o grze, a jedynie o nadziei bez optymizmu. Mój umysł tkwił w takim stanie znaczną część lat 80. Byliśmy bezperspektywiczni, co oznaczało, że nie widzieliśmy dla siebie przyszłości innej niż powtarzająca się teraźniejszość, ponieważ TU nigdy nic się nie zmienia. Jak wiadomo, gleba jałowa dla ludzkiego życia jest wspaniałym nawozem dla fantazjowania. Także i my snuliśmy w letnie wieczory rozważania o tym, co byśmy sobie kupili za wygraną, pocieszając się zawczasu, że i tak lepiej nie wygrać, bo nieszczęsny, którzy trafili, musieli opuścić rodzinne strony, nie mogąc znieść zazdrości sąsiadów, chciwości rodziny i własnego lęku przed napadem i morderstwem.

Grali wtedy prawie wszyscy, ale nikt, kogo znaleźmy, nie wygrywał. Za to niemal każdy mówił i myślał o emigracji. Kryło się za tym nie tylko pragnienie lepszego życia materialnego, ale też rozpaczliwa chęć wyrwania się przeznaczeniu, które zdawało się od wieków ciążyć nad naszą krainą. Jakby to inne narody miały historię, a Polacy tylko los.

Wielu wyjechało, zwłaszcza ci, którzy mieli przodków emigrantów. Kto wie, jak byłoby ze mną, gdyby nie dziwny, endemiczny upór mojej rodziny, aby trwać na terytorium o promieniu kilkunastu kilometrów. Raz w roku babka Hela odbywała rytualną podróż do swojej ciotki w Bąkowie (25 km autobusem). Zapowiadała tę wyprawę na wiele tygodni wcześniej, a my żegnaliśmy ją z niepokojem, jakby wyruszała do Ameryki.

**N**aprawdę przed emigracją uratowały mnie język polski i literatura światowa. Epizodyczne kontakty z obco krajowcami z Czech i Węgier, porażki w uczeniu się języków obcych oraz codzienne niepowodzenia w porozumiewaniu się z bliskimi po polsku uświadomiły mi wcześniej, że życie poza polszczyzną byłoby dla mnie katastrofą. I już, już zostałem prowincjonalnym szowinistą, gdyby nie książki. Każda kolejna, którą pokochiwałem, podwajała mi ojczyznę. *J'ai deux amours. Mon pays et Paris* – mruzczałem za Francisem Salabertem pogrążony w lekturze „Gry w klasy”. Znad „Lamparta” przytakiwałem Sienkiewiczowi, który twierdził, że każdy Europejczyk ma dwie

ojczyzny – swoją i Włochy. Zanim zaczęło mnie niepokoić to rozdwojenie, odkryłem, że inni też tak mają. Philip Roth, odbierając medal National Book Foundation, dziękował amerykańskim pisarzom, którzy pomnażali

jego tożsamość – dzieciaka dorastającego w żydowskim otoczeniu w przemysłowym Newark. Ostatecznie uspokoił mnie Hrabal, na pozór zrośnięty duszą i ciałem z Pragą, a wcześniej z Morawami. A jednak wyznawał: „najbardziej czuję się w domu tam, gdzie jeszcze nigdy nie byłem, a dokąd zaprowadził mnie Bruno Schulz w swych »Sklepacek cynamonowych« [...], przeprowadziłem się tam i mieszkam tam do dziś, choć nigdy tam nie byłem, ale co z tego?” (przeł. Aleksander Kaczorowski).

**L**iteratura pięknie godzi nas z wiedzą, że jesteśmy jedynym gatunkiem, którego osobniki świadomie chcą być kimś innym, niż są. Być może właśnie nasza niespójność (to wewnętrzne popapranie) odpowiada za ewolucyjny sukces człowieka. Darwin odkrył, że zmienność daje szansę na przeżycie, a to, co chce być tylko sobą, umiera. Niech więc się nie martwi konserwatywny hetero, że dłużej patrzy na Brada Pitta niż na Angelinę Jolie. Niech krytyczny umysł lewicowej feministki nie cierpi, roniąc łzę w finale „Potopu”. I ja wybaczam sobie wciąż powracające nieprofesjonalne wzruszenie animowaną „Piękną i Bestią”. Nie jesteśmy jedno, więc nawet kiedy jedno wybieramy, cała reszta pozostaje jako możliwość.

Pamiętam, jak przed ostatnimi wyborami zrobiliśmy Zygmuntovi – zapamiętałem zwolennikowi partii rządzącej – test preferencji politycznych. Okazało się, że powinien głosować na Razem. On w szoku, my w śmiech. Ale po namyśle zdziwienie nam przeszło. Zygmunt nie ma nic przeciw małżeństwu jednopłciowemu, nie czuje antyimigranckich lęków i ceni nasze członkostwo w Unii. Wierzy za to w centralizm państwowy, najwyższą jakość polskich produktów, społeczny autorytet Kościoła i geniusz polityczny prezesa. Nie od dziś wiadomo, że człowiek obdarzony refleksyjną samoświadomością nie zdoła zmieścić się w wąskim leju jednorodnych poglądów.

„Dla takich, którzy myślą, święte nie jest nic” – pisała wielka Wisława, której stulecie urodzin właśnie minęło. Była wspaniałą nauczycielką metafizycznej niepewności w kwestii tego, kim lub czym w istocie jesteśmy. A co, gdybyśmy budziła w ludziach strach/albo tylko odrazę/albo tylko litość? („W zatrzęsieniu”).

Bo przecież mogłoby być zupełnie inaczej, gdzie indziej, z kimś innym, w innym ciele, z innymi doświadczeniami, zwłaszcza takimi, których lękam się najbardziej. Kiedy mój niepokój przejmuje literatura, groza utraty tożsamości zmienia się w przyjemność. Dzięki fikcji człowiek – bezpiecznie, przyjemnie i pożytecznie – może być równocześnie sobą i kimś innym. Nie dziw, że „rekordem jego mowy jest tryb warunkowy” („Sto pociech”).

RYSZARD KOZIOŁEK



# Kochane Osoby!

**T**aką formułką zwracają się działacze na rzecz praw LGBT przemawiający do uczestników parad równości. „Osoby”, bo świat nie dzieli się na kobiety i mężczyzn. Owszem, nie dzieli się. „Moi drodzy” albo samo „Kochani” pewnie by wystarczyło. Jednak w „osobie” zawiera się coś więcej. Słowo to przydaje się, gdy trzeba dostrzec i uwzględnić ludzi niemieszczących się w binarnym podziale płci, pluralistycznej typologii orientacji seksualnej bądź typowym podziale ról społecznych, a nawet biologicznych. Można przecież być transkobietą, czyli kimś, kto przeszedł tranzycję lub po prostu poczuwa się do płci męskiej, a fizjologicznie jest zdolny do urodzenia dziecka. Mówi się na kogoś takiego „osoba z macicą”. Gdy taka osoba zachodzi w ciążę, to nie jest to koniecznie „mężczyzna w ciąży”, bo z faktu, że nie uważa się za kobietę, nie wynika od razu, że jest mężczyzną. Płciowość nie jest bowiem kategorią binarną, nawet jeśli większość ludzi jest „cis”, czyli ma jasną tożsamość pod względem płci biologicznej i zgodne z nią, trwałe i jednoznaczne poczucie tożsamości płciowej.

**J**ak mają się zachowywać przedstawiciele większości, od których rzeczniczy mniejszości domagają się uwagi i daleko idących korekt swojego dotychczasowego zachowania i języka? Zapewne powinni wyjść naprzeciw oczekiwaniom, uważając, aby nie ulec pokusie arogancji albo protekcjonalności, co się zdarza większym i silniejszym. Jednak wyjście naprzeciw nie może oznaczać poddawania się dyktatowi ortodoksji i zastraszaniu ani wyrzekania się własnej tożsamości. Prawo do mówienia, że kobiety rodzą dzieci, a prawa kobiet to nie jest to samo co prawa transkobiet, jest prawem niepodważalnym. Można mieć inne zdanie, lecz nie wolno nikogo z tej racji wykluczać, piętnować, wyzywać od terfów [czyli uprzedzonych wobec osób trans – red.]. Pogląd, że płeć ma bazę biologiczną, a poczucie tożsamości płciowej i płeć społeczna są wobec płci biologicznej pewną nadbudową, która może być po części czymś wrodzonym lub zdeterminowanym, a po części przedmiotem swobodnego wyboru tożsamościowego, zapewne nie jest ostatnim krzykiem mody postępowego feminizmu, lecz nadal jest w pełni uprawnionym stanowiskiem, za które nie wolno nikogo karać, tak jak za rasizm.

Radykalizm, rewolucyjny dogmatyzm, zwalczanie odstępców w imię zasady: „kto nie z nami, ten przeciwko nam”, to nie tylko paskudne narowię, budzące skojarzenia z czasami tropicieli „odchyleń prawicowo-nacjonalistycznych”, lecz przede wszystkim prosta droga do odstraszenia i obrzydzenia milionom ludzi całego feminizmu i ruchu LGBT. To tak, jak gdyby zwalczać nacjonalizm przez rugowanie słowa „Polacy” na rzecz „mieszkańcy Polski”

(bo nie każdy z nich jest Polakiem) albo zabraniać mówić „niedziela”, by nie urazić tych, którzy w siódmy dzień tygodnia jednak muszą „działać”, czyli chodzić do pracy.

Większość też ma swoje prawa. Jednym z nich jest prawo do tego, aby mniejszości nie zauważać w każdej chwili, lecz jedynie czasami, gdy jest to ważne, na przykład ze względu na zagrożenie ich praw. Praw rozumianych rozsądnie. Bo na pewno nie jest prawem osób transpłciowych, aby w każdych okolicznościach ignorować różnicę między nimi a płcią, do której należą mocą swej deklaracji i tranzycji. Czasami te różnice mają znaczenie – na przykład w toalecie albo na bieżni sportowej. Zamykanie ust wszystkim, którzy te różnice dostrzegają i mają w związku z nimi jakieś uwagi, to szantaż moralny i cenzura, niemająca nic wspólnego z budowaniem otwartego, równościowego społeczeństwa. To faszyci wyobrażają sobie, że zdrowy moralnie naród musi się składać z samych faszystów. Wolne i równościowe społeczeństwo nie może się składać z samych ortodoksów aktualnego nauczania feministyczno-genderowego o tym, czym jest postępowość.

✦ Prawo do mówienia, że to kobiety rodzą dzieci, a prawa kobiet to nie jest to samo co prawa transkobiet, jest prawem niepodważalnym.

**W**ychowywanie młodzieży na „płatki śniegu”, sugerowanie im nieustannego uskarżania się na dyskryminację jako sposobu na życie, tworzenie atmosfery zastraszania na uniwersytetach, zaprowadzanie terroru językowego i retorycznego w mediach, używanie działaczy społecznych jak ideologicznych pałek na wszelkie nie nadążające za postępem i zacofane „większości” – to wszystko są metody

na zdobywanie przewagi rynkowej, politycznej i społecznej w środowiskach jak najbardziej uprzywilejowanych i zamożnych. Radykalni działacze są tu tylko „pożytecznymi idiotami”, a naprawdę pokrzywdzeni liczą się na tyle, na ile można ich propagandowo wykorzystać. A przecież krzywdzone kobiety najczęściej nie będą feministkami, zaś pobity gej nie będzie w awangardzie postępu.

Radykalizm zawsze jest sterowany i zawsze ma nieczyste intencje. Dobrzy ludzie są łagodni i wyrozumiali, nie zacierzwiają się, nie są skorzy do piętnowania i niszczenia kogokolwiek, a już zwłaszcza nie tych, którzy mają pokrewne, lecz nieco inne od nich poglądy. „Nadgorliwość gorsza od faszyzmu”, głosi całkiem niegłupie ludowe powiedzenie. Walka o prawa kobiet i LGBT daleka jest od zakończenia. Nie jestem działaczem, lecz aktywnym sojusznikiem, i to dobre ćwierć wieku. Dużo już widziałem i mam prawo do własnej opinii. A jest ona taka, że trzeba łączyć siły, a nie podkreślać różnice, obrażać, pędzić „tuste koty”, „dziadersów”, „polityków” i innych „terfów”. Bez hysterii, bez zachłystywania się własnym radykalizmem, bez pychy i pogardy zajdziemy dalej i szybciej.

JAN HARTMAN

# Blisko i egzotycznie



Już  
w kioskach  
i na  
[sklep.polityka.pl](https://sklep.polityka.pl)



Zapraszamy na profil <https://www.facebook.com/projekt-pulsar/>,  
a także na [polityka.pl/podkasty](https://polityka.pl/podkasty) do wysłuchania rozmów  
z cyklu „POLITYKA o historii”



## KONKURS NA NAJLEPSZY FELIETON o Nagrodę Prezydenta Miasta Kielce w wysokości 5000 zł oraz publikację w Tygodniku „Polityka”

Jerzy Pilech był przede wszystkim pisarzem, kibicem, admiratorem kotów,  
artykułów papierniczych i cukierniczych, ale również felietonistą.  
Złosiłwym felietonista ...

### Zainspiruj się Pilchem – konkurs na felieton

Wraz z Miejską Biblioteką Publiczną im. Jerzego Pilcha w Kielcach, kieleckim Ośrodkiem Wzłśli Patriotycznej i Obywatelskiej, Wygórzem Zamkowym, Muzeum Zabawek i Zabawy oraz rodziną Jerzego Pilcha zachęcamy do udziału w II ogólnopolskim konkursie literackim na felieton o „Brzytwę Pilcha”, pod honorowym patronatem prezydenta miasta Kielce. Konkurs odbywa się w ramach III Herling-Grudziński Festiwal.

- Mogą w nim wziąć udział wszyscy, bez względu na wiek oraz miejsce zamieszkania.

- Można zgłosić jeden własny felieton, wcześniej niepublikowany i nienagrodzony w innych konkursach.
- Tematyka jest dowolna, ograniczona jedynie zasadami gatunku (objętość tekstu: 5–5,5 tys. znaków ze spacjami).

**Zwycięzca otrzyma nagrodę w wysokości 5 tys. zł, którą ufundował prezydent Kielce Bogdan Wenta, oraz możliwość publikacji swojego felietonu na łamach POLITYKI. Prace należy przysłać do 9 sierpnia 2023 r. na adres: [biblioteka@mbp.kielce.pl](mailto:biblioteka@mbp.kielce.pl). Szczegóły w regulaminie konkursu na stronie: [mbp.kielce.pl](http://mbp.kielce.pl).**

## Przepraszam Piotrów, Krzysztofów i Andrzejów

W POLITYCE 26 ukazał się tekst mojego autorstwa „Bastian czy Sebastian”. W wyniku pomylenia tabel imion pierwszych, z imiona drugim – jako trzy najczęściej występujące imiona męskie podałem: Jana, Piotra i Stanisława. Tyle że to najpopularniejsze drugie imiona męskie. Najwięcej Polaków na pierwsze imię ma Piotr. Jest ich 692 120. Kolejny pod względem popularności jest Krzysztof (645 674), a następnie Andrzej (542 386). Przepraszam również Brajanów, których jest 5959, a nie 673, no i 632 Bartków.

JULIUSZ CWIELUCH



Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzeżli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

**POLITYKA**

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA  
adres ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

**RECEPCJA GŁÓWNA**  
tel. 22 451-61-33, 451-61-34;  
tel./faks 22 451-61-35

adres internetowy [www.polityka.pl](http://www.polityka.pl)  
poczta elektroniczna [polityka@polityka.pl](mailto:polityka@polityka.pl)

**PREZES I REDAKTOR NACZELNY**  
Jerzy Baczyński  
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

**CZŁONKOWIE ZARZĄDU**  
Joanna Solska,  
Mariusz Janicki,  
Wiesław Władysław

**Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO**  
Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),  
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03  
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

**SEKRETARZ REDAKCJI**  
Artur Podgórski  
Agnieszka Mazurczyk (asystent),  
tel. 22 451-60-39;  
Malwina Dziedzic (redaktor działu Opinie)

**REDAKTOR WYDANIA**  
Olga Jędrzejczak tel. 22 451-60-22

**Wydania specjalne:**  
Leszek Będkowski tel. 22 451-60-15  
Jolanta Zarembina tel. 22 451-61-40

**DZIAŁY REDAKCYJNE**  
RECEPCJA tel./faks 22 451-60-37/38

**DZIAŁ POLITYCZNY I KOMENTARZYSTY**  
Mariusz Janicki (kier.),  
Anna Dąbrowska, Marek Henzler,  
Rafał Kalukin, Adam Krzemiński,  
Paweł Reszka, Ewa Siedlecka,  
Adam Szostkiewicz, Wiesław Władysław,  
Jacek Żakowski

**DZIAŁ KRAJOWY**  
Jacek Kowalczyk (kier.),  
Martyna Bunda (z-ca kier.),  
Ewa Wilk (koment.), Zbigniew Borek,  
Joanna Cieśla, Juliusz Cwieluch,

**DZIAŁ HISTORICZNY**  
Edyta Gietka, Marcin Kołodziejczyk,  
Violetta Krasnowska, Wojciech Markiewicz,  
Marta Mazus, Joanna Podgórska,  
Piotr Pytlakowski, Ryszarda Socha,  
Agnieszka Sowa

**DZIAŁ EKONOMICZNY**  
Paweł Tarnowski (kier.),  
Joanna Solska (z-ca kier.),  
Adam Grzeszak, Cezary Kowanda,  
Marcin Piątek

**DZIAŁ ZAGRANICZNY**  
Witold Pawłowski (kier.),  
Łukasz Wójcik (z-ca kier.),  
Marek Ostrowski (koment.),  
Artur Domosławski, Jagienka Wilczak,  
Jędrzej Winiecki

współpraca: Tomasz Walat (Sztokholm),  
Tomasz Zalewski (Waszyngton)

**DZIAŁ KULTURY**  
Bartek Chaciński (kier.),  
Aneta Kyzioł (z-ca kier.),  
Jakub Demiańczuk,  
Mirosław Pęczak, Piotr Sarzyński,  
Justyna Sobolewska, Dorota Szwarzman,  
Janusz Wróblewski

**DZIAŁ NAUKA/PROJEKT PULSAR.PL**  
Karol Jałochowski (kier.),  
Katarzyna Czarnicka (z-ca kier.),  
Marcin Rotkiewicz,  
Edwin Bendyk (koment.),  
Agnieszka Krzemińska, Paweł Walewski

**DZIAŁ FELITONISTY**  
Jan Hartman, Sławomir Mizerski,  
Daniel Passent, Stanisław Tym

**DZIAŁ PROJEKTÓW SPECJALNYCH**  
Zofia Leśniewska, tel. 22 451-61-93

**DZIAŁ DOKUMENTACJI**  
Iwona Kochanowska (kier.),  
tel. 22 451-61-44, tel./faks 22 451-61-37

**PION CYFROWY**  
Joanna Chmielecka (dyr.)  
POLITYKA.PL Łukasz Lipiński (szef serwisu),  
Zbigniew Pendel (z-ca),  
Aleksandra Żelazńska (z-ca, media społecznożelazna), tel. 22 451-87-88,  
Norbert Frątczak, Anna Kowalska,  
Agata Szerbiak, Agnieszka Zagner

**WYDANIA CYFROWE** Anna Dobrowolska (red. prow.)

**GRAFIKA I TECHNIKA**  
DZIAŁ GRAFICZNY Joanna Mucho (kier.)  
DZIAŁ FOTO Wojciech Leński (kier.)  
KOREKTA Zofia Kozik (kier.)

**ADMINISTRACJA, FINANSE**  
RECEPCJA tel. 22 451-60-89,  
Jadwiga Kucharczyk (dyr.),  
Halina Cibor (gt. księgowo)

**PION WYDAWNICZY**  
Piotr Zmelonek (dyr.), tel. 22 451-61-85  
Anita Brzostowska (z-ca dyr.)

**DYSTRYBUCJA**  
Marcin Paśnicki (kier.), tel. 22 451-61-92

**PROMOCJA** Dominika Nowak-Kajtowska,  
tel. 22 451-62-02

**DZIAŁ IT** Piotr Filipowicz (kier.)

**BIURO REKLAMY**  
RECEPCJA tel. 22 451-61-36,  
e-mail: reklama@polityka.pl  
Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),  
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

Za treść ogłoszeń redakcja ponosi odpowiedzialność w granicach wskazanych w ust. 2 art. 42 Ustawy Prawo Prasowe

**PRENUMERATA PAPIEROWA**  
[www.sklep.polityka.pl](http://www.sklep.polityka.pl)  
Infolinia: tel. 67 210 86 30,  
e-mail: infolinia@polityka.pl  
Monika Kaliszuk-Radzko,  
tel. 22 451-61-00, 451-61-15  
e-mail: prenumerata@polityka.pl

**PRENUMERATA CYFROWA**  
[www.polityka.pl/cyfrowa](http://www.polityka.pl/cyfrowa)  
Infolinia: tel. 22 336 75-80,  
e-mail: [cyfrowa@polityka.pl](mailto:cyfrowa@polityka.pl)

Konto: POLITYKA Spółka z o.o. SKA  
BGZ BNP Paribas S.A.  
18 1750 0009 0000 1004 2763  
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowno numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.  
Przedruk: Maciej Domagała,  
tel. 22 451-61-25,  
e-mail: [m.domagala@polityka.pl](mailto:m.domagala@polityka.pl)

**DRUK** Quad

**PBC**

PRINTED IN POLAND

[www.izbaprasji.pl](http://www.izbaprasji.pl)

IZBA PRASY

Z winy  
adrenaliny

Właśnie ogłoszono polski przystanek na wielkiej trasie koncertowej Taylor Swift „The Eras Tour”. Tymczasem fani skarżą się, że nie pamiętają nic z koncertów swoich idolek i idoli. Ekspertki uspokajają: po prostu za dobrze się bawicie!

Zgodnie z popularną legendą czternastoletni Mozart ujawnił jedną z największych tajemnic Watykanu, jaką była partytura „Miserere” Allegriego – arcydzieła renesansu wykonywanego przez chór tylko w Kaplicy Sykstyńskiej, tylko w trakcie Wielkiego Tygodnia. Mimo że utwór trwa kilkanaście minut i rozpisany jest na dziesięć głosów, młody Mozart miał go spisać z pamięci po jednokrotnym wysłuchaniu.

Jakże zdziwiłby się lamentem fanów i fank Taylor Swift, skarżących się, że nie pamiętają ani jednej zwrotki z jej występów na obecnej trasie koncertowej. Zrazu zjawisko to próbowano tłumaczyć faktem, że amerykańska gwiazda na gigantycznej trasie „Eras” wykonuje aż 44 utwory, każdy występ trwa więc ponad trzy godziny. O „pokoncertowej amnezji” regularnie piszą jednak na swoich forach także miłośnicy K-popu.

„Na 15. urodziny ja i moja siostra bliźniaczka poszłyśmy zobaczyć BTS na stadionie w New Jersey. Chłopcy byli niesamowici, ale nie wiedziałabym o tym, gdybym nie kręciła filmików” – narzekała jedna z bliźniaczek. Ktoś szybko odpisał: „Udało mi się ich złapać w Paryżu, ale jak tylko wyszłam ze stadionu, w pamięci miałam pustkę”. Ktoś odetchnął: „Ulżyło mi, że nie tylko ja tak mam”. Problem nie dotyczy tylko młodych, zgłaszali go lata temu chociażby weterani heavy metalu. Gdy grupa Black Sabbath wróciła na trasę po niemal dziesięcioletniej przerwie, fani prawie niczego z tych koncertów nie pamiętali, mimo że tak długo swoich idoli wyczekiwali.

A raczej właśnie dlatego – zauważają znawcy ludzkiego mózgu, według których fenomen ten dotyczy nie tylko muzyki. Ludzie nie pamiętają też np. swoich zaręczyn czy ślubów. Gdy jesteśmy podekscytowani i atakowani przez zbyt wiele bodźców, nasz mózg może sobie nie poradzić z natłokiem informacji. „Jesteś na koncercie z kimś, kogo kochasz, otaczają cię tysiące podekscytowanych ludzi, słuchasz muzyki, z którą wiążą cię silne emocje, to naprawdę sporo naraz” – tłumaczy neurolog

z brytyjskiego Cardiff University. Wtórzy mu psychiatra z Rush University Medical Center w Chicago: „Z bardzo stymulującego występu możemy więc zapamiętać głównie to, że na nim byliśmy, ewentualnie kilka krótkich momentów”. Bywa też, że intensywne przeżycia pozytywne mózg traktuje jak te traumatyczne i postanawia je od razu zapomnieć.

Czy takich dziur w pamięci da się uniknąć? „Pomocne są tu techniki medytacyjne jak spowolnienie i pogłębienie oddechu” – radzi szef wydziału psychologii biologicznej University at Albany. Według niego gaszenie rozbuchanych emocji najlepiej zacząć jeszcze przed koncertem. A już w jego trakcie stać spokojnie, bo mózg może uznać euforyczne płąsy i krzyki za sygnał, że coś nas przestraszyło. I poziom adrenaliny i stresu tak się podniesie, że organizm znacznie przekierowuje energię potrzebną do formowania wspomnień ku systemom obronnym. Stojąc w miejscu – przekonuje ekspert – unikniemy przegrzania mózgu i będzie nam łatwiej przypomnieć sobie wszystkie wspaniałe chwile pod sceną. Niestety będziemy się gorzej bawić w trakcie koncertu.

Być może lepiej więc skorzystać z rad, jakich udzielają sobie wspomniani wielbiciele K-popu, chyba najczęściej doświadczani pokoncertową amnezją. W swoim środowisku nazywają ją zresztą „pokoncertową depresją”, tak bardzo dołuje ich brak wspomnień ze spotkań z idolami (i zmarnowane kieszonkowe). „Mój terapeuta powiedział mi, żebym zaraz po występie wszystko spisała, dopóki pamiętam. Może być w punktach. To sygnał dla mózgu, że nie walczyłam właśnie o życie, tylko chcę to zdarzenie zapamiętać” – pisze jedna z fanek. Zdaniem innych pomaga przeglądanie nagrań z zapomnianego koncertu na YouTube. „A moim zdaniem – radzi fanka, której uśmiechnięty awatar ma wieloryba-jednorożca na głowie – jedynym skutecznym rozwiązaniem jest... wybrać się na kolejny występ BTS”. ■



**Mariusz Herma**  
– W POLITYCE pisze o muzyce od dekady, o wszystkim innym w Fiszkach POLITYKI. Założyciel serwisu beehype, który zrzesza dziennikarzy muzycznych z prawie całego świata.

# Boli jak... kobietę

TECHNO

O Boże, nie!”, „To boli!” – krzyczą mężczyźni, którzy sprawdzili na sobie symulatory bólu menstruacyjnego i porodowego. Stwierdzają, że czują się chorzy i nie są gotowi w tym momencie na żadną aktywność.

Coraz głośniejsze mówi się o przełamywaniu tabu menstruacyjnego oraz tego dotyczącego ciąży i porodu. Rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek wniosł niedawno o dostęp do środków higienicznych w szkołach. Przeciwno wykluczeniu menstruacyjnemu działają w Polsce fundacje, np. Różowa Skrzyneczka i Akcja Menstruacja, których celem jest zapewnienie tamponów i podpasek w miejscach publicznych. Marki i znane twarze angażują się w oswojenie okresu, a firmy oferują płatny urlop menstruacyjny.

– *Naturalnymi reakcjami na ból porodowy, który jest subiektywny, są krzyk, potrzeba bycia w ruchu, „rytuały porodowe”, czyli stan, kiedy pacjentka nieświadomie powtarza jakąś czynność w trakcie skurczu, by pomóc sobie w zniesieniu bólu. To może być dotykanie charakterystycznej powierzchni, przytulanie poduszki, patrzywanie w ten sam punkt podczas każdego skurczu, odliczanie sekund czy „utrata świadomości” w trakcie skurczu. Ale byłam też raz świadkiem sytuacji, w której kobieta z nadludzką siłą kopnęła położną, po czym zaczęła uciekać z traktu porodowego* – opowiada Maria Słodkowska-Ligus, położna.



Teraz o tym, jak boli poród, mogą się przekonać także mężczyźni. Jednym z nich był prezenter TVP Maciej Kurzajewski, który niedawno na wizji testował symulator bólu mający oswojać lęk przed porodem. Do jego ciała podpięto cztery elektrody, stymulujące mięsień prosty brzucha (choć w trakcie porodu zaangażowanych jest ich więcej, np. skośne brzucha, grzbietu, Kegla, a towarzyszą temu skurcze macicy). Efekt? „W takich sytuacjach jestem szczęśliwy, że jestem mężczyzną” – ocenił. Podobne eksperymenty przeprowadzali już youtuberzy. Obejrzymy ich krzyczących, zginających się w pół, komentujących intensywność doznania.

Marka Somedays, produkująca kosmetyki i gadżety łagodzące ból miesięczkowy, przeprowadziła z kolei test symulatora bólu menstruacyjnego. W tym eksperymencie wzięli udział

także mężczyźni. Urządzenie odwzorowywało ból w skali od 1 do 10. Poziom piąty odpowiadał skurczom miesięczkowym, a dziesiąty silnemu bólom menstruacyjnemu. Już przy trzecim stopniu pojawiła się pierwsza reakcja „nie podoba mi się to”, przy szóstym pod panami ugięły się nogi i krzyczeli. Przy ósemce musieli usiąść, a ich czoła pokrył pot.

JOANNA TRACEWICZ

# Wyborczy vibe

SŁOWO

Kolejne młode słowo weszło do polskiej polityki trzecią drogą wraz z publikacją zapowiedzi wideo konwencji programowej ugrupowania Hołowni i Kosiniaka-Kamysza w Grodzisku Mazowieckim. „Same konkrety, dobry vibe i wiara w zwycięstwo” – tak **Szymon Hołownia** zachwalał spotkanie Trzeciej Drogi, po czym przybijał piątkę **Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi**. Trochę jak raper, bo zarówno „konkret” jak i „vibe” się z rapem kojarzą.

„Vibe” spopularyzowały u nas teksty hiphopowe i tytuł popularnego magazynu o muzyce afroamerykańskiej założonego przez Quincy’ego Jonesa równo 30 lat temu. Słowo oznaczające po angielsku klimat lub aurę (ang. *vibes* to dosłownie „wibracje”) otaczającą określone osoby czy sprawy trafiło do nagrań, z jednym z najgłośniejszych przykładów w „Bitch, don’t kill my vibe” Kendricka Lamara, gwiazdy tegorocznego Open’era, który apelował w tym tekście o niepsucie

mu nastroju. Rodzimy Quebonafide odpowiadał na tę linijkę po swojemu: „Dziwko, mam dobry vibe, czuję, że plany idą jak powinny”. A w tegorocznym przeboju „Malibu Barbie” Taco Hemingway rapuje: „Ona jest stylish, ona ma wajbik” (to już o dziewczynie, bohaterce utworu).

Vibe z pewnością kojarzy się dobrze. Próba oddania klimatu tego słowa była w Polsce, jeszcze w latach 90., składanka muzyczna „Pozytywne wibracje”. Doczekało się też dość szeroko używanego czasownika: wajbować, czyli łapać klimat, kiwać się w rytm muzyki. Jak w komentarzu na Twitterze: „Chcę odwiedzić Chałupy, żeby czilować na plaży i wajbować do muzyki Wodeckiego”. Czy można wajbować w rytmie przemówień polityków? Trudno powiedzieć. Samo określenie „trzecia droga” brzmi w każdym razie trochę jak „trzeci nurt” w jazzie. A jednym z wybitnych reprezentantów tego ostatniego na polskiej scenie był Trzaskowski. Andrzej Trzaskowski.

BARTEK CHACIŃSKI



## MÓWIĄ RYMY

Hm, tak, czuję ten wajb  
Cały mój lajf kontroluje tu majk  
**Tede, Boatever, 2018 r.**  
**majk** = mikrofon



Od lewej: stół Dune Zahy Hadid, fotel LC2 Grand Confort Le Corbusiera oraz kanapa KA Kengo Kuma (poniżej).

Drzyj, projektancie wzornictwa, gdy architekt bierze się za meble! Już Le Corbusier mówi, że w fotelu najważniejsza jest konstrukcja, a dom to maszyna do mieszkania.



## Usiądź w przyszłości

**W**iosenna mediolańska premiera kanapy KA, zaprojektowanej przez Kengo Kumę, wywołała konsternację. Widzowie pytali: czy to już wszystko? Kuma to jeden z największych żyjących architektów, jego manifestem jest budynek V&A w szkockim Dundee, wyglądający jak nadmorska skała. Kanapa KA bardzo ten budynek przypomina: składa się z dwóch wydłużonych graniastosłupów z podpórką. Konstrukcji nie widać w ogóle. Tapicerowane elementy są jak dwa bloki położone jeden na drugi. Górny element można przelożyć do tyłu – i z kanapy powstaje leżanka. To właściwie współczesna rzeźba i ma się wrażenie, że jest jej stanowczo za mało, jak na mebel.

Czy estetyczne zaciskanie pasa i minimalizm wystarczą, żebyśmy polubili meble od architektów? Jednak nie trzeba ich lubić, by się im uważnie przyglądać, bo w przeciwieństwie do „towaru na półkach”, czyli tego, co znamy ze sklepów, pokazują przyszłość, są jak zwiastun nadchodzących trendów.

Architekci wzięli się za meble ponad sto lat temu. Nowoczesność była wtedy programem totalnym: należało przelożyć swoją wizję świata na jego każdy element. Ale był też powód przyziemny: projektując ambitne budynki, nie mogli znaleźć pasującego do nich wyposażenia. Wyobraźmy sobie willę Savoye, jeden z najpiękniejszych domów mieszkalnych na świecie, zaprojektowany w 1928 r. przez ojca nowoczesności Le Corbusiera. Jak w tym pudełku na słupach wyglądałyby mieszczkańskie fotele? Architekt więc sam zakasał rękawy i zaprojektował fotel LC2 Grand Confort: pięć idealnie miękkich skórzanych poduch ściśniętych stelażem ze stalowych rurek. Siadasz i zapadasz się. Ale bez żadnych ozdób i dodatków. Czysta geometria. Kiedy Le Corbusier pokazał go na paryskim Salonie Jesiennym w 1928 r., publiczność, podobnie jak na tegorocznej premierze kanapy Kengo Kuma, była w szoku. Prosty budynek można znieść, ale fotel? I chociaż

D I Z A J N

minęło prawie sto lat od tego wydarzenia, to sytuacja się powtarza: architekci mają odwagę tworzyć meble, z którymi publiczność potem oswaja się przez lata.

**A** jakie meble proponują specjaliści od tej roboty, czyli projektanci wzornictwa? Przede wszystkim designer to zawód młody. W Ameryce i w Europie wprowadzono go powszechnie na uczelnie dopiero po drugiej wojnie. Wyjątkiem jest niemiecka uczelnia Bauhaus działająca już w latach 20. W Polsce szkoły wyższe kształcą designerów dopiero od końca lat 60. XX w. Projektanci, czyli designerzy, mają za zadanie sprostać oczekiwaniom rynku. Nim zaczną wymyślać krzesło, stół czy lampę – już są ograniczeni kilkudziesięcioma danymi. Muszą się „zmieścić” w zadanej technologii, opisanym procesie, materiałach, no i w cenie! Architekci mogą działać swobodniej. Szczególnie kiedy są gwiazdami w swojej dziedzinie i projektowanie mebli jest dla nich zabawą, odskoczną. Właściwie wszystkie klasyki przedwojennego designu narysowali architekci, bo to oni często byli wizjonerami, tak w architekturze, jak i w meblach, które wymyślali.

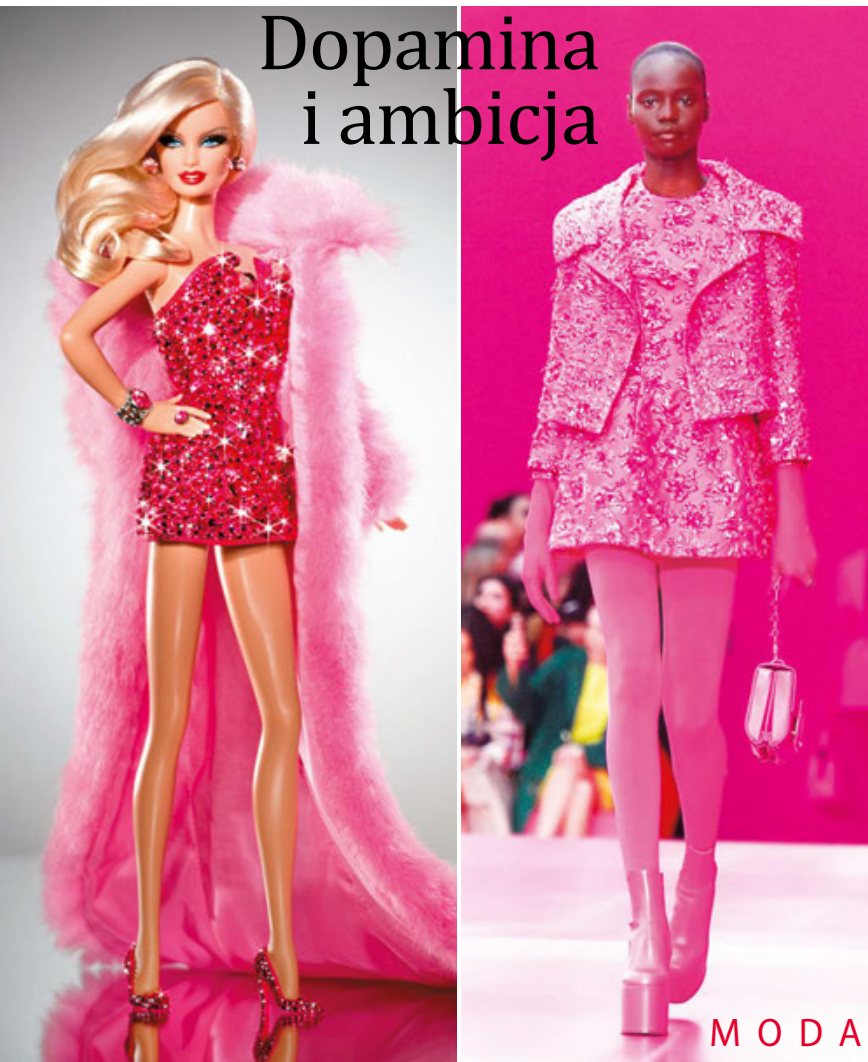
Dziś, kiedy produkty sprzedaje nazwisko gwiazdy, firmy wręcz zwracają się do słynnych architektów z propozycją zaprojektowania mebla. Bo kto nie chciałby mieć stołu od genialnej Zahy Hadid! Pierwszej w historii kobiety, która zdobyła Pritzker Prize – architektonicznego Nobla. Hadid wniosła do architektury niespotykaną wcześniej dawkę wyobraźni i swobody. I przyniosła ją na meble. Odrzuciła wszystko, co było istotą meblarstwa: drewno, tapicerowanie i co najważniejsze – kąty proste! Jej formowane z poliuretanu stoły, półki i dodatki błyszczą, płyną, wiją się w oczach jak smugi dymu. Na razie stać na nie tylko nielicznych – stół Dune kosztuje kilkadziesiąt tysięcy funtów. Raczej go sobie nie kupimy, ale popatrzmy na niego, myśląc, że za sto lat podobne będą standardem w każdym mieszkaniu. ■



**Katarzyna Rzehak**

– historyczka sztuki, badaczka polskiego dizajnu, dziennikarka, wykładowczyni. Przez 10 lat była dyrektorką w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego.

# Dopamina i ambicja



M O D A

Barbie początkowo miała pomagać małym Amerykankom planować dorosłe życie, wkurzała feministki, ale wylansowała też własny styl – barbiecore.

**A**marantowy, fuksja, malinowy, *millennial pink*, od biedy pudrowy. Tak, to są ulubione kolory lalki Barbie, które malują świat jej nadchodzącej filmowej „biografii” (reż. Greta Gerwig, premiera 21 lipca).

Trend *barbiecore* w ostatnich miesiącach zyskał na popularności na TikToku, Pinterście, stronach internetowych i w kolorowych magazynach mody oraz na plecach wszelkiej maści sław. Najbardziej pożądanym odcieniem jest ten najmocniej rzucający się w oczy, czyli fuksja (*hot pink* lub *magenta*) – to on zresztą królował na zeszlorocznych pokazach Valentino czy Balenciagi. No i Versace, ale krzykliwość w przypadku włoskiego domu mody to reguła, a nie odstępstwo od niej.

Wtedy w komentarzach krytyków mody nie pojawiała się, oczywiście, coś tak pospolitego i komercyjnego jak *barbiecore*, mówiło się o *dopamine dressing*, czyli



## Ola Salwa

– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

stylu, który emanuje energią, siłą i sprawczością. Tak, jest to lekarstwo, które świat mody przepisuje na postpandemiczną apatię i zaprzeczenie trendu *quiet luxury*. Choć to, co lansują Gerwig i aktorka grająca główną rolę i zarazem producentka filmu Margot Robbie, oczywiście nie jest aż tak na serio.

Ostry róż jest bodaj jedynym kolorem, który w zależności od kontekstu może być bardzo frywolny i kiczowaty lub poważny. W latach 80. lubiły go nosić bizneswomen takie jak Ivana Trump i... Alexis z serialu „Dynastia”. Miał im dodawać przebojowości i aurytety w świecie wciąż zdominowanym przez mężczyzn. *Power dressing*, czyli styl dla chcących trzymać władzę, opierał się na czerwieni i fuksji; gdy Nancy Pelosi została zaprzysiężona na spikerkę Izby Reprezentantów w 2019 r., ostry róż jej garnituru przełamywał stereotypy i wzmacniał jej pozycję. Tego koloru nie bała się też Hillary Clinton, z kolei obecna wiceprezydentka Kamala Harris nosi jaśniejszy odcień, z niewielką domieszką pomarańczowych tonów. Ten trudny dla jednych, a uwielbiany przez innych kolor do mody wprowadziła Elsa Schiaparelli, projektantka zakochana w awangardowych projektach i przyjaciółka Salvadora Dalego.

**W**racając jednak do Barbie... warto przypomnieć, że lalka, która pojawiła się na świecie w 1959 r. (więcej o jej korzeniach w POLITYCE 14), od razu miała w rękach fach modelki. Nosiła luksusowe stroje wzorowane na pracach europejskich gigantów mody: Diora, Saint Laurenta, Givenchy. Miała też własną projektantkę Carol Spencer – „The New York Times” okrzyknął ją najbardziej wpływową dizajnerką, o której prawie nikt nie słyszał. Gdy firma Mattel szukała na początku lat 60. kogoś, kto ubierałby ich przebojową lalkę Barbie, uszyła kilkuczęściowy kostium w pomarańczowym odcieniu różu i potem przez kolejne cztery dekady to ona decydowała, jaki strój nosi Barbie i co do jej szafy wnoszą zmiany kulturowe i społeczne. Lalka miała więc ubrania na przyjęcia, do biura, a nawet na aerobic, gdy dzięki Jane Fondzie w latach 80. wybuchł szal na ćwiczenia.

Ktokolwiek więc myślała, że Barbie jest sztuczną i głupawą laleczką, która od dzieciństwa zaszczepia dziewczynkom nierealne standardy urody – ma rację, ale tylko częściowo. Zresztą prawdziwa matka Barbie, czyli przedsiębiorczyni Ruth Handler z firmy Mattel, chciała, aby nowa zabawka pomagała małym Amerykankom emancypować się z przypisanej kobietom w latach 50. roli gospodyń domowych. Poprzez zabawę lalką-lekarką, lalką-sekretarką czy lalką-kosmonautką tworzyły się nowe narracje o tym, co można robić w przyszłości.

Ta filozofia dotyczy nie tylko świata Zachodu – w krach muzulmańskich dziewczynki dostają do zabawy Fullę, odzianą w tradycyjną abaję i hidżab. Ich lalka ma fabrycznie zakryte strefy intymne, ale ma wyraźne ambicje – jest z zawodu lekarką lub nauczycielką. I tak w jej szafie znajdują się stroje w ukochanym odcieniu jej amerykańskiej kuzynki.

Gertrude Stein pewnie by dziś napisała: róż jest różem jest różem. Barbie by dodała: pod warunkiem, że jest fuksją oczywiście. ■

# Podróż po jedno zdjęcie

P O D R Ó Ż E

Co to za przyjemność czekać przez godzinę, żeby zrobić sobie jedno zdjęcie, dokładnie takie samo, jakie zrobiło tysiące albo miliony osób przed nami?

**N**ie jestem królową Instagrama, ale przyznam, że nawet mnie kusiło, żeby zrobić sobie zdjęcie w tym miejscu. Półwysep Jukatan usiany jest cenotami, czyli studniami krasowymi o szmaragdowej wodzie, jakie często znajdują się w jaskiniach. Przypadkiem trafiliśmy do cenoty Suytun, na środku której wybudowano okrągłą platformę. Przez szparę w ścianie jaskini wpadał promień światła, który oświetlał samo jej centrum. Do zdjęcia w tym magicznym miejscu ustawiła się kolejka na jakieś pół godziny czekania. Na platformie każdy mógł spędzić tylko minutę. Jeżeli w tym czasie nie udało mu się zrobić wymarzonego zdjęcia, wracał na koniec kolejki.

Pół godziny w kolejce po zdjęcie to żaden rekord. Są miejsca, gdzie czeka się dłużej, a dotarcie tam wymaga sporego wysiłku. **Trolltunga** w Norwegii to podłużny fragment skały nad przepaścią, na dnie której leży jezioro. Skała kształtem przypomina język i stąd jej nazwa – „język trolla”. Aż się prosi, żeby stanąć na jej koniuszku i spojrzeć w dal. Takie zdjęcie na pewno zdobędzie tyśiące serduszek. Kiedy #trolltunga zaczął pojawiać się na Instagramie, setki turystów ruszyły na zachód Norwegii, żeby uwiecznić siebie w tym wyjątkowym miejscu. W 2010 r. dotarło tu jedynie 800 osób. W 2018 r. było już ich 87 tys. Problem w tym, że aby tam dotrzeć, trzeba wspiąć się, a potem schodzić w sumie przez jakieś dziesięć godzin. Zdarza się, że na szczyt chętni na wyjątkowe zdjęcie czekają w kolejce nawet przez godzinę. Często oznacza to, że nie zdążą zejść przed zmrokiem. Tylko między czerwcem a wrześniem 2016 r. na płaskowyżu miało miejsce czterdzieści misji ratunkowych. W końcu władze ustawiły na dole instalacje z górskimi widokami, na tle których można sobie zrobić zdjęcie bez konieczności wspinania się na szczyt. Hasztagiem #trolltunga oznaczono 214 tys. postów na Instagramie.



**Urszula Jabłońska**

– reporterka, autorka książki „Człowiek w przystępnej cenie. Reportaże z Tajlandii” oraz „Światy wzniesiemy nowe”, relacje z jej podróży można śledzić na: @urszula.jablonska\_autorka.

Do miejsc popularnych w sieci ciągną całkiem rzeczywiste tłumy. Na przykład do świątyni Pura Lempuyang na Bali po zdjęcie, na którym jej bramy wyglądają jakby unosiły się gdzieś między niebem a morzem (43 tys. postów na Instagramie). Czy do nieznannej wcześniej wioski Oia na greckiej wyspie Santorini, żeby zrobić sobie selfie na tle biało-niebieskich domów i zachodzącego słońca (1,6 mln postów).

**W** czasach słowa pisanego to przewodniki decydowały o tym, które miejsca odwiedzimy w podróży. A pośrednio – wartość historyczna czy wpis na listę dziedzictwa światowego UNESCO. Jednak dzisiaj wyobraźnią rządzi obraz. Zwłaszcza pokolenie Z deklaruje, że wymarzona wakacyjna miejscówka musi dobrze prezentować się na Instagramie.

Ma to swoje zalety, gdyż stosunkowo nieznanne miejsca, które nie zapiswały się w historii dziedzictwa ludzkości, nagle pojawiają się na mapie podróży setek ludzi. Jednak ma to także swoje wady. Instagramowi turyści wpadają i wypadają, rzadko zostają w okolicy na nocleg czy nawet kolację, więc nie przynoszą mieszkańcom pieniędzy. Nierzadko za to zostawiają po sobie śmieci i zdeptują przyrodę. Zdjęcie przestaje być pamiątką po wyprawie, podczas której przeżyliśmy przygodę, poznaliśmy ludzi, dowiedzieliśmy się czegoś o innej kulturze. Staje się celem samym w sobie.

Właśnie z tego powodu w 2019 r. Wiedeń prowadził kampanię „Enjoy Vienna, not #Vienna”. Zastąpięto wówczas na kilka dni słynny obraz „Pocałunek” Gustava Klimta wielkim czerwonym hasztagiem. „Miejsca, przez które surfujemy w sieci, nie są pełne życia ani wspomnień, są zaśmiecone hasztagami, rozcieńczone przez filtry” – czytamy na stronie kampanii. Wiedeń zaprasza na internetowy detoks, zachęca, żeby zwiedzać miasto bez telefonu w ręce, wybierać nieoczywiste trasy i obiekty. Jeżeli będziemy tylko polować na idealne kadry, czy naprawdę doświadczymy miejsc, które odwiedzamy? Wygląda na to, że kampania odniosła sukces. Hasztagiem #unhashtagvienna oznaczono mniej niż sto postów. ■

# Château Karton



W I N O

Wino w kartonie – kiedyś obciach, dziś moda, jutro konieczność.

**W**szystko zaczęło się od... akumulatorów. Wraz z rozwojem motoryzacji pojawiła się potrzeba transportu żrącego kwasu do baterii. Rozwiązaniem okazały się miękkie worki polietylenowe wyściełane kwasoodporną folią. Na pomysł zastosowania takiego opakowania do wina wpadł Australijczyk Thomas Angove. Worek umieszczono w sztywnym kartonie, dodano praktyczny kranik. Był rok 1964, a wino w kartonie – bag-in-box, w skrócie BiB – natychmiast podbiło rynek.

W krajach dopiero uczących się wina, jakimi w latach 60. XX w. były Australia, Anglia i USA, a dziś jest Polska, wino w kartonie wydawało się techniczną nowinką. We Francji, Włoszech czy Hiszpanii proste trunki na co dzień zawsze jednak sprzedawało się luzem. Przyjeżdżasz do winiarza z własnymi butelkami lub baniaczkami i lejesz dionizjak z kranu albo węża. Taki prosty no-name jest w sam raz na co dzień, a oszczędność

jest niebagatelna – dziś w zachodnich marketach trudno jest kupić pialne wino za mniej niż 2 euro butelka, tymczasem wino luzem kosztuje poniżej 1,20–1,50 euro za litr. Dopiero w erze winiarskiego snobizmu, czyli ostatnich 20 latach, konsumenci zaczęli wymagać wina w butelkach nawet na dolnej półce cenowej. Karton zaczęto utożsamiać z tanimi sikaczami, w których wyczuwano przysłowiowy „smak gumowego węża”, zaś jakość gwarantować miało jedynie butelkowanie przez producenta. „Mis en bouteille au domaine” – innych win nie kupujemy!

**D**ziś wino w kartonie wraca jednak do łask. Nieoczekiwanie na pomoc przyszła mu... ekologia. Jedną z największych bolączek winiarstwa jest astronomiczny ślad węglowy przy transporcie wina na duże odległości. Już teraz większość tanich win z RPA czy Australii przemierza oceany w wielkich zbiornikach i butelkowane jest dopiero w kraju odbioru, ale i tak transport drogowy wina w butelkach to ekologiczny dramat, zwłaszcza że wino w tym szkłe pobędzie najwyżej kilka miesięcy. Owszem, najlepsze wina, zwłaszcza czerwone, przeznaczone są do długiego leżakowania w butelkach, ale gros tych codziennych mogłoby się bez szkła obyć. Szkło niby recyklować można łatwiej od innych surowców, ale nie rozwiązuje to problemu emisji CO<sub>2</sub>.

Mamy więc ofensywę „opakowań alternatywnych” – tetrapaków (trudnych jednak w recyklingu), jednorazowych kieliszków (niestety plastikowych), puszek, papierowych worków (technologia dopiero rozwijana). W tym kontekście odgrzebano też stare dobre trzy- i pięciolitrowe BiB-y. Już 15 lat temu szwedzki monopol obliczył, że generują one 70 proc. mniej emisji niż wino butelkowe. Dziś, w obliczu globalnego ocieplenia, chce on w ogóle wyzerować ślad węglowy wina sprzedawanego w Szwecji. W jego ślad pójdą inni. BiB-y zajmują mniej miejsca na półkach niż szklany ekwiwalent, zużywają mniej surowców. Z punktu widzenia konsumenta też mają wiele plusów – nalewasz sobie, ile chcesz, a po otwarciu kartonu wino nie traci na jakości przez 4–6 tygodni.

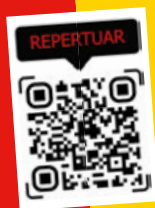
Producenci reagują błyskawicznie – do kartonów trafiają wina coraz lepszej jakości, nawet takie, które kosztują grubo ponad 100 zł za butelkę, jak Chablis Grand Cru. Opakowania są coraz bardziej estetyczne, pojawiają się wina ekologiczne i egzotyczne. Również w Polsce oferta znacząco się rozwinęła. Niedawno degustowałem 30 różnych win w BiB-ach i choć nie brakowało sikaczy, najlepsze z nich niczym nie ustępowały tym butelkowym. Francuskie supermarkety, takie jak Leclerc i niektórzy importerzy, np. Marek Kondrat, mocno na kartony stawiają. Lipcowy działkiing albo grill na bulwarach nad rzeką to najlepszy moment, by o zaletach kartonowych opakowań się przekonać. ■



**Wojciech Bońkowski**  
– pierwszy polski Master of Wine. Współtwórca portalu WiniCjatywa i pisma o winie „Ferment”.

**Côtes du Rhône Rosé Grégoire XI**, 59,99 zł/3 litry (supermarkety Leclerc)  
**Producteurs Plaimont Côtes de Gascogne**, 72 zł/3 litry (arsvini.pl)  
**Celler Masroig Catalunya Rojalet Tinto 2022**, 79,99 zł/3 litry (elcatorador.pl)  
**Tenuta del Priore Montepulciano d'Abruzzo 2022**, 97 zł/3 litry (marekkondrat.pl)  
**Juan Gil Jumilla Shania White Blend**, 105 zł/3 litry (fine-wine.pl)

TEATR ♥ POLONIA KONESER OCH ♥ TEATR



# GRAMY CAŁE WAKACJE!

118 SPEKTAKLI W SIEDZIBACH TEATRÓW  
ORAZ 41 SPEKTAKLI PLENEROWYCH

PLAC KONSTYTUCJI ♥ UL. GRÓJECKA ♥ CENTRUM PRASKIE KONESER  
SPEKTAKLE PLENEROWE WSTĘP WOLNY

1 LIPCA 2023 DO 30 SIERPNI 2023

SZCZEGÓŁOWE INFORMACJE ORAZ BILETY:  
[WWW.TEATRPOLONIA.PL](http://WWW.TEATRPOLONIA.PL) I [WWW.OCHTEATR.COM.PL](http://WWW.OCHTEATR.COM.PL)  
TELEFONY DO KAS 22 622 21 32 LUB 22 589 52 00

Kasa i foyer Teatru Polonia są wynajmowane od m.st. Warszawy – Dzielnicy Śródmieście.

Premiery  
dotfinansowane  
przez



Patron  
medialny:

[wyborcza.pl](http://wyborcza.pl)

VIVA!

PRZECZASOPIKA

GAZETA.PL

Patron medialny  
Teatru Polonia:

NOWY ŚWIAT

Patron medialny  
Och-Teatru:

radio  
kolor

Partner  
premier:

A//ARISTO

Partner  
Och-Teatru:



Doradca  
prawny  
teatrów:

CMS

**O**powrocie wielkiego stratega pisze w „Plusie Minusie” Piotr Zaremba: „nie sposób pojąć tajemniczego pomysłu z wykreowaniem Kaczyńskiego na jedynego wicepremiera. Przecież to nie rząd wymaga dziś najpilniejszego monitorowania, tylko sam przekaz kampanii. Czy ten dziwny awans Naczelnika ma mieć sens magiczny? Na pewno nie przybędzie od tego PiS-owi zwolenników. No, chyba że to recepta na częściowe ograniczenie podróży prezesa po Polsce, z jego naturalną skłonnością do uprawiania nie zawsze najszcześniejszej felietonistyki”. Jeśli prezesa i jego decyzji nie rozumie redaktor Zaremba, to kto rozumie?

**A**świeżo (choć ponownie) upieczony wicepremier od razu zajął się poważnymi sprawami. Na wiecu PiS w Bogatyni wyznał szczerze (relacja w „Angorze”): „Wierzę, że dożyję czasu, kiedy Polska będzie miała 40 mln mieszkańców – na koniec stwierdził Jarosław Kaczyński. – Damy radę – odpowiedzieli mu zebrani. – Ja to traktuję jako zobowiązanie” – odrzekł w stylu Gierka, nie precyzując, czy to zobowiązanie swoje czy górników. I czy „mieszkańcy Polski” to to samo co Polacy.

**D**ariusz Ćwiklak w „Newsweeku” zwraca uwagę, że „Próżno szukać w podręcznikach zarządzania porad, jak kierować instytucją, w której prawdziwy szef udaje jego zastępcę. Ale polski rząd to stado tłustych kotów rozglądających się za jedzeniem, a nie sprawna organizacja, więc tu wszystko jest możliwe. Trudno zliczyć wszystkie hołdy partyjnej oligarchii dla nowego-starego wicepremiera, ale jeszcze trudniej było w nich znaleźć wyjaśnienie, po co Jarosław Kaczyński wraca do rządu”. To się nazywa mądrość etapu.

**W**„Do Rzeczy” Piotr Semka trochę się jednak martwi stanem rzeczy: „Wejście Kaczyńskiego do rządu raz jeszcze przypominało, że to tylko autorytet Jarosława Kaczyńskiego potrafi wyrwać partię z bierności czy powstrzymać zbytne ambicje poszczególnych ministrów. A prezes ma już coraz mniej siły. Dobrze było to widać w trakcie uroczystości wręczenia nominacji

Tak, też bardzo się jaram  
gejmczendżerem,  
jakim niewątpliwie będzie  
wielki powrót wielkiego  
stratega do rządu  
– Kataryna, „Plus Minus”.

wicepremierowskiej, podczas której prezes Kaczyński wyraźnie musiał włożyć wiele wysiłku, by ustać, gdy przydyktował Andrzej Duda wygłaszać swoje wyjątkowo długie przemówienie”. Ciekawe, jak zostanie ukarany, zważywszy na pamiętliwość prezesa.

**M**arek Pyza z „Sieci” dostał zadanie, by pocieszyć elektorat PiS-u, więc pociesza, jak umie: „Jaka jest prawda o kondycji Zjednoczonej Prawicy? Jeszcze tydzień temu paradoksalna – mimo prowadzenie w sondażach i niezłej sytuacji startowej – wielu polityków wątpiło w sukces, a na zapleczu aż bulgotało od konfliktów frakcyjnych. Zaskakująco dobry efekt świeżości, spokoju i nową energią wprowadziły same zmiany w rządzie i sztabie. Plotki o rozkładzie obozu okazały się przesadzone, a jako głównego faworyta do zwycięstwa i układania polskich spraw przez kolejne cztery lata należy postrzegać Jarosława Kaczyńskiego”. Zwłaszcza czterech zdegradowani wicepremierzy z pewnością poczuli nową energię.

**C**ałkiem odmiennie postrzega Jarosława Kaczyńskiego felietonista „Tygodnika Powszechnego” Stanisław Mancewicz: „Najsroższy człowiek z Polsce, którego życie polega na przeczeniu własnej śmieszności, jest kompletnie i w każdym sensie śmieszny. Od rana do wieczora. Wystarczy przez chwilę w ową perswazję, że jest poważny i srogi, nie wierzyć. I co? Jest bardzo śmieszny”. Ale, dodaje Mancewicz: „śmieszność nie wyklucza straszności. (...) Słowem, jest i straszno, i śmieszno właśnie. A im straszniej, tym śmieszniej”.

**Ż**e im straszniej, tym śmieszniej, potwierdza Jan Widadcki w „Przeglądzie”: „Jarosław Gowin powiadomił naród, że w najbliższych wyborach parlamentarnych nie będzie już kandydował. (...) W oświadczeniu, w którym Gowin wymienia wszystkie swoje przewagi i zasługi, brak jednak informacji, z kandydowania z której to listy on rezygnuje. (...) rezygnacja [Gowina] z kandydowania w najbliższych wyborach nie jest aktem szczególnego heroizmu, ale konieczności. Naprawdę trzeba ogromnej megalomanii, aby nadawać temu rozgłos, pisać patetyczne oświadczenia”. Ładnie to tak kopać leżącego?

**W**itold Gadomski (wyborca. pl): „Najważniejsze pytanie w dyskusji Petru – Mentzen dotyczyło obecności Polski w Unii Europejskiej. Lider Konfederacji odmówił odpowiedzi na pytanie, jak głosowałby w ewentualnym referendum na temat polexitu. Istnieje zatem duże prawdopodobieństwo, że nie tylko głosowałby za wyjściem Polski z Unii, ale spróbowałby (...) zorganizować referendum na ten temat. Potencjalni wyborcy Konfederacji – zwykle młodzi, niezłe wykształceni przedsiębiorczy ludzie – powinni się zastanowić, czy na pewno chcą oddać głos na partię, która zamierza wyprowadzić nasz kraj z Unii, a następnie zbudować »Wielką Polskę Katolicką«. Młodzi zapatrzeni w Konfederację liczą, że jak się wszyscy zajmą biznesami bez podatków, to na Polskę katolicką nie starczy zapału.



# CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

## Uprawiaj sport świadomie

### Klinika ortopedyczna

#### Szpital

operacje ortopedyczne

### Poradnia Medycyny Sportowej

Badania wstępne, okresowe i kontrolne dzieci, młodzieży i dorosłych

Orzeczenia sportowo-lekarskie

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

### Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / nerolizy współczulne

blokady / nerolizy nerwów obwodowych

termolezja

### Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne

### Dietetyka

Dietetyka kliniczna

Dietetyka sportowa

Porady dla dzieci i dorosłych

### Rehabilitacja

Rehabilitacja ortopedyczna:

- stawów rzepkowo-udowych
- stawów barkowych
- kręgosłupa
- stawów kolanowych
- kontuzji sportowych
- po zwichnięciach stawów
- urazów mięśni
- więzadeł
- po złamaniach

Fizykoterapia

Masaż leczniczy

Diagnostyka funkcjonalna

Rehabilitacja w uroinekologii

Rehabilitacja po COVID-19

### Rezonans Magnetyczny 3T

Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

### Tomografia Komputerowa

Pełny zakres badań

### Diagnostyka

RTG, USG, EEG, EMG

## CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

# HALE NAMIOTOWE PROJEKTOWANE NA DEKADY SZYBKI MONTAŻ W KILKA DNI

[www.pol-plan.com.pl](http://www.pol-plan.com.pl)

Nawet  
**25%**  
KOSZTÓW  
TRADYCYJNEJ  
HALI!

**Hale**  
przemysłowe

**Magazyny**  
z dokami  
załadunkowymi

Izolowane  
hale z dachem  
pompowanym  
Lokalne obciążenia  
wiatrowe i śnieżne  
nawet  
do **300kg/m<sup>2</sup>**

Do  
**60m**  
rozpiętości

**POL-PLAN**  
HALE NAMIOTOWE